

*Handwritten text at the top of the page, possibly a signature or date, is mostly illegible due to fading and bleed-through.*

C R E D O .

CRUDO

IGNACY GRABOWSKI.

# CREDO

STUDYUM  
PSYCHOLOGICZNO-POLITYCZNE

42



H-117797

KIJÓW,  
NAKŁADEM AUTOPA  
1917.

<http://rcin.org.pl>

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFIS PAN i PTF

T.42



2900004200000



inv. nr. 4042

K.  
6.12.57  
A. J PTF

---

Za pozwoleniem cenzury wojennej dn. 3 stycznia 1917 r.

ŹRÓDŁA ENERGII.

<http://rcin.org.pl>



## WIERZĘ, WIĘC DZIAŁAM.

Rozkoszą moją jest łamać to, co pospolicie nazywa się rzeczywistością, a co radbym zmienić, przeistoczyć. Tak jest, łamać, giąć, zmieniać. Czyn *udany*, to jest taki, którego skutek zewnętrzny widzę lub czuję, wzmacnia mnie wewnętrznie, tęży siły do walki.

Czy jest to słabość, że łaknę koniecznie przeświadczenia o skutku działania?

Zastanawianie się nad tem byłoby czężą subtelnością. Wiem, że stwierdzenie udania się czynu pcha mnie wciąż dalej, dalej. Nie mógłbym żyć bez stwierdzeń. To jest żyć mógłbym, ale w niewierze względem samego siebie. Stałbym się żywą nicością.

Zresztą, czyż czyn w taki sposób poczęty może się nie udać? Musi się udać w takim stopniu, w jakim mógł być się udać — w chwili mojego działania. Obowiązany jestem przecież mieć świadomość siły mojego naporu i poznać siłę odporu zjawiska, na które działam. Jeżeli skutek działania jest w oczach moich nikły, to znaczy, że chęć moja była słaba, lub poznanie małe. Na drugi raz się wzmocnię.

Ale wiem przecież, że wniknięcie w zjawisko do gruntu jest niemożliwością, a poznanie moje ograniczone.

Jest ono natury horyzontalnej i im dalej idę, tem jaśniej na widnokregu widzę nowe, wciąż nowe krajobrazy. Nigdy nie dojdę do punktu, z którego już nic nie widać. Więc czyż to „ignorabimus“ nie powstrzymuje mnie w działaniu?

Niewątpliwie powstrzymywałyoby mnie, gdybym dozwolił tej myśli rozgospodarować się na stałe i wyłączne w mojej świadomości. Ale ja jej dopuszczam nie mam czasu. Jestem zajęty działaniem. Moje działanie jest wiarą, a wiara działaniem. Powtarzam: \*brak mi czasu na wątpiewanie.

To leży w mojej rasie aryjskiej. Naprzód, zawsze naprzód! Lecę jak kula wyrzucona z działa; stanąć nie mogę; zatrzymanie w biegu znaczyłoby śmierć energii — dla kuli. Instynktem omijam martwą opokę *absolutu*, czując, że natychmiast musiałbym się o nią rozbić, spłaszczyć i upaść.

Jakaż jest moja wiara? jej istota? Pytanie, na które słowem odpowiedzieć niepodobna. Nikt nie zdoła określić nawet takich sił zewnętrznych, jak elektryczność, światło, ciepło, a silić się na określenie wiary?.. Pozostawmy tę igraszkę ludziom, bawiącym się w wyrazy. Powiedzcie mi wprzódy, co jest błyskawica, piorun, ogień, nie słowami z podręczników szkolnych, ale wyrazem, w którym naprawdę mieścić się będzie treści *nie mniej*, niż w samym zjawisku. A chcielibyście pochwycić wiarę!

Czuję i wiem to jedno — z pewnością zupełną i w tym jedynym stosunku możnaby użyć—*absolutną*. Wiara jest jedynym łącznikiem pomiędzy mną, a światem zewnętrznym; jest jedyną, jeżeli chcecie, materją istniejącą we mnie i po za mną; wszechobecna, wszechczynna, jedna i jedyna rzecz *boska*.

Moje istnienie opiera się na tem, że zawsze wierzyłem i wierzę w coś. To „coś“ jest w nieustannym ruchu,



zmiennie, jak kolejdoskop zjawisk. Dzieje tego ruchu są dziejami mojego życia. Dałyby się wykreślić w jakiejś linii *geometrycznej*.

---

## SYSTEM SŁONECZNY DUSZY.

Wiara jest centrum duszy, słońcem, około którego obraca się moja ziemia, w jej promieniach leży moja siła twórcza.

Mam dni lub chwile, gdy to słońce zachodzi za chmury i wtedy w duszy mglisto, pada deszcz, ołowianie ciężko. Bywają i nawałnice, a słońce gwałtownie lśni i gwałtownie znika; grzmią pioruny, oslepiają błyskawice. Potem dusza dziwnie pięknieje i bujnie zieleni się.

Wiara prowadzi mnie do idei nieśmiertelności. Niewysłowiona, niezależna od niczego potęga dostarcza mi równie niewysłowionego uczucia rozkoszy. Tak leci orzeł na wyżynach. Ale ten lot nie jest pustem pławieniem się w czystych kręgach powietrza; jest działaniem i z treści swej, działaniem, pokonywaniem oporu.

Muszę przypomnieć wspaniałe słowa Goethego:

Kiedy natura zimno obojętnie  
Na pasmo życia swoje nici zwłóczy,  
Bezladna masa wszechstworzenia wstrętnie  
Dzikim rozgwarem huczy,  
Któż te szeregi nieskładne podzieli tak, aby ruchem  
rytmicznym zadrgały,  
I któż jednostkę do całości wcieli,  
Stwarzając akord wspaniały?

Przedziwnie słowa te przystały do mnie; nie mogę się z nimi rozłączyć. Przywiązanie wynika z podobieństwa; nie, wynika — z pokrewieństwa.

Jestem poetą, bo działam. Jestem poetą, bo wierzę. Jedno i drugie znaczy to samo. Helleni, którzy tworzyli najdoskonalsze wyrazy dla idei powszechnych, nazwali właśnie czyn — poezją (pojjeo czynię).

Więc działanie jest dla mnie poezją, a poezja działaniem.

Mam wstręt do okrucieństwa i brutalnego dotknięcia się czegokolwiek, ale znam jedno gwałtowne, *święte* oburzenie. Słodki Chrystus wypędzał celników i faryzeuszów z świątyni. Ja człowiek ułomny, pełen namiętności i błędów, z zimną, pohamowaną krwią, unicestwiałbym ludzi, wyszydających entuzjazm czynu, poezję życia. Zdarzało się, że na polowaniu zabijałem zające; czyniłem to zawsze z poczuciem niesmaku, co być musiało, gdyż strzelałem raczej z towarzyskiego przymusu, niż z chęci. Szydercy entuzjazmu nie zasługują na żadną litość. Są to zatrutowe studzien. Zatruwają samo źródło miłosierdzia — wiarę, a więc... Chciecie, aby ludzie umierali z pragnienia?... Straszliwa śmierć.

„Przebaczcie im, albowiem nie wiedzą, co czynią“. Przebaczać? Za cóż mieć żal do ludzi, z którymi niepodobna się porozumieć, ale wypędzać... nienawidzić?... Nienawidzić mogę jedynie własną swoją słabość. Męczyć? Upajać się cudzym bolem? Nie rozumiem, co to jest niemieckie „Schadenfreude“; w języku polskim nie ma na to wyrazu.

Jednakże świat storożytny i Helleni mawiali: „zemsta jest rozkoszą bogów“. Musi w tem tkwić jakaś prawda. Ale jaka? Widywałem pałające oczy, rozkosz zemsty, dreszcz okrucieństwa, pozornie tak twórczy, jak objęcie miłośne. Jednakże z takiego dreszczu nic się nie rodzi. Jest śmiertelne, jak śmiertelne jest pszczole jej własne żądło. Wyciąga je wraz z wnętrznościami.

To trzeba *poznać*, o tem trzeba *wiedzieć*.

Ale szyderców entuzjazmu wypędzać... unicestwiać...

Unicestwiać nie znaczy to zabijać ciało. Tak sztucznie robione trupy wydzielają zapach męczeństwa, sprawiają złudzenie, jak gdyby niemoc pastwiła się nad mocą. Nie kładźcie nieprawdy do trumny; jest to najlepszy sposób, aby nadać jej piętno prawdy i oszukać społeczeństwo ludzkie! Nie palcie nieprawdy na stosach, bo wiatr roznieśie gorejące iskry na wszystkie strony świata, padać będą na słomiane strzechy dusz, zamieniać je w popiół i w zgliszczal!

Tak być musi. Działanie zwraca się przeciwko twórcy zawsze, gdy ten przekroczył naturalne granice podjętej walki. Jeżeli się przygina do siebie świat zjawisk, trzeba być konsekwentnym i nie działać mechaniką obojętnych praw przyrody, ale prawem własnym. Wykroczyć po za prawo własne, jak to rzekać się rządów, a wtedy władza przechodzi do dusz pospolitych i ograniczonych, które uczynią to, co uczynić mogą: będą szerzyły wspólną niedolę pod postacią niewoli.

Więc w jaki to sposób mam unicestwiać wrogów swoich: szyderców mojej wiary poezji, mojego entuzjazmu? Jest to przecież najważniejsze, najwyższe z moich działań. Zabijać — nie ich ciała, ale ich działania, ich emanacje, ich myśli, słowa, idee. Zabijać tak, jak promień słoneczny niszczy miazmaty: wszechoświeteniem i przenikaniem w głąb. Zabijać bez rumieńca wstydu i rumieńca zmęczenia, bo jakżeż śmierlelnie blade byłby ów rumieniec wobec słonecznego promienia.

Mam poczucie, że dusza moja jest zbiornikiem niewyczerpalnej energii, tak jak wyobrażam sobie jaźń słońca. Jakby ono i ja było dwiema postaciami tej samej istności. Posiadam ku temu dowód. Każdemu działaniu mojemu, z którego odniosłem podniecające zadowolenie, towarzyszy zawsze uczucie, jakobym wydzielił z siebie światło i ciepło.

Tak jest, wiara moja jest natury ogniowej. Mit hel-  
leński o Prometeuszu, który wykrał był ogień bogom,  
jest świadectwem poczucia tej łączności. Mit odnosi się  
nie do poznania, które jest łuną, skutkiem wiary, ale do  
samej zdolności wiary. Nauka Zoroastra jest w tym wzglę-  
dzie wyraźniejsza.

---

### SATELLICI WIARY.

Tak jak słońce posiada satellitów, krążących po or-  
bicie i nieodłącznych, a przedstawiających się naszemu  
ujęciu, jako emanacje gwiazdy środkowej, tak samo ema-  
nacją wiary są nadzieja i miłość.

Mówię o mojej wierze, nie o jakiegokolwiek innej. Nie  
myślę uogólniać, to jest narzucać komukolwiek mojego  
gatunku siły. Narzucenie komuś cudzej wiary jest niepo-  
dobieństwem, jeżeli zdolności do tego gatunku wiary nie  
posiada. Wyśmiane usiłowania alchemików średniowie-  
cznych, co do przemiany pierwiastków nieorganicznych na  
złoto w świetle badań chemii nowoczesnej, nie należą do  
niedorzeczności. Natomiast łatwa pewność szczepienia  
tej samej wiary na różnych gruntach ludzkich, to jest  
przemiany czucia, należą do największych lekkomyślności,  
jakie można popełnić.

Moja wiara poszukuje, bez chyby wybiera istoty po-  
krewne i działa na nie swem prawem słonecznym; one  
zaś wzajem działają na moją. Nasze siły wspólnie, spo-  
łecznie, składają się w jednym kierunku, to jest wzma-  
niają? Z tego urasta nowy żywioł świata, żywioł twórczy,  
zaprowadzający własny ład w świecie zjawisk.

Poznanie moje, to jest wieloliczny szereg odczuć ze wewnętrznego świata zjawisk w stosunku do mojej istoty od chwili, gdy zdołałem uporządkować je w całość, utwierdza mnie w przekonaniu, że istnieją wiary gatunkowo różne od mojej.

Są wiary *bez miłości*, suche, zimne, jak drzewa odarte z liści, z zieloności życia.

Takie nie należą do systemu słonecznego mojej duszy. Wreszcie zbliżanie się mojej wiary do tamtych, a tamtych do mojej, jest tylko wzajemnem osłabianiem siły. Moje działanie polega na tworzeniu świata podobnego sobie, a więc na *współdziałaniu* z pokrewnem, które mnie zrozumieć może, które i ja mogę zrozumieć.

Więc sam się ograniczam? Nie wkluczam siebie do koła „wszechludzkości”? Nie. Sam przez wiarę jestem tylko częstką Bóstwa, tem mniejszą częstką jest ta pstra mieszanina różnorodności, zwana „wszechludzkością”. Źródłem mojej siły, moim prawodawcą jest Bóstwo, nie ta mizerna mozaika dusz, jeszcze słabsza niż ja.

Czynię dobór. Jeżeli z tego mrowiska, z „szeregów nieskładnych” wystąpi człowiek z jasnym, twórczym okiem, uściśnie moją dłoń w taki sposób, że uścisk dojdzie do serca, to powiadam:

„Przyjacielu — towarzyszu idziemy razem“.

I jeżeli wśród szeregów nieskładnych dostrzegę człowieka, którego uśmiech zgadza się z moim uśmiechem, mówię doń wprost:

„Rozumiemy się“.

Kroczymy naprzód w jeden takt, w jedną melodję duszy, która szybko przechodzi w wielki chór, w zgodną symfonię działania. Pod stopami naszymi gnie się rzeczywistość, jak trawa na łące. Jesteśmy dzieci słońca, śpiewamy hymn wiary.

---

## NADZIEJA.

Córka i towarzyszką mojej wiary jest nadzieja. Są one tak zrośnięte, że jeżeli mówię o jednej, to jakbym mówił o obudwóch razem. Wiara wstępująca w działanie, staje się nadzieją. Nadzieja działająca, jest po prostu wiarą. Córka nieodłączna od matki.

Dla czuć swoich pożądam koniecznie obrazów. Muszę je obejrzeć, jak matka ogląda urodzone dziecko, a ujrzawszy je, rozpoznawszy i sprawdziwszy, że to jej, zaczyna kochać. Bez wyobraźni niemasz twórczości; bez wyobraźni działać może jedynie upór, przekora; tak wół opiera się jarzmu, a przecież wkońcu poddać się musi. I z swoim uporem pozostaje wołem.

Więc, gdy czuję w sobie ogień wiary, to widzę, jak gdybym znajdował się w kuźni, gdzie piersią miech rozżarza węgle. Płoną biało, czerwono, fioletowo. Z ogniska wylatują demony potęgi.

Jam — kowal. Biorę zimne, martwe, nieme kowalce żelaza, kładę je w ogień. Tu miękną, nabierają kolorów, poczynają żyć. Wtedy chwytam je na kowadło i wykuwam. Martwota staje się kształtem na podobieństwo moje.

Czarne sadze gęsto osiadły moją twarz i moje dłonie. Na zewnątrz podobnym djabłu, ale białka moich oczu są bielsze niż zwyczajnie. To one prowadzą młot na kowadle.

Przez otwarte na oścież drzwi kuźni, poglądam na rozległość przyrody. Natura sama, w całości, przychodzi do mnie, jak kwitnąca dziewczyna i — pragnąca, abym ją zapłodnił. Siada na progu kuźni.

„Pójdź“!

Ona drży i ja drzę. Obejmuję ją, a z przytulonych piersi wyfruwa w powietrze biały gołąb. To *nadzieja*.

Widzę gołębia, usiadł na drzewie i podwycił zieloną gałązkę. Zerwał się i uleciał w przestwór. Ledwie widny, kołuje, zatacza krągi w świetlistem przezroczu.

Ale cóż to? czy goni go jastrząb? Drapieżny ptak śmierci? Bo dostrzegam dwa punkty na niebie, jeden obok drugiego.

Zapewne... to gonitwa. Jastrząb wyleciał na łowy. Mam truchleć o gołębia? Nie, ja wierzę. Przeciwnie, dusza moja rozszerza się i dymi jak nozdrza pędzącego konia. Bo ja wiem, co się stanie *koniecznie*. Więc wpatruję się tylko w jaki sposób się stanie. Moja rozkosz.

Oto jastrząb dościga; jeszcze mgnienie, a siedzie szponami na gołębiu, wpuści dziób w białą szyję.

Dwa punkty zwały się w jeden, aby za chwilę znów się rozłączyć. I obydwa lecą na dół ku ziemi. Widać wzmachy skrzydeł.

Lecz teraz ucieka... jastrząb, a goni go... orzeł. Prześladowany, łagodny gołąb przemienił się w niezwykłego orła. Nic nie uratuje jastrzębia. Pada u nóg moich z złamanem skrzydłem.

A orzeł siada mi na ramieniu.

I jakżeż chcieć możecie, abym nie miał nadziei. W godzinę śmierci powiem wam „i do jutra“.

---

## MIŁOŚĆ.

Z wiarą i nadzieją urodziłem się i w kołysce nie miałem jej ani mniej ani więcej niżeli teraz, gdy dożywam lat w łagodnym słońcu jesieni. Z wiarą i nadzieją

urodziłem się jak z ziarnem, z którego urosnąć może tylko taka, nie inna roślina. Sądzę, że wiara i nadzieja są związane ściśle z gatunkiem człowieka, z jego rasą. Mogą ulegać zmianie pozornie tak i o tyle, o ile zmieniają się i rysy twarzy. Należą do Genezis, do Księgi Rodzaju człowieka.

Miłość—nieodrodna, prawa i młodsza córka wiary, zawiera w sobie coś więcej, niż dała jej matka. Miłość jest to wiara, która skosztowała z drzewa „wiadomości dobrego i złego“, z drzewa *poznania*. Niema miłości, bez poznania, a jej pełni, bez doświadczenia. I celem wewnętrznym doświadczenia, a często w samej głębinie świadomości ukrytym, tam, jak perła wyczekującym nurka, jest miłość.

Ta myśl wydaje się paradoksalna i sprzeczna z tem, co nazywamy rzeczywistością, a co jest tylko skorupą twardą, którą jedynie poznanie może rozbić. Rozbili ją w jeden czyn zgodny tacy prawodawcy poznania, jak Cankara, Zoroaster, Chrystus. Wskazali przykład i drogę, zapalili latarnie oświetlające: wiarę i nadzieję, lecz własnego poznania w dusze surowe przelać nie mogli. Albowiem każdy musi poznać sam za siebie, przejść własną drogę krzyżową, której skutkiem jest miłość. Rodzić się ma przez przeżycie czegoś, z doświadczenia. I nigdy nie może powstać z innego źródła. Część boska w człowieku, sama musi poznać własną boskość.

Słowo, jako wyraz świadomości i poznania, zawsze zawiera mniej, niż czucie, zatem jest tylko znakiem porozumiewawczym. Ten znak powinien być o ile można najwyraźniej postawiony. Czucia nie myślą, ale słowa myślą, a wtedy ludzie nie rozumieją się wzajem, przez pomyłkę w znakach.

Cóż więc myślę, wymawiając słowo: „miłość“. Czy głuchy i ślepy pęd Romea do Julii, a Julii do Romea?



konieczność złączenia ust i ciała? Tokowanie głuszca, a wtedy podkrada się myśliwy?.. Akt miłośny, najwyższa ekstaza fizyczna, po której zawsze następuje chwila czuciowego odepchnięcia. I przytem radośnie-figlarny i lekki uśmiech Erosa, przypatrującego się igraszce, jedynej osoby, nie przeszkadzającej kochankom. Miłość, jakgdyby wstydząca się samej siebie, szukająca nocy i samotności, znosząca tylko uczestników, miłość zamykająca drzwi za sobą?..

Po helleńsku Eros, po rzymsku amor, po francusku amour, po staropolsku i nago, *chuć*.

Nie o takiej miłości mówię w tej chwili, chociaż i ona jest w zupełności dzieckiem poznania. Romeo błyskawicznie poznał był Julję oczyma, dreszczem duszy, zanim jej zapragnął. Do mężczyzn Eros wchodzi przez oczy, do kobiet przez oczy i uszy, zanim wniknie głębiej. Przez dalsze poznanie może się utrwalić w dąb wieloletni, może umrzeć w mgnienie, jak motyl po krótkiej łaskotce.

Tutaj przez miłość rozumiem to uczucie „drzwi-otwartych“, szerokiego świata, promienisto-słoneczne, jakie Helleni nazywali: „Agape“, rzymianie „caritas“, francuzi „charité“, nasz język stary dzwięcznie; „lubość“, a nowszy — „ludzkość“.

Wychodzę na przestwór, ogarniam przyrodę i brzęczący w niej rój ludzi. Poznają. Chodzą weseli, smutni lub obojętni. Radością syci lub cierpieniem. Przez co są więksi od przyrody, czem panują? Tem, że mocniej odczuwają rozkosz i ból... świadomością dobrego i złego. Pół—zwierzęta, pół—bogi. Ciało ich sfinksowe, duch ich sfinksowy. Prąd magnetyczny przebiega od dusz do dusz. „Tat twam asi“, jam jest ty, ty jesteś ja. Jakże ich nie kochać! Jakże nie chwytac szeptu ich serc, nie odpowiadać im biciem własnego.

Widzę walkę. Lice pała, oko gorze, pazury drapia.  
Pół—zwierzę rzuca się na łup. Jastrząb godzi w gołębia.  
Gołąb przemienia się w orła.

Cóż zakwili orzeł? Przebaczcie im, bo nie wiedzą co czynią. Nie wiedzą co czynią, to znaczy, że nie *poznali*.

Bo z poznania, jest uczucie *ludzkości*.

Lata dziecięce pamiętam najwyraźniej. Człowiek ku zmierzchowi zapomina swoje życie od końca; naprzód odchodzi w niepamięć południe, na ostatku poranek. Wszak powietrze ranne jest tak przezroczyste, a rosa roznosi echo najdalej. Baśń dziecięca staje się najlepszym poznaniem.

Dziecko nie kocha nikogo. Wolę posiada ślepą, bezwzględną, nieograniczoną. Żąda od wszystkich wszystkiego. Świat ma być na jego usługi. Czepia się ręki matki i ojca instynktem bezpieczeństwa. Im pieśczośliwiej zwraca się doń dłoń matki, tem łąrdziej dziecko kocha samo siebie. Bo pieśczoła opóźnia poznanie, stąd opóźnia i rozwój miłości. Zbyt pieśczozone dzieci, tak zwane zepsute, zamarzają w sercu. Przeciwnie, dzieci wychowane w okolicznościach surowszych, budzą się w miłości ku rodzicom wcześniej. A wtedy wyrasta jeden z najpiękniejszych kwiatów wdzięczności: u kolan bezsilnych staruszków dobre, lube dzieci.

Wyciągnijmy stąd wniosek. Jakież będzie najdonioślejsze zadanie wychowania? Dać dziecku gruntowne poznanie, świadomość dobrego i złego. Nie fałszować przed umysłem tych głębin rzeczywistości, które rządzą powierzchnią życia, niechaj płynie nurtem. Zwykle czyni się odwrotnie; uczy się je powierzchni, a przez to zabija się zdolność miłości...

Miłość rośnie z rozwojem świadomości: z zanikiem ostatniej — zamiera. Dziecko i starzec, prócz siebie, nikogo nie kochają. Pierwsze w obliczu życia — trzyma się

oburącz wiary i nadziei; drugi trzyma się jej w obliczu śmierci, do ostatniego tchnienia.

Dla tego Helleni mawiali: ukochani od bogów umierają młodo. Ukochani od bogów, to znaczy ci, którzy sami kochają. Są ludzie, którzy przez całe życie byli młodzi. Są tacy, którzy zawsze byli starzy — już w poranku. Miłość nie jest ani dzieciństwem, ani starością; jest młodością, jest siłą.

---

## ŚWIATŁOŚĆ.

Więc dusza moja jest pod rządem wiary, nadziei i miłości. Są to jej działające siły. Dusza wyłania z siebie światło, prześwieśla rzeczywistości. Bez niej, bez tego światła, pęzałbym po błocie jak jeden z miljarða robaków. Byłbym stworzeniem, nie byłbym współtwórcą. A przecież mam ku temu ambicję. Pragnąłbym coś zostawić po sobie, aby nie umrzeć. Chcę żyć wieki, wieki...

Ludzie współcześni, a takich wielu, nie lubią wyrazu „dusza“. Wołają rzec „instykt samozachowawczy“, „egoizm“, „altruizm“, „prawo natury“ i t. d. Wydaje im się, że są prawdziwsi, naturalniejsi, realniejsi, jeżeli unikną słowa „dusza“. Co do mnie, to myślę inaczej.

Dla mnie władze duszy, t. j. wiara, nadzieja i miłość są bliższe i zrozumialsze, niżeli „prawa natury“ i t. d. Jakie są prawa natury, mogę wiedzieć jedynie za pośrednictwem swojej duszy; ta jest ich twórcą, prawda, często omylnym, niedokładnym, wciąż uprzednie działanie poprawiającym, ale jedynym. Mam pewność, że natura istnieje i po za mną, a jam jest jej częstką, ale prawa jej są wyłącznie we mnie. We mnie i w duszach po-

krewnych. Stałość (objektywność) jej „praw“ jest tylko stwierdzeniem podobieństwa naszych dusz, wspólnym punktem wyjścia.

Mamże oddawać bliższe za dalsze, jaśniejsze za ciemniejsze? Wypuszczać z dłoni jedyny ster, nadający mojej jaźni jednolitość i kierunek działania? Zamieniać widoczne i pewne, na kruche i wypadkowe, gdyż niepodobne do zagarnięcia w całość? Czy mam oddać siebie na łaskę i niełaskę despotycznemu panu, czy korzystając z tego, że sam jestem potężną siłą przyrody, łamać to, czego nie chcę, a wśród tej walki rosnąć i krzepnąć na udzielnego władcę?

Ha! to zależy. Istnieją dusze ormuzdowe i dusze arymanowe. Może, kiedyś, zjednoczą się przez poznanie, przez miłość. O! byłoby to za piękne!

Tymczasem śmiesz mnie, gdy „natura“ wysłała swoje „żelazne prawa“ na ekspedycję karną, aby mnie upokorzyć, ujarzmić. Zdrowy taki uśmiech, wzmacnia.

Wysłała mi na pokuszenie karawany osłów z worami złota na grzbietach. Zsypują złoto na kupę przedemną. Rośnie i rośnie, ale jak jest maleńka w ogromnym przestworzu świata. Osły ryczą:

„Patrz jaki wspaniały blask! Weź“ ...

„Szanowne osły, czyż nie widzicie, że kupa nie zasłania mi nawet jednej brzęczącej muszki. Sypcie, dalej, więcej. Wszystko to dla mnie za mało, nienasyconym“.

Czy osły zrozumiały? Gołąb może przemienić się w orła. Czy osioł może zbyć się uporczywiego niepoznania? Tajemnica przemian jest groźną tajemnicą. Z dwóch łotrów przybitych u boku krzyża Chrystusowego jeden uparł się, aby nie poznać... I tak pozostał.

Więc na drugie pokuszenie „żelazne prawo natury“ nasyła mi siłacza z Heraklesową maczugą. Jak wyuczony

pies kładzie się kornie o moich nóg, patrzy mi w oczy.  
Rzecz:

„Silnym, ale nie mogę mierzyć się z tobą, nadczołowieku. Więc tobie zaśpiewam hymn chwały“.

„Olbrzymie! cóż mi za chwała pokonywać, takiego jak ty, niewolnika?“

„Broń mamy nierówną. Ja o wiele lepszą. Nie byłaby to dla mnie chwała, ale morderstwo. Pieśń chwały jedną, niepodzielną, śpiewa chór wolnych, chór, albowiem niepodobna odważyć na szali, co się jednostce należy. Rozumiesz, niewolniku — niepodzielną, jak natura, jak ocean“.

A na trzecie pokuszenie, na pokusę pokus, „żelazne prawo natury“ nastęcza mi dziwożonę. Rozplotła warkocze, podwójnie naga, bo obnażona fałdami szat, wyzywa:

„Pójdź, dam ci rozkosz, jakiej jeszcze nie zaznałeś“, szepce jej gorące tchnienie.

„Chcesz? i ja chcę. Podobasz mi się. Poznajmy się“

.....

Cóż, słodka, teraz, gdy już wiesz kto jestem, a ja wiem, kto ty jesteś, gdyśmy się poznali, powiedz, czy jeszcze, jak Dalila, chcesz mi obciąć włosy? Milczysz? Oczy twoje mówią, że nie... Więc idź, powiedz swemu panu, temu, który cię do mnie przysłał, żeś wyszła odemnie kobietą wolną.

Czemuż was prześladują, wiaro, nadziejo i miłości? was, które jesteście wielką praktyką życia, pomawiają, żeście rozwiewne tkaniny z mgieł i z tęczy, z umarłych księżycowych marzeń, żeście upiory wysysające krew rzeczywistości? O! Ciemny świat Arymana wie co czyni.



Przeszkadzacie mi, bo jesteście światłością. I pomiędzy wami walka nie może zcichnąć nigdy.

Szukacie magików, czarnoksiężników, wyrabiaczy złota, cudotwórców, ale kroki wasze i spragnione oczy błędzą. Chwyacie szyderczą ucieczkę uludy, a z pogoni wracacie zdyszani, bez ducha.

Że poszukujecie cudów, to jest rozproszenia ciemności, dowodzi, żeście ich wari. Odwróćcie oczy ku sobie, w duszę swoją, tam znajdziecie cud, władzę rozpraszenia mroków, siłę do wędrówki bezkresnej w kraj światła.

Pragniecie zazielenić pola wasze, zazłocić szumem ziarnych kłosów, sady napelnić wonią drzew kwitnących, pochwyć energję morza i energję słońca w maszyny wasze, na druty przewodnie, dzieci wasze ubrać w szatę myśli radosnej. I co więcej, a rzecz to najtrudniejsza, pragnęliście w całym tym świecie waszej rzeczywistości czuć harmonję „składnych akordów“, jedną symfonję tworzenia. Pragniecie pracować i być jak słońce — jak ono pracować nieśmiertelnie; chcecie, aby ziemia kręciła się wokoło was tak, jak kręci się około gwiazdy.

Dobrze. Cóż was do tego skłania? Jaka siła? Instynkt zwierzęcy, walka o byt? O jaki byt? Jakież to Bóg objawił wam, że byt wasz ma być chaosem? Nie wiem jaki, ale wiem, że to nie mój Bóg i jam nie jest jego częścią. Nie uznaję jego panowania.

Cud ładu jest wyłącznie działaniem wiary, nadziei i miłości. Bez ich opieki twórczej, pusta i krucha jest praca mrowiska ludzkiego. Bez nich idzie praca śmierci, praca helleńskich Park i co jedna utka, to druga natychmiast przecina. Jak motyle różnobarwne, giną narody na anemję, na brak krwi życia, bez wiary, nadziei i miłości. Świat starożytny, ów z przed 6 — 10 tysięcy lat, jest już dla nas legendą. Umarł na tę anemję. Psyche — geniusz, odle-

ciał, a życie przysiadło na cmentarzysku. Któryż z starych narodów, czyjaż dusza z ciałem pozostała?

Hindusi, którzy poznali miłość w „tat twam asi“.

A żydzi? Dla tych później obszerna kartka, gdyż są niezwykle pouczającym, jedynym w swoim rodzaju doświadczeniem ludzkości. Silni wiarą i nadzieją, jak nikt może, więc czynni i wytrzymali, arcyżywotni, ale od dwóch tysięcy pięciuset lat hodowani w ciemnościach Niepoznania, zaprawiani do Nienawiści, stali się prześladowcami Miłości. Są kaleką, garbusem, złośliwym i szyderym potworem w kulturze chrześcijańskiego, nowego świata. Któż ich usłoneczni?

Wreszcie jakież dowód bardziej rostrzygający przytoczyć mogę, dowód, że źródłem energii twórczej jest wspólne działanie wiary, nadziei i miłości — niż własne moje wewnętrzne doświadczenie? Z ścisłością, która wydaje mi się równą matematycznej, zdaję sobie sprawę, że wszystkie moje poznania i myśli coraz pełniej przechodzą pod władzę rzeczonych sił naczelnych duszy. W niej to następuje gatunkowanie i łączenie w jedność, działanie coraz silniejsze. I wchodzę w atmosferę Bezłeku, w bezwzględny przymus wypowiedzania tego, co odczułem jako prawdę, *bezwzględny* to znaczy, że nie stawiam przed sobą żadnych tam pedagogicznych lub moralizatorskich, obowiązujących dzień ubiegły i dzień dogorywający.

Nie uważam za godny wielkiego myśliciela, jakim był Mickiewicz, aforyzmu jego, w którym powiada: „są prawdy, których nie odkrywa się nikomu“, a przeciwko czemu głębokim popędem zakrzyczał Słowacki. Legenda o młodzieńcu z Saïs, który padł martwy w świątyni, gdy zdarto przed nim zasłonę prawdy, poczęła się z ducha kapłanów egipskich, z łona kultury magii zewnętrznej, ubóstwienia śmierci, z kamiennych ust sfinksa Bezmiłości.

Czyż miłość może lękać się światła, lękać się prawdy?  
Cóż jej ma grozić?

Grozi jej — Nieprawda i tylko ona jedyna — Ciemność.  
Wtedy Psyche ulata i na arenę wracają żałobne Parki  
z nożycami śmierci. Kończy się... zarówno dla jednostek  
jak i dla narodów.

---



NARÓD.



## PIEŚŃ MATKI.

Coraz częstszy i wyraźniejszy nawiedza mnie twój duch, o matko moja. Przychodzi z mogiły wiejskiej od brzoź płaczących i pól szumiących, a pewnie odchodzi radosny, widząc, jak wdzięczność moja dla ciebie rośnie i rośnie.

Za com ci wdzięczny? Wszak miłość jest poznaniem. Więc za co?

Nie za to, żeś mnie urodziła. Poczynając ani myślałaś o mnie, aniś mnie znać mogła. Wszakże mogłaś była poznać i pokochać dopiero wtedy, gdy już czułaś mnie w sobie i przezemnie zaczęłaś cierpieć.

I nie za to, żeś mnie pieściła. Być może było to dla ciebie rozkoszą wpatrywać się we własny stwór, widzieć dalsze nieśmiertelne przedłużenie twojego jestestwa. Niewątpliwie i teraz, w chwilach słabości, chociaż umarła, trzymam się sukni twojej i widzę to, czego wtedy nie widziałem: Twe oczy wpatrzone we mnie z miłością, oczy broniące mnie od przepaści osamotnienia. Bo czyjaż dusza na świecie może być bliższa mojej, niż twoja? Lecz jest to słabość, której jakgdybym się wstydził... Poznawszy olbrzymi świat walki i cierpienia, który jest we mnie i po za mną, jakżeż mogę troszczyć się i rozczulać nad samym sobą?

Za cóżem ci wdzięczny, matko? Ty... nuciłaś dziecku akt wiary. I dziecko wtedy już to rozumiało i nie zapomniało.

Przyjaciel twój, matko, wierne psię poruszało bieguny mojej kołyski, a tyś pieśnią uciszała ostry, przynikliwy, niemal dziki krzyk dziecka. Jeszcze słów nie rozumiało, ale melodia wchodziła w serce.

Wkrótce dziecko zaczęło rozumieć...

„Gdy naród do boju wystąpił z orężem“ i dalej —  
kłujące sztyletem okropne i żałosne:

„O cześć wam panowie, magnaci,  
Za naszą niewolę, kajdany“...

Jeszcze:

„Tańczujcie, polki, póki czas tańcować...“

Albo wyznanie dumy:

„Polacy nie znają wiedeńskich traktatów“.

Pieśń o Arturze Zawiszy, gdy, u szubienicy, rzucił chustkę młodemu oficerowi:

„Tyś krwi braci moich nie przelewał. Oddaj chustkę  
mojej matce“.

Matka moja umiała to śpiewać. Wszakżeż opatrywała rannych, zamykała oczy umierającym na pobojuwiskach powstańczych Mazowsza.

Wszystko gasło, ginęło lub przeobrażało się, rady twoje, matko, troski twoje o mnie. Sam szedłem w świat, drogą własną, często wbrew twoim życzeniom i przestrogom. Potykałem się, padałem, aby się podnieść coraz silniejszy. Dążyłem do poznania. Widziałem światy, których ty nie widziałaś, wchłaniałem przestwory myśli, gdzie nie byłaś. Ale czemże byłoby to wszystko, gdyby nie twoja pieśń wiary?

Im większe osiągnąłbym poznanie, tem czyhałby na mnie okropniejszy głód wiary. Wnet całe poznanie obróciłoby się w męczarnię; pytałoby „po co“, „po co“? I nie miałoby żadnej odpowiedzi. Gdzież sprężyna działania? Liść, od macierzystego drzewa oderwany, już do domu powrócić nie może. Napróżno roi, że go wichry kosmiczne odniosą do jakiejś ziemi obiecanej, na miejsce szczęścia. Jest atomem chaosu, cząsteczką, która utraciła świadomość i... przejść musi do innego porządku organicznego jako *nie - wola*.

Wiara narodowa jest skutkiem czuć i przeżyć tych milionów i milionów, które ciałem legły w grobach. Jest zatem olbrzymią siłą duchową, której rozlicznych skutków niczem zmierzyć nie podobna. Cyfry jej działania praktycznego są nieobliczalne. Mogą być nikłe, jeżeli sama wiara jest wątła, mogą być nieskończenie wielkie, jeżeli otwartemi oczyma rwie się do życia. Naturę posiada słoneczną: może zniknąć za chmurą, lub sprawić bujność życia, całkiem nie do przewidzenia, co do rozmiarów i czasu.

Siła duchowa nie jest niczem innym, jak tem, co nazywamy wolą. Wola jest sprawcą wszelkiego działania. Otóż wiara narodowa, pieśń stuleci, jest wolą dla tych milionów, które się urodzą w przyszłości. Zaprzeczenie wierze narodowej, jako sile naczelnej i twórczej, jest zaprzeczeniem wszelkiemu działaniu i wszelkiej twórczości, jest zaprzeczeniem *woli*. A zaprzeczenie woli to znowu *nie - wola*.

Jakiemże słowem, chociażby niedołącznie, gdyż nie podobna pełnie wyrazić tego, co jest najgłębszą treścią jaźni, omówię, co jest moja wiara polska?

*Wolność i Miłość.*

Dążę do miłości przez wolność, a do wolności przez miłość; obie złączone obrączką ślubną. Wszystko, co w świadomości mojej sprzeciwia się tym dwom uczuciom,

jest dla mnie obce. I chociażby wmawiano we mnie, że to coś sprzeczne z temi uczuciami mojemi jest *wszechludzkie*, dla mnie nie jest wszechludzkie, gdyż ja nietylko tego nie chcę, ale obowiązany jestem z tem walczyć. Idea lub pojęcie, którym nie mogę współczuć, są dla mnie rozkazem, nie przekonaniem. Nie obowiązują mnie.

Poglądam w niebo swej ojczyzny, staram się najdokładniej je poznać i tu działać. Sądzę, że im głębiej poznam tę *moję* cząstkę wszechświata, tem prędzej i lepiej zrozumię jego całość. Kto chce ogarnąć za wiele, ten nie pochwyci nic, oderwie się od rzeczywistości i we mgle straci wszystko.

---

## SPRAWDZIANY.

Może nie było narodu, który miał być tyle powodów do zachwiania się w swej wierze, ile — Polacy. Spadł ze szczytu potęgi i chwały niemal gwałtownie, bo cóż znaczy jedno stulecie w pochodzie dziejów, a krom tego uległ fizycznemu rozdziałowi na trzy części, to jest uległ niebezpieczeństwu trójrozdziału wiary. Czy mógł był istnieć polak o świadomości światlejszej i głębszej, któremu nie zasłaniałyby słońca chmury myśli czarnych, posępnych? Słowem, czy poznanie, rozwijając się na gruncie bardzo sprzyjającym niewierze, nie atakowało wiary? Jeżeli mam przedstawić dowody ogólne z literatury, która bywa dobrym miernikiem stosunków wiary do niewiary, przytoczę dwa. Obydwa posiadają wagę, gdyż pisarze, o których wspomnę, znaleźli szeroki posłuch u szerokiego i myślącego ogółu. Posłuch ten musiał mieć podstawę w tożsa-

mości lub podobieństwie czuć. Mam na myśli Żeromskiego i Wyspiańskiego.

Jeden i drugi, ludzie głęboko czujący, gwałtownie, całą burzliwą siłą talentów twórczych, chcą wierzyć, ale nie mogą wierzyć.

Wyspiański dopatruje się w Polsce fatalnego gospodarza wewnętrznego — Chochoła, usypiającego naród do letargu, gorzej, do tańca śmierci. Przy tym obrazie potężnym, pełnym duszy i życia, jakże blade, nikłe, pozbawione krwi są jego „wyzwolenia“. Któż uwierzy w nie na prawdę? W te bladolice upiory zdatne wprost do trumny, nawet bez nadziei zmartwychwstania? Daremnie silić się na to, czego się w sobie niema; będzie sztuczne, nie pożyje. Tak i Dante, wielki mistrz Inferno — piekła, chybił z Paradiso — rajem, gdyż nie czuł raj, a pisał go ku dopełnieniu dogmatycznej trylogii. Bez jego raj, można się całkiem obyć, a kto spragnion, niechaj się po to uda do Franciszka z Assyżu.

Jeszcze gwałtowniej i tragiczniej, bo bez złotych strun piastowych, na których grywa dusza Wyspiańskiego, szamocze się Żeromski. I on, jak Wyspiański, marzy o potędze: „wy możecie wiele mieć, ino trzeba mocno chcieć“. Niestety *velle non discitur*. Chcieć chcieć jest to marzenie głowy świętej. Nikt lubieżniej nie roi o roskoszy z kobietą, niż ci, którzy posiadają świadomość zbliżającej się niemocy.

Więc daremnie swe sumienie polskie Żeromski usiłuje uspokoić obrazem hetmana Żółkiewskiego pod Cecorą, obrazami, przynajmy, tu i ówdzie artystycznie świetnymi naszych legionistów, wszystkich nieudałych wyzwoleń. On nie wierzy w tradycję polską. To—„popioły“ na kształt tych, jakie żarzą się mocno w tajnikach jego duszy. Czy myślicie, że wierzy w tę Młodą Nową Polskę, którą wmówiła weń atmosfera niewiary? Nie, za głębo-

kim jest polakiem, aby mógł wierzyć w tę Nową, skoro nie wierzy w Starą. Więc mociuje się sam z sobą.

A gdy w jednym z obrazów, usiłuje nadać polot *nowemu* polakowi,—(marzeniem swoim wypieszczonemu dziecku przyszłości),—rozbija go w końcu sam, jak rzeźbiarz z Bożej łaski, kruszy nieudały tors. Ów nowy polak, latając na aeroplanie własnego pomysłu, wynalazca pół-genialny, ale kiepski i niewytrawny technik, nie umiejący obliczyć ilości potrzebnej do lotu benzyny, czuje się szczęśliwy, że mógł być uratować się, spadając na pancernik niemiecki. I dobrze mu tu, błogo, człowiekowi, zmęczonemu targaniem się, wśród karnych, dobrze umytych, uśmiechających się w jeden sznur „in Reihe und Glied“ Niemców.

Więc marzenia o potędze są snem o potędze obcych? Czy na tem polega wyzwolenie?

Niewiara mści się, bo jest zaprzeczeniem miłości, a zatem treścią jej jest zabijać, chociaż zdaje się jej, że tworzy.

Piękne są te obrazy piekła polskiego, piękne i mocne. Działają jak djabły sredniowieczne — w ciemnościach. Ludzie boją się ich i podlegają bardziej, niż Bogu, bo Bóg chrześcijański jest dobry i przebacza, a djabeł nie; mści się. Tylko nie piszcie na bramach piekielnych gośle niewłaściwych i kłamliwych. Nie piszcie tam „wyzwolenie“, gdzie być ma, wedle odwiecznej ustawy duszy: „porzucicie nadzieję wy, którzy tu wchodzicie“.

I nie zaprzeczajcie istnieniu czarnego jegomościa duszy ludzkiej, djabła, choć przestarzałe są już wam jego rogi i kulawizna. Trzeba się z nim poznać i — jakiz trafny wyraz! — *wyświecić* go. Wyświeca się świecą, światłem. Wtedy djabeł uchodzi, a jeżeli powraca, to z czapką w ręku — z pewnym lękiem i szacunkiem. Powołuję się na stare i powszechne przysłowie wiary polskiej: „nie taki straszny djabeł, jak go malują“.



I gdy się przyjrzeć okiem *wyświecającym* działaniom duszy polskiej w przeszłości i w terażniejszości, a przytem w porównaniu z działaniami dusz innych narodów Europy, nabiera się pewności, że dusza nasza zawiera stosunkowo dużą ilość słońca. Nie mam podstawy dostatecznej do twierdzenia, że jest najprzedniejszą z wszystkich, zresztą tego rodzaju szacowania są wogóle bezcelowe, alem pewny, że posiada własną twórczą wartość. To mi dość.

Im starszy jestem i bogatszy w doświadczenie, tem głębszego szacunku nabieram dla naszej tradycji i naszego ludu. Tradycja jest to idea utrwalona przez wieki, jest to *przeszłość*; lud jest to *teraźniejszość*, przyoblekająca ideę w ciało coraz potężniejsze i bujniejsze. Więc Tradycja i Lud są to zasadnicze elementy *przyszłości*.

Lecz, zanim przejdę do tej ważnej treści, muszę wprzód omówić pierwiastki główne naszej wiary narodowej, to jest, Wolność i Miłość.

---

## LIBERUM VETO.

Dwa państwa sród nowoczesnej kultury chrześcijańskiej, wykazały największy stopień instynktu wolności. Anglija i Polska. I tu i tam powstały wczesne, rzeczywiste i szczerze w dążeniu konstytucje; i tu i tam wojska stałe nie były przedmiotem dumy narodowej, ale obawy. Podobieństwo widać i w pewnym kierunku obyczaju. Dwór rządzący nigdy nie odgrywał poważniejszej roli ani w Anglii, ani w Polsce; główne tętno życia skupiało się w siedzibach rodzinnych, w homestaadzie angielskim i w dwor-

kach oraz zaściankach polskich. Są to typowe cechy rasowego usposobienia do wolności.

Idea cezaryczna, spuścizna po starym Rzymie, umarła ciałem, ale żywa duchem, przenikała w różne czasy do francuzów i do niemców, oslepiając te ludy, na dłuższy lub na krótszy okres czasu, błyskotem nietrwałego, lecz pysznego w barwach, majestatu. Potem, jako po nocy, przemienionej na dzień przez sztuczne dekoracje świetlne, następowały krwawe zorze poranku, a słońce wschodziło w czerwonych plamach. Anglja nie puściła do siebie idei cezaryzmu—nigdy. Miała do niej taką instynktową odrazę, że nawet anglikańska reforma religijna w motywach swoich, nie była skierowana przeciwko katolicyzmowi, zawsze sympatycznemu dla celtyckiej połowy duszy angielskiej, lecz przeciwko cezarycznej idei ówczesnego papieżstwa. Nie było to walka z religją, ale z niewolą, którą niosło duchowieństwo ówczesne, a naród, jak pies rasowy, wietrzył ją dobrze.

I w Polsce cezaryzm nigdy nie mógł być znaleźć trwałego gruntu, acz katolicyzm rzymski stał się religją narodową, zwyciężywszy wszystkie gatunki protestantyzmu, w stuleciu XVI-m tak bujnie w Polsce rczpowszechnione. Instynkt antieczaryczny był tak wielki, że nawet stałe i silne prądy, sycone przez obcokrajowych wysłańców stolicy Rzymskiej, prześlizgnęły się po powierzchni duszy polskiej. Mogły były i w istocie wywierać wpływ nieraz fatalny na ogólny bieg spraw, ale instynktu przerobić nie zdołały. Rasa w głębinie jaźni, nie przyjęła idei narzucających; uginała się pod ciężarem wielkiej legendy stuleci, ale wewnątrz nie przyjmowała nic, nie zmieniała się co do kierunku woli.

Gdy pod wpływem kultury łacińskiej, szeroką falą do Polski wpływającej, historia starego Rzymu stała się niejako wzorem dziejowym dla nas, instynkt polski z tej

historji wybrał nie epokę cesarów, ale okres republikański. Nie imponowali duszy polskiej ani August, ani Tyberjusz, ani Trajan, postacie niewątpliwie duże, lecz takie wzory jak Scypjon, Marcellus, Katon i t. d. Wszystko się pieczętowało nie Cezarem, ale republiką. I jeżeli wola, nie oświecona przez poznanie, staje się trudną do okiełzania samowolą, czy to w porządku państwowym despotycznym, czy samorządowym, to samowola szlachty i magnatów naszych była natury nie cesarycznej, lecz republikańskiej.

Myślę, że żaden rdzenny Polak, chociażby mu nawet dano do rozporządzenia wszelkie środki władzy cesarycznej, mimo chęci, despotą politycznym byłby, nie umiał. Nie wierzę, aby wśród nas mógł urodzić się taki Ludwik XIV-szy, taki August II, taki Fryderyk II. Trzeba by ich importować, aby później... mieć z nimi wiele kłopotu. Któż miał na skroniach większą glorię chwały, a w dłoni miecz silniejszy od Jana Sobieskiego? Czy ten świetny przedstawiciel rasy polskiej, żyjąc w epoce blasku cesarycznego Francji i Austrii, miał głęboką wolę do naśladowania tej drogi? Zapewne myślał był o utrwaleniu własnej dynastji, o sukcesji dla synów, ale czy miał w swej woli nakaz bezpośredni, pęd do „*sic volo, sic jubeo*”? Nie zdaje mi się, aby Polak wierzył we własny cesaryzm. Chadzaliśmy pod sztandary obcych cesarów, upajaliśmy się nawet cudzym tryumfem, ale jako straceńcy, zrozpaczeni po utracie własnej ojczyzny.

Polskie liberum veto, jako bezpośredni odruchowy objaw instynktu wolności, tak dobitnie przez tradycję wykazane, jest dla nas nieśmiertelne, to jest może umrzeć jedynie wraz z duszą narodu. Jest to nasza duma z przeszłości i najowocniejsze ziarno na przyszłość.

Dla czegoż spór? Czemu przodkowie nasi nazywali je „żrenicą wolności”, wielu zaś współczesnych patrzy na nie, jako na przyczynę zguby Państwa? Mówią: niezgoda,

zrywanie sejmów, królowanie Sycińskich, ten do Sasa ten do lasa... Jesteśmy w obec nieporozumienia.

Przeje wszystkim, jako akt politycznego działania w sejmie, jedno „nie pozwalam“ nie było, nawet w czasach najnierządniejszych, brane na serjo. Veto miało wagę wtedy, gdy za plecami najętego lub podmówionego krzykacza, stała ukryta kompanja przeciwników wniosku lub ustawy. Zatem była to często opozycja mniejszości przeciwko większości, w postaci, co prawda, bardzo niezdrowej, bo ukrytej. Wiemy, że dzisiaj w ustrojach parlamentarnych, po pewnej praktyce dziejowej, głos mniejszości nabiera coraz większego znaczenia. I ten, że się tak wyrazimy polityczny protestantyzm, staje się cechą współczesnego systemu wolnościowego. Wartość *teoretyczna* starej idei polskiej wychodzi na światło dzienne.

Powtóre niedość, chociażby jednogłośnie, okrzyknąć ustawę, trzeba i to najważniejsze urzeczywistnić ją w zastosowaniu; nie tylko jej bronić, ale czynnie wykonać. Ileż to ustaw Rzeczypospolitej, uchwalonych z zapalem, nie przeniosło się wcale z *volumina legum* do życia, z pergaminu na ziemię, lub działało w skażonej karykaturze? Słomiany zapal wypala się szybko zawsze, gdy go naprawdę w duchu niema.

Jednakże, gdy chodziło nie o polityczne kroki rozwojowe, ale o obronę tradycji i prawa obyczajowego, ów zapal działał pełną mocą. Bo już niemal niezwłocznie po Jagiellonach sztab Rzeczypospolitej, jej inteligencja, ludzie powołani do patronatu politycznego, przestali rozumieć wartość myśli państwowej, jak gdyby ich *poznania cofnęło się wstecz*. I rzeczywiście mózg polski stanął.

Jakiż to fakt zastrzyknął kurarę w głowy przewodników narodu. Gdzież się zapodzieli światli humaniści nasi i statyci XV i XVI stulecia, wygłaszający poglądy, które i dzisiaj czyta się z wielką uwagą? Gdzież spadkobiercy

Kopernika w nauce, a Jana Kochanowskiego w poezji i melodji języka? Gdzież czysty ton Piastowski, objawiony w rządach Łokietkowych i Kazimierzowych, w zmożeniu krzyżactwa, w swoistym arystokratyzmie polskim, dążącym do podniesienia wszystkich na poziom najwyższy? I gdzież potęga myśli i czucia, wyrażona w walkach religijnych XIV stulecia, w mnóstwie rozpraw filozoficznych i polemicznych, w działaniach arjanizmu, stwierdzonych przez dokumenty do dzisiaj w archiwalnym pyłe zapomnienia leżące, gdzież, pytamy, to wielkie laboratorium polskiej energii duchowej, świetny zadatek na przyszłość?

Wszystko to zapadło się gdzieś pod ziemię... a my, dzisiaj, skłonniśmy widzieć tylko brykające i wyuzdane liberum veto, to jest ustawę — tam, gdzie należałoby przypatrzeć się *gatunkowi ludzi*, tak zwanemu duchowi czasu, którzy się tą ustawą posługiwali.

Przecież byli to już inni ludzie, niż ojcowie ich z doby walki o myśl. Twórcza myśl polska pod koniec XVI stulecia *przegrała*, a młode pokolenia przeszły w tresurę szkoły scholastyczno-łacińskiej, kierowanej głównie przez jezuitów, jako obrońców świeckiej władzy papieża i katolicyzmu wojującego. Siew obskurantyzmu rozpoczął się pełną garścią w całej Europie, najgęściej zaś w Polsce, gdzie znalazł najmniej przeszkód i najsłabsze przeciwdziałanie; tutaj wydał największe owoce, które gryziemy po dziś dzień. Systemem pedagogicznym tej szkoły był mechanizm, ideją kierowniczą — kosmopolityzm i cezaryzm, a skutkiem całkowite ogłupienie umysłu tępego, a zepsucie umysłu lotnego.

Już w lat sto niespełna po Kochanowskim i Klono-wiczu urodził się nam Jan Chryzostom Pasek, jako wyraz ówczesnej oświeconej, bywałej duszy polskiej, zaś język Urszulki uległ zbiczwaniu w karceresie szkolnym. Język polski, do tej pory tak bujnie i szybko rozwijający się na

piu ludowym, rozwidlił się na dwa: na język piastowy, często gruby, ale w tonie czysty, dla użytku warstw wykształconych, tego kmiecia, który w stuleciu XVII stał się już pełnym chłopem — i na język szlachecki, szkolny, makaroniczny, szpikowany łaciną, a później u magnatów francuszczyzną, język naśladowczy, godzący wprost w indywidualność polską.

System wychowawczy Ignacego Lojoli, z całkiem obcego Polsce ducha basko-hiszpańskiego wyłoniony, a godzący wprost w indywidualności narodowe, nie miał dość mocy, aby zmienić naturę polską, jej ton zasadniczy. Praktyka biernego posłuszeństwa, oparta nie na podstawie poznającego czucia, lecz na nakazie, poparta przez żelazny system tresury umysłu, „eritis sicut cadaver“ nie przebiła pancerza rasy naszej, nie doszła do serca, nie zrobiła z nas żywych trupów.

Ale wielkie szczyby poczyniła na głębokiej powierzchni. Sparaliżowała rozwój życia duchowego. Zamiast wytrwałości entuzjazmu posiadała bezmyślność uporu i zawziętości, a w charakter wszczepiła usposobienie do fałszu, który do dziś dnia jest *największą* przeszkodą do skuteczności naszej pracy zbiorowej. Fałsz jest to ten wypróbowany narząd, dzięki któremu miliony robaczywych ambicji pełzają po patryjotyzmie. Nasz lud jest skryty, niedowierny i ma słuszność: W niedowierzaniu tkwi jego obrona; ładnieby wyszedł, gdyby miał wierzyć wszystkim narzucającym się Żołzikiewiczom. A nasze warstwy kształcone są fałszywe i dla tego trudno im się z sobą trwale porozumieć. Fałsz jest środkiem obrony dla żydów, wogóle dla pasorzytów z koniecznością mimikry; dla aryjczyków jest zaprzeczeniem twórczości.

Najprzenikliwszy i najgroźniejszy wróg polskości, jakiego wydały dzieje, główny sprawca rozbiorów Rzeczypospolitej, Fryderyk II, na tem skażeniu charakteru rzą-

dzących warstw polskich oparł swoje działanie polityczne. Chwylił je w lot i umiał skorzystać jak nikt. Z szatańską drwiną, rozkoszując się złośliwością, nie wahał się w swoich zapiskach otwarcie charakteru polskiego zniesławiać. Patrzmy w rewelacje naszych nieprzyjaciół, zawsze stamtąd coś użytecznego wyniesiem.

Więc nie mogę przystać na pogląd, wyznawany przez wielu, że charakter naszych warstw kształconych zepsuł się dopiero przez niewolę po rozbiorach. Wtedy, za Fryderyka II, nie było jeszcze polskich niewolników, byli *pares inter pares*, szlachcice ze złotą wolnością, magnaci królewęża ze złotą samowolą. A jednakże już wtedy „sę wyżerał mózgi“.

Gdy mu w wychowaniu publicznym zamknięto księgę życia duchowego, gdy odsunięto perspektywy myśli a wciśnięto go w kluby interesu wyłącznie materialnego i grubyh uciech, ów szlachcic sejmów jagiellońskich teraz poszedł wprost na jarmark hałasować, handlować końmi (oszukując), pić w szynku żydowskim i wrzeszczyć *liberum veto*, chociażby dla tego, aby pokazać, że i on coś znaczy. A magnat wszelkiego gatunku, bądź ów nieliczny, pochodzący z rzeczywistych rodów rycerskich, bądź z księżych, bądź z ekonomów dorobkiewiczów, prawem bogactwa doszedł do lekceważenia środowiska i szukał sojuszu nie z własnym narodem, ale z obcymi. I takim, w głębi duszy, z nielicznymi wyjątkami, pozostał do dziś dnia. Tak zwana arystokracja nasza nie wierzy w swój naród i lekceważy go. Jej francuzczyzna bynajmniej nie jest popisem, jest lekceważeniem polszczyzny, jeżeli nie bezmyślnością. Z drugiej strony jej trójlojalizm porozbiorowy wyrasta z tradycyjnych korzeni, z tęsknoty do dworactwa przy silnym tronie.

Lud, o ile siedzi na własnej ziemi zwartą gromadą, może przez całe stulecia żyć w letargu niekształcenia i żyć

zdrowo, to jest *bez utraty możliwości* najwyższego rozwoju, gdy nadejdzie pora światła. Ale warstwy, które już raz pchnięto na drogę cywilizacji, nie mogą stanąć w swym pochodzie, pod grozą gnicia. Kształt prostszy może się rozwinąć w kształt złożęnszy, ale odwrotnie pójdzie już drogą rozkładu, nie rozwoju. Myśl kulturalna płynie jak rzeka, a zatrzymana tworzy bagniste rozlewy. Właśnie przez takie zatrzymanie nasz instynkt wolności stał się rozlewem samowoli. Instynkt pozostał, można go bowiem wytepić jedynie pospołu z wytepieniem rasy narodowej, ale przybrał kształty chorobliwe.

Jednakże cóż temu winna sama zasada, sama idea wolności, samo poczucie *liberum veto*, „żrenica“ naszego rozumu politycznego i jednocześnie takt serca? Jeżeli ośpienie umysłu i szczyby w charakterze powstały wskutek zatamowania życia duchowego w pewnym okresie dziejowym, to zdawałoby się, że jedynym odczynnikiem na te słabości jest rozszerzenie życia duchowego, skupienie ku wewnątrz poznającego czucia.

I w taki sposób zawsze rozumiał sprawę dźwigający się z niewoli obcych narzuceń instynkt polski. Dążeniem jego stałem i przewodniem, jak gwiazda polarna, od czasów Stanisława Konarskiego, było stworzenie dobrego wychowania narodowego. Jest to najlepsze, najistotniejsze zrozumienie sensu nowoczesnych dziejów naszych, zrozumienie o wiele głębsze po nad tezy, wywody i teorie naszych historyków.

Historyka, w wielkiem tego słowa znaczeniu, na miarę wysokości Kopernika lub Mickiewicza, dotychczas nie mieliśmy. Posiadamy dziejopisów poważnych i rzetelnych, ale są oni dalecy od *psychicznego* ujęcia w całość naszych działań narodowych w ciągu lat tysiąca. Doskonała historia Poski jest dopiero w okresie monografji. Co było i jest próbą syntezy, robi wrażenie albo książki do na-



bożeństwa, co prawda zbędnej dla Kościoła, albo teoryj do użytku polityki bieżącej.

Zresztą, nie tylko u nas, ale i wszędzie, geniusz historyczny jest djamentem najrzadszym, rzadszym niżeli geniusz poetycki, a nawet i filozoficzny. Tak myślę, czytając Tacyta lub Macaulaya i porównywując ich z setkami innych, co do których ma się wtedy wrażenie, że dają zbyt małą cząstkę intuicji całości. Na wielkiego historyka, któremoby same fakty sły pod rękę, składa się uczony, duszożawca, filozof i entuzjasta. Takie spotkania w jednej osobie bywają rzadkie.

Wierzę, że gdy Polska powróci do formy, to, jako rezultat własnej „racji stanu“ i samodzielności wychowania narodowego, taki historyk się narodzi.

Pewnym dla tego, że bujna energia i lotne ideje naszych wielkich przodków XIV, XV i XVI stuleci żyjąc wewnątrz nas, drżą z niecierpliwości, aż się uchylą drzwi piwnicy politycznej. I pochwycą nić rozwoju. Tymczasem iść musimy jeszcze po omacku, raczej instynktem niż rozumowaniem. Bo żadne rozumowanie nie zniszczy niewoli, przeciwnie może ją pogłębić, a nawet usankcjonować. Wyzwalają tylko akty wiary. Rozumowanie bez wiary jest lokomotywą bez pary; w braku własnej, narody obce wypożyczają swojej pary i użytkują maszynę jak chcą.

Wspomniałem na tem miejscu o historykach. Uczyniłem to dla tego, że z ich grona, w zaborze austriackim, powstała teoria, uważająca *liberum veto* duszy polskiej nie jako zasadę ustrojową i rozwojową — dla polaków, ale za rozstrojową i wsteczną. Jako odczynnik na nią, wskazano jednym pociągnięciem pióra: bierność karność i posłuszeństwa. Komu? jeżeli nie ma się własnego państwa, ha, każdemu, kto zapłaci gotówką, urzędem, honorem... no, nie całemu narodowi, byłoby

to za kosztowne, ale chociażby propagatorom, pośrednikom i namawiaczom.

Samobójcze ataki umysłu polskiego na pierwiastki wiary narodowej w dobie ostatniej nie były rzadkością. Dotknę ich szerzej, na innem miejscu, gdy będę rozpatrywał umysł współczesny naszych warstw kształconych.

---

## TOLERANCJA.

Drugi pierwiastek wiary polskiej to Miłość. Może bliżej uwydatnia rzecz o jaką mi chodzi, wyraz *ludzkość*, odpowiadający łacińskiemu *humanitas*.

Oczywiście mowa tu o humanitaryzmie, o kierunku uczucia, nie o humanizmie, który odnosi się do kierunku myślenia.

„Miłość bliźniego“ jest jakby szczytem ludzkości, szczytem, osiąganym jedynie przez ludzi wyjątkowych. Mówię, że my Polacy jesteśmy *ludscy*. W naszej rasie tkwi łagodność, przyrodzona sympatja do ludzi w ogóle, zarówno swoich jak obcych, tak bardzo posunięta, że często życzymy lepiej osobom dalszym, niż bliższym. Ponieważ większość „bliźnich“ przy lepszym poznaniu traci i zraża nas, więc obfita nasza sympatja rozlewa się na osoby dalsze, mniej lub wcale nieznanne. Przytem twierdzę, że tej dobroci lud posiada więcej, niż warstwy kształcone, albowiem lud nie przeszedł tej historycznej szkoły fałszu, o jakiej mówiłem wyżej.

Usposobieniu naszemu wstrętne jest okrucieństwo, państwienie się lub hajdamactwo. Jeżeli co do instynktu wolności niektóre inne narody nie ustępują nam, a może

nawet, jak anglicy, przewyższają, to co do instynktu ludzkości stoimy w rzędzie najpierwszych. Nie wynaleźliśmy ani jednego narzędzia tortury; wszystkie używane przez nas, były prostem naśladownictwem niemieckich, zapewne i majstra kata szukaliśmy również pośród Niemców. Jakże imponujące i twórcze są krzyż semicki, łamacze kości francuzkie, żelazna dziewica norymberska, ściskająca pierś delikwenta, wykluwająca mu oczy i t. d. — wobec polskiego ubóstwa pomysłów pod tym względem. Teorji męczenia nie stworzyliśmy, chyba dla niedźwiedzi w akademji Smorgońskiej. Nasza mściwość nosi wybitną cechę pieniactwa: chodzi o postawienie na swoim, o upokorzenie wroga, nie o rozkosz upajania się cierpieniem. Więc rozkosz naszej zemsty krótka, kończy się wraz ze łzami przeciwnika, lub z jego nieszczęściem. Wrogów po śmierci odprowadzamy na cmentarze, gotowimy nawet kłaść ich trumnom wieńce. Nasze pogrzeby są tłumne, każdy spieszy dołożyć cząstkę własnego ludzkiego uczucia.

Wyrazem dziejowym naszego uczucia ludzkości jest Tolerancja.

Uczucie ludzkie zawsze odpychało nas od nawracania obcych, nie zajmowało się propagandą wyznaniową ani narodową. Jeżeli nasz kmięć piastowski z poczuciem własnej wyższości patrzy na Niemca, na jego pracę zabięgliwą, ale ponurą, bez poezji i bez Boga, na zatwardziałe sobkostwo jego serca, to jednakże nie przyjdzie mu na myśl, aby nie uważać go za człowieka i przy okazji nie postąpić z nim po ludzku. „Psia krew, ale człowiek“. „Ostawię cię w pokoju, abys i ty mnie ostawił w pokoju“. Taki sam stosunek do innego natrętnego sąsiada, do Żyda.

I kmięć piastowski nie pragnie wcale, aby obcy wstępował do jego gromady.

Czyż może wiedzieć naprzód, co się z tego krzyżowania narodzi? A i po cóż?

I tak kobieta jego wyda tyle dzieci ile potrzeba.

Nie sądzę, aby człowiek twórczy mógł chcieć innego stosunku do życia. Warunkiem jego pracy jest spokój od sąsiada, bo jeżeli musi być wojna, to trzeba zawiesić pracę i skrócić dni... Przykra konieczność, ale nie idea.

Tolerancja nasza wyraziła się dobitnie w unijach, które były ulubionym sposobem polityki polskiej. Unije były dobrowolną zgodą na państwowe współżycie, gdy nie pozostawało nic innego do zrobienia nad podbicie, a zatem rozpoczęcie walki na stulecia. Przystosowanie wzajemne miało odbywać się drogą naturalną, prawem wyższości twórczej. To co wolnościowa Anglja zaczęła robić dla kolonij dopiero po kosztownej nauce historycznej, po oddzieleniu się Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, to stosowała Polska od 15 stulecia.

I Polacy nigdy nie naruszyli gwarancji tolerancyjnych przez jakikolwiek fanatyzm wyznaniowy lub plemienny. Wszystko, co w Polsce miało cechy fanatyzmu, było zawsze przywozem cudzym. Pochodziło bądź z przylotu idei cezaryczno-universalistycznych i feudalnych, a przedstawicielami tych było ówczesne świeckie papieństwo i cudzoziemscy królowie na elekcyjnym tronie polskim. Ale naród walczył całym instynktem przeciwko zamachom na wolność i tolerancję, była to jego wiara. Nadużycia jakie się zdarzały, wyglądające z pozorów na akty ciemnego fanatyzmu, nie pochodziły z podochoenia nietolerancji, lecz z chciwości bogactw, ze sprawy poddaństwa i dochodów.

Stosunki agrarne wtedy w całej Europie były opłakane, a w Polsce mogły być jeszcze gorsze ze względu na ciemność wychowania narodowego oraz na stopień umysłu warstw przodujących. To stopienie, mimo błyskot

łudzących pozorów, i dzisiaj znowu z tej samej przyczyny, wskutek braku niepodległej szkoły narodowej, mocno odczuwać się daje. My już od lat 300 nie mieliśmy się gdzie uczyć według naszej wiary, gdyż te dobre poczynania, jakie rozpoczęto parokrotnie przed rozbiorami i po rozbiorach, trwały za krótko, aby mózgi dać poważniejszy skutek.

Lecz ktoś mógłby zarzucić... Czy tolerancja nie bywa aktem bierności, apatji, lenistwa, słabości, braku miłości. Znoszę obok siebie, w moim domu, wszystko: brud, nieład, robactwo, nie dla tego, abym kochał to, co mnie gryzie, ale wprost, dla tego, że niechce mi się domu wyprzątnąć. Czy i taka tolerancja należy do treści naszej wiary narodowej?

Tutaj pogarda i szyderstwo nadczołowieka Nitschego byłoby głosem prawdy...

Nie wolno mi zaprzeczyć, że w działaniach tolerancji polskiej widzę wyraźne miejsca wygody i lenistwa. „Niechaj gdzie chce będzie wojna, byle nasza wieś spokojna, byle nasza wieś zaciszna“. Widzę *kwietyzm* gatunku niedwuznacznie poziomego. Widzę słabość tętna duszy, a w perspektywie niewolę od zewnątrz.

Ale to znowu specjalność warstw kształconych, klas *wygodnych*, nie ludu.

„Ostawiam cię w pokoju, abyś i ty mnie ostawił“. Ale czy ów *on* zechce ostawić w pokoju? Przecież należy poznać człowieka z którym się jada chleb i sól.

Czy jesteśmy równy z równym duchowo? Czy i jego wiarą narodową jest tolerancja? Czy, jeżeli nie bije mnie dzisiaj, bo jest słabszy, bo nie nadszedł jego czas, — nie myśli o tem, aby uderzyć mnie jutro, pojutrze — wyrzucić mnie z mojego domostwa, z ziemi, z cmentarza?

Więc sprawa pierwsza: tolerancja nie może zacisznie spać, musi *poznawać*.

A to jest praca: myśleć, wczuć się, nie przeczę. Poznawszy się u sąsiada z nietolerancją, cóż ma czynić tolerancja? Poddać się, to jest wzgardzić sama sobą, wyzbyć się racji istnienia?

O nie: jeżeli posiada żywy ogień, żywą wiarę, jeżeli jest rzeczywiście tem, czem być ma ambicję, to jest *miłością miłości*, ludzkością dla ludzi, tolerancja musi stać się nietolerancją względem nietolerancji. W tym *jedynym* wypadku tolerancja musi być fanatyzmem, musi trwale nienawidzieć. Nie człowieka, nie ciała, ale jego duszę. Taka nienawiść jest czystą twórczością.

I taka tolerancja, płynąca nie ze źródła bierności, ale poczynająca się z energii, bije w sercu narodu, w sercu ludu polskiego, ilekroć poznał, że nacisnęła go nietolerancja. Nie wdaje się wtedy w rozumowania, ale daje odpór bezwzględny, odpór nienawiścią złej siły, objawiony w sposób wyraźny. Taki odpór odczuła ręka polityczna Rosji przedwojennej w sprawie religijnej; z tą nienawiścią spotkała się pięść pruska na wozie Drzymały, w proteście dzieci wrzesińskich. Któż nie nazwie takiej nienawiści najpiękniejszym kwiatem miłości? Bo jest to *święte* oburzenie, które w każdej chwili przemienić się zdolne w miłość i... zapomnieć, przebaczyć.

Lecz nie wszystkie działania zaborczej nietolerancji są jednakowe. Dwa działania wyżej nadmienione, rozporządzające przewagą siły materialnej i w nią dufne, uderzały wprost bez maski, przeto niepodobna było ich nie poznać. Lecz krom takiej nietolerancji jawnej, działają nietolerancje utajone, w podziemiach, zmuszone do maskowania się, dopóki słabość materialna nie rokuje im powodzenia w walce otwartej. Trzeba się bacznie wpatrzeć, aby je rozpoznać. Taką groźbą tryumfującej w przyszłości nietolerancji jest rzekomo pokojowe działanie żydów.

Maska żydowska jest najtrudniejsza do zdarcia. Jakżeż bez uczucia ludzkiego patrzeć na to ciemne, nędzarne, brudne, okropne ghetto, rojące się jak gniazdo czarnego robactwa? Niepodobna wystawić armaty, zniszczyć go aktem barbarzyństwa, pójść wbrew własnej wierze i ponosić skutki takiego duchowego samogwałtu. Wtedy mści się Aryman na tym kto służy Ormuzdowi, a źle służy.

Na tolerancji polskiej nietolerancja żydowska robi swój geszeft terażniejszości i przyszłości. Podchlebia się zasadniczemu pierwiastkowi naszej wiary, sprzymierza się rzekomo z duszą naszą do walki o Tolerancję i o Postęp, aby w przyszłości, gdy nadejdzie pora przewagi, zgola bez rumieńca zdradzić, postawić na niej stopę, skopać, oplwać i wyszydzić jako „głupca“. Słusznie: niepoznanie przez lenistwo duchowe rzeczywiście jest głupotą.

Miłość, jako dziecko wiary i poznania, jest szczytem mądrości. Ale powtarzam: dziecko *poznania*. Tolerancja bez poznania, co się toleruje, jest słabością kaleki, nie polotem ducha.

Naturze żydowskiej poświęcę osobny rozdział, a to ze względu na jej współzycie z polską.

---

## TRADYCJA I LUD.

Zygmunt Kraśiński pragnący, aby „stał się cud — z szlachtą polską polski lud“ wyczuł fakt rzeczywisty, mianowicie pewne różnice w duszy ludowej a szlacheckiej. Nie myślę, aby poeta rozumiał tę różnicę, że tak powiem *agrarnie*, to jest jako powstałą wyłącznie na gruncie współzawodnictwa we władaniu ziemią. Taka różnica dała-

by się usunąć w zasadzie jednym pociągnięciem prawodawczego pióra, nie potrzeba na to „cudu“. Tutaj wyraz „cud“ oznacza powagę i głębokość duchową sprawy.

I nie tylko Krasiński. Wszyscy romantycy polscy odczuwali fakt dysonansu, Mickiewicz uparcie patrzył w stronę „strzechy“, a Słowacki dumnie wierzył, że „lud pójdzie za mną“. Hymn: „o cześć wam panowie magnaci“, mimo ton szyderski i charakter wyzwania, narzuca się uchu serca polskiego jako prawda.

Coraz wyraźniej, od naszych warstw kształconych wzmaga się prąd ku ludowości — w akcji oświatowej i politycznej, przybierając nieraz karykaturalną postać *chłopomanji*, rażącej zdrowy zmysł samego ludu. Bo chłopomanja to słabość nieumiejętnie czepiająca się siły.

Więc na czem polega rozdźwięk?

Otóż nasza tradycja ludowa i nasza tradycja szlachecka nie pokrywają się wzajemnie. Ponieważ na tradycji stoi idea narodowa, więc, w rezultacie, i co do samej idei i w instynkcie niema zgody.

Mniej więcej do schyłku XVI stulecia tradycja była dla wszystkich Polaków — szlachty czy kmięciów — wspólna. Nie pisana, ale ustna, płynąca wprost z życia. Wielki rozkwit państwa pieczętował ją znakiem siły. Słusznie nazywamy ją *Piastowską*, albowiem świetność czasów Jagiellońskich była żniwami, a w końcu dożynkami siewu Piastowskiego.

Tradycja Piastowska jest wspólna wszystkim Polakom, dawniejszym i dzisiejszym, ponad różnice warstwowe i intelektualne. Kto jej w sobie niema, kto nie czuje jej piękności i siły, ten, choćby mówił po polsku, napróżno mieni się Polakiem; lepiej aby się od nas dokąd chce wyobcował. Przeciwnie — może ktoś, w obcym środowisku wychowany, już nie mówić po polsku, ale, jeżeli tradycja Piastowska przemawia doń nieodgonnym głosem



stuleci, jest Polakiem i stanie z wiarą czynną na pierwszy przyzew narodu.

Piast, Krakus, Wanda, król Łokietek i król Kazimierz, Zawisza Czarny — oto tradycja, przez którą można zaprowadzić lud dokąd chceć, do nieba i do piekła.

Bo to jest *jego*, jego praca, jego twórczość, jego miłość, jego godność. Nie tylko nie czuje w tej tradycji własnego poniżenia, ale, przeciwnie, dusza jego dobywa otu. Z ochotą odda życie za tę tradycję i bez roszczeń do bohaterstwa, a z wzniesieniem zaszczytu, że przyzwano ego osobę do obrony wiary polskiej.

Nie przyjdzie mu na myśl żądać na swej mogile innego pomnika prócz: zasadźcie mi drzewo, niechaj bujnie rośnie. Taka jest bowiem religja Arjów: nie religja kamienia, ale żywej natury.

Ale luł, zachowując w postaci najczystszej tradycję Piastowską, nietylko nie uznaje, ale i lekceważy szlachecką tradycję upadku. Naprzód z tego względu, że w tworzeniu ostatniej prawie nie uczestniczył, a więc ta tradycja *nie jest jego*. Powtóre — ponieważ przypomina mu ona dzieje jego poniżenia, gdy z wolnego kmiecia strącono go na chamstwo. Po trzecie — iż ta tradycja jest tradycją upadku, to jest obniżenia i ducha i charakteru narodowego. Instynkt człowieka zdrowego duchowo odpycha go od *gorszego*.

Zdając sobie sprawę, że jest dopiero na progu świadomości, a zatem sił wyrobionych nie posiada, *politykuje ostrożnie* z tą tradycją, jak politykuje z obcymi: z rosjaninem, z niemcem, z żydem. Chociaż daje się wciągać nastrojowo do dekoracyjnych na tem tle manifestacji, głębią serca tam milczy, gdyż czuje coś, co go razi, jakiś fałsz. Wydaje mu się, że jest to robota nie na serjo, a przecież w swoim żywocie prostackim, związanym z pracą codzienną, przywykł zawsze do działania na serjo, aby się *rzecz udała*.

Wielkie szczęście, że tradycja upadku nie jest powszechną dla całego narodu Polskiego. Gdyby tak było, gdyby w „koszulę Dejaniry“ przyodziła się *cała* Rzeczpospolita, bylibyśmy narodowo zgubieni bez ratunku. Przez tradycję upadku nie można dojść do wolności, zarówno jak przez nienawiść do twórczości.

W tem miejscu czytelnik myślący nagleco zastanawiać się będzie, co się mieści w tradycji upadku, jakie uczucia, jakie intuicje? Cóż może być ważniejsze w tej arcy ważnej sprawie nad iluminację wewnętrzną?

Musimy pokrótce zboczyć na porównawcze pole dziejowe.

Naród nasz powstawał w ciągu dziesięciu stuleci sposobem odmiennym, niżeli narody: włoski, francuzki niemiecki lub angielski. Wszystkie one napewno powstały przez *podbój*, a zwycięzcy i zwyciężeni związali się w ustrój feudalny, oparty na różnicach plemiennych. Linją rozwojową tych narodów było wyrównanie, ujednostajnienie tego, co z natury było odmienne. Dzieje ich to naturalna walka o zrównanie praw, walka rewolucyjna o zniszczenie ustroju feudalnego. Jednocześnie wśród tych walk ginęły tradycje odrębne, a powstawała jedna tradycja coraz potężniejsza, coraz bardziej wszystkich obowiązująca. Dzisiejszy francuz, anglik, włos, od góry do dołu posiadają jedną jedyną tradycję.

Polska nigdy nie była feudalna. Hipotezy i to tylko *hipotezy* niektórych historyków naszych co do podboju w starej Polsce dotyczą zamierzonych czasów, o których napewno nic nie wiemy. Dopatrują pewnych śladów feudalizmu na Mazowszu, ale są one tak błahe, że nie można ich brać w rachubę. Polska Piastowska powstała z łączenia dzielnic blisko-plemiennych, a Jagiellońska również nie przez *podbój*, ale przez unję. Tu nie było zasady naturalnej do nierówności praw. Polacy rozpoczęli byt histo-

ryczny od *równości*, a w swoich dzielnicach Piastowskich od blizkiej pokrewności. Nie mając w łonie przyczyny do walk wewnętrznych, państwo Polskie wkrótce ustrojem politycznym i rozkwitem wyprzedziło państwa Europy Zachodniej. I wtedy już tradycja Piastowska utrwaliła się historycznie jako podwalina na długą przyszłość dla ducha polskiego, póki ten żyw. W tym znaczeniu naród Polski jest najstarszym narodem nowych dziejów Europy.

Duch polski wówczas widział przed sobą wielkie obszary twórczości.

A stanął. Dlaczego stanął? Dlaczego podał się ku gorszemu? Czy nie zapatrzył się w własną potęgę, jak Narcyz w swoją piękność i nie oślepl? A wtedy jak dziecina dał się wprowadzić w ciemność...

Duch stanął, a ponieważ istotą jego jest nieustanny ruch tworzenia, więc przestając działać, upada — przez zanik siły odśrodkowej.

Z taką samą bujnością i rozmachem, z jaką rzucał się przedtem chciwie na kulturę Zachodu, z jaką pożerał „nowinki“ ruchu humanistycznego i reformacyjnego, które szybko przyswajał, przerabiając na polskie, — teraz rzucił się wyłącznie na grubą uciechy zmysłowe, pijaństwo, zawadjactwo, umysłowe *farniente*. A jednocześnie oddał się wyłącznie pogoni za groszem i fortuną bez żadnej tamy religijnej i rozumowej. Zapadła się w przeszłość rozważna statyka posła sejmowego z doby Rozkwitu, wszystko ustępować musiało przed bujną chciwością używającego próżniaka. Rozpoczęła się era tradycji szlachecko-magnackiej.

Wtedy załamała się linja rozwojowa Państwa. Przez warstwę już nie rycerzów, lecz ekonomów dokonany był podbój jednoplemiennego ludu, stało się sztuczne różniczkowanie tego, co było jednakowem, czyli fakt odwrotny do dziejów Zachodu, gdzie całkowanie masy narodowej, śród walk i powoli, ale stale posuwało się naprzód. U nas na-

ród się zwięził, lud odrzucono sztucznie po za państwo. Niewątpliwie ze względu na wspólność tradycji Piastowskich i na łagodny charakter narodu, cielesny ciężar pańszczyzny był u nas mniejszy niż na Zachodzie, ale nasz lud miał tradycję praw utraconych, więc poczucie krzywdy, zatem duchowo cierpiał dotkliwiej niż chłop francuzki lub niemiecki, który szedł po nowe prawa.

Miałeś chamie złoty róg...

Jakież główne cechy wyrzyła na duszy polskiej tradycja upadku?

Przedewszystkiem — zanik potrzeb duchowych. Tradycja upadku otoczyła duszę polską panczerem grubego materjalizmu, nie tylko niedozwalającego na poważną podniosłość, ale wprost szyszącego z „ideałów“. Zanim we Francji zjawił się był materjalizm filozoficzny, jako reakcja przeciwko religii branej dogmatycznie, w Polsce już przedtem za króla Sasa panował materjalizm praktyczny — żywy. Otepienie umysłów doszło do takiej wielmożności, że po za sejmikiem, jarmarkiem, beczką i dziewczką, nie było uciechy. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej płaskiego nad literaturę ówczesną z całą naiwnością malującą rzeczywistość. Trudno zapomnieć o tym „inteligencie“, który uczuwszy potrzebę przewietrzenia się po krajach cudzoziemskich, prawdopodobnie aby się później ogłada popisywać i rozmienić ją u swoich na fortunę (jak i dzisiaj), zwiedzał i Wenecję. Tutaj pokazano mu obrazy jakiegoś Michała-Archaniola, ale czem prędzej opuścił je, aby podziwiać grającą tabakierkę.

Człowiek pracujący, chociażby nie umiał czytać i pisać, stwarza sobie zawsze jakąś filozofję, bo w samej pracy tkwi element mądrości. Próźniak źle kształcony i puszczony samopas w świat, zna jedną filozofję *pożerania* tego, co stworzyli inni. Materjalizm życiowy często wynika z próźniactwa ciała lub ducha.

Jako skutek ośpienia umysłu i uprzywilejowania próżniactwa występuje w tradycji upadku lekceważenie pracy. Spójrzcie, a mówię do współczesnych warstw kształconych, w waszą terazniejszość, przyjrzyjcie się w zwierciadle i, jeżeli macie szacunek dla prawdy, wyznajcie, jak silne węzły łączą was jeszcze z tradycją upadku. W walce tak zwanej ambicji z twórczością, pawia z orłem, dusza wasza staje po stronie pawia. O orłach pisujecie sonety, a czujecie po pawiemu.

Ośpienie umysłu, zanik potrzeb duchowych, koniecznie piętnuje charakter fałszem. Walka o byt iść musi i coraz natężeniej z tempem cywilizacji. Sposoby tej walki są dwa: albo szczerością i twórczością, albo fałszem i pasorzytnictwem.

Szczerłość i twórczość są to sposoby rozwojowe, zawsze zwycięskie. Fałsz i pasorzytnictwo — to metoda bezwzględного dożywania, jedynie możliwa dla ludzi bez polotu.

Rzecz prosta, pasorzytniczy fałsz musi mieć gotowe zasoby twórcze do pożywy. Polska z doby upadku miała je ogromne. I materjalnie: wielki łan gospodarczy i duchowo — wielką tradycję Piastowską. Było co zjadać.

Jeżeli obcy najeżdża, podbija, zagarnia, pożera—czyjni to szczerze, bez ogródek, ale swój swoich, z którymi łączy go więź historycznej tradycji, może podejść jedynie aktem fałszu. Biorąc dla siebie powiada: „biorę dla ojczyzny“. Gdyby „naród szlachecki“ był pracowity i twórczy, jego przewaga mogłaby być nawet czynnikiem rozwoju, jako skoncentrowane działanie doboru; że coraz bardziej tępał umysłowo i psuł się w charakterze, panowanie jego było upadkiem.

W owej epoce wytworzył się fałszywy stosunek do ojczyzny. Takiej mocno uświadomionej, wytrwałej, duchowej postaci patryjotyzmu, jaką wykazują narody w wiel-

kiej wojnie XX stulecia wtedy nigdzie nie było i być nie mogło. Zdrady, zmowy z obcymi, bezwzględne łupiestwo grosza publicznego były duchowo tolerowane. Przez krwawe walki przewroty historyczne duch dążył do wyzwoleń. Ale w Polsce, która zaznała była, jak żaden inny naród, wolnej ojczyzny, patryjotyzm stał się przedmiotem fałszywego podejścia i wyzysku. W potokach makaronicznego krasomówstwa, w wylewach słów, w parodji republikańskich naśladowań starożytnego Rzymu, w nieustannych apostrofach do „ukochanej Rzeczypospolitej” nie było żadnej duchowej stanowczości, rozstrzygającej o udaniu się za mierzeń. Ci ludzie nie umieli całkowicie kochać, nie umieli już całkowicie wierzyć. Utrwała się cecha połowczości, smutne „pół rycerzy żywych” Słowackiego, być może fundament wszystkich późniejszych lekkomyślnych rzu ów i tragicznie zawiedzionych nadziei.

*Półowiczność, pół wiary, pół nadziei, pół energii, niezdołność ruszenia z miejsca, albo ruszenia z miłą nadzieją odwrotu.*

Półwiara to już początek wynarodowienia. W tradycji upadku słyszę ukryte w podświadomości wołanie słabości o pomoc od obcych. W epoce panowania tradycji Piastowskiej Polska przerabia wszystko, co przychodziło do niej z Hellady i Rzymu, z Włoch, z Francji i z Niemiec — na narodowe. Natomiast tradycja upadku poddaje się cudzoziemszczyźnie, przerabia narodowe na obce. Powtarzamy za Słowackim: twórczy orzeł przemienia się w naśladowującą papugę. Lecz nie jest to jedyna przemiana. Orzeł był za potężny, aby unicestwić się w jedynej papudze. Pozostał po nim i paw. Obadwa ptaki egzotyczne — do ogrodu zoologicznego, nie do samoistnego życia.

Z tego rysu *wynarodowienia* tkwiącego w tradycji upadku, spoczywającego tam jak nasienie straszliwego

chwastu, mogącego zagłuszyć cały łan zboża polskiego, trzeba sobie zdać sprawę najpoważniej, albowiem jest to najważniejszy dla nas moment psychiczny teraźniejszości. Tradycja upadku wcale nie umarła wraz z zniknięciem państwa Polskiego. Ona żyje dalej i bujniej, niż się powierzchownie wydaje, wśród nas współczesnych. Okres porozbiorowy jest dalszym jej ciągiem, a wszystkie późniejsze okoliczności zewnętrzne działały raczej w kierunku jej wzmocnienia, a nie osłabienia lub zniszczenia. W rozdziałach następnych będę usiłował to bliżej wyjaśnić.

W tym miejscu dodaję, że cud upragniony przez Krasieńskiego, dotychczas nie stał się i nie ma się ku jego objawieniu. Zresztą nie ma się co objawiać, gdyż on się już był stał, stulecia wstecz, w Polsce Piastowskiej. Tradycja Piastowska jest dość szeroka, głęboka i wysoka, aby pomieścić całą przyszłość, najbujniej marzone formy rozwoju. Jak do matki tulą się do niej wszystkie dzieci: dobre i złe. Niechaj tylko dusza polska wejdzie trochę wgłąb samej siebie, a z łatwością ją znajdzie. Tam wiara, energia i zwycięstwo.

Lud Polski niema innej tradycji prócz Piastowskiej, instynktem broni się od tradycji upadku. Chociaż w masie dotąd czynnym patryjotycznie był, posiada w sobie zupełną pewność wiary, kim jest. Patryjotyzm jego, choć często nie wyprowadzony na jaw przez światło, jest poważny i nigdy nie dekoracyjnie fałszywy.

Jeżeli mówię „lud“, nie myślę według papierów i metryk. Ktokolwiek z Polaków uznaje tradycję Piastowską, nie dość uznaje — czuje ją, jako najwyższą swoją wolę, ten dla mnie jest ludem. Wyraz ten ma sens realny jedynie przez przeciwstawność. Jedyne warstwy górne uległy tradycji upadku, a indywidualnie o tyle, o ile w duszy jakiegoś szlachcica ta tradycja przemogła Piastowość, stwarzając grunt do wynarodowienia. Są tacy, którzy przez

poznanie, prawem reakcji, wzniesli się na wyżyny ideału Piastowskiego i ci, zbrojni w najwyższy stopień kultury stuleci są duchowymi przewodnikami narodu. Są tacy, których dusza łamie się w walce dwóch tradycji, rozdwojeni, na rozstajnych drogach, ciągnieni tu i tam.

Są wreszcie narodowo umarli, nie morituri jak ich nazywał Kraszewski, ale *mortui*, balast narodu.

Ponieważ lud, warstwy niekształcone, całą swoją żywiołową masą jest po za obrębem tradycji upadku, a w duszy jego niema walki rozdwojenia, więc słusznie można go uważać za opokę niezłamanej wiary narodowej, za nieśmiertelną terażniejszość i przyszłość przeszłości. Cierpliwie oczekuje na iluminację swej surowej duszy przez bieg wypadków i przez przewodników, którzyby poprowadzili go tam, gdzie on chce, do jego tradycji.

Na chochoły, które usiłuje mu narzucić inteligencja Upadku, patrzy ze zdziwieniem. Czemu ci, których uważać skłonny za swoich naturalnych światłodawców, godzą na jego przyszłość, na jego wiarę?

---

## ROZBIORY.

W roku 1905, to jest w 133 lata po pierwszym rozbiore Polski, a w 110 po trzecim i ostatnim, wielu Polaków na ulicach Warszawy krzycało: precz z białym orłem, to gęś. Tak więc nasza tradycja upadku, po papudze i pawiu, zubożyła się jeszcze o jednego emblematycznego ptaka. Tym razem *gęś*.

Na ulice Warszawy wkroczyła tryumfalnie „wszechludzkość“, reprezentowana przez czerwone sztandary so



cialistyczne z odpowiednimi napisami i przez czarne sztandary żydowskie z godłem trupich główek. Polacy, przywódcy socjalistyczni, wahali się, czy pozwolić szeregom swoim na uczestnictwo w ogólnym pochodzie narodowym snąć w obawie, aby armia nie zarażała się „nacionalizmem“. Na wielkim wiecu w Filharmonji okrzyk: „Niech żyje Polska“ spotkał się z głośnym sykiem; do niefortunego mówcy przyskoczyły pięści, aż inne pięści, rozważniejsze i „politycznie“ bardziej wyrobione uchroniły go od ataku.

Niewątpliwie była to burza na morzu społeczno-narodowym i jako na burzę należy na te fakty patrzeć. Głębinę falują, na powierzchnię siła nawałnicy wyrzuca kształty nieznane, często potworne, które drzemały na dnie. Człowiek poznający przypatruje im się ciekawie, a jeżeli zdobył sobie już trafny punkt widzenia, klasyfikuje nowe kształty bez trudu, gdyż potwierdzają jego idee.

Otóż cechą charakterystyczną tej burzy było to, że uderzała nie w tradycję upadku, ale w tradycję Piastowską. Orzeł jest prastarem godłem Piastowego Państwa Polskiego, a „duch rewolucjonista“, o ile jest polskim, nie może walczyć przeciw niemu, ale *pod* nim, gdyż on jest historycznym opiekunem naszego instynktu wolnościowego. Czyżby o tem nie wiedzieli przywódcy?

Ale powiedzmy. Nie przypisujemy pełni odpowiedzialności duchowej młodym szeregom tresowanym w podziemiach szkoły nie wolnej, a agitacyjnej, równie wrogiej poznaniu, jak szkoły państw militarno-despotycznych. Rozumiemy całą doniosłość i konieczność walk socjalnych rozgrywających się w Europie, a zatem i u nas. Pojmujemy działania żydów, dla których tradycja Piastowska jest zupełnie obca i chociażby nawet chcieli, nie mogą jej zrozumieć. Wreszcie zdajemy sobie sprawę z roli, jaką w tej sprawie odgrywać może agitacja prowokatorska

rządów, dążących do utrzymania nas nadal w stanie niewoli.

Wypadnie raczej zwrócić się do źródła, z kąd mogły były płynąć sankcje duchowe dla takiego gniewu przeciwko tradycji Piastowskiej. Nie podobna przypuścić, aby bez odpowiedniej atmosfery duchowej mogło być stać się coś podobnego. Bo jeżeli w imię wolności ludu słusznie napastuje się tradycję szlachecką upadku, to w imię jakiej to idei twórczej burzy się tradycję siły ludu?

Chyba, że się z tej tradycji dusza wyzuła.. Wtedy powstaje utopja, budowanie nowego narodu. Z czego, z jakich materiałów? Z czego ma budować ów lud, gdy mu się odejmuje *jego* tradycję? Kołc bez wyjścia. Prawda, nie ma położenia bez wyjścia: pozostaje roztopienie się kosmopolityczne, tymczasem zaś w masie — na prawo zniemczenie, na lewo zruszczenie.

Poszukajmy klucza do zrozumienia. Teraźniejszość nasza, po stukilkudziesięciu latach rozczłonkowania narodu zdobywa już trzecią z rzędu tradycję — tradycję porobiorową. W jakim stosunku ta nowa jest do tamtych: do tradycji Piastowskiej i do tradycji upadku? Co jest w niej nowe?

Przedewszystkiem jest *oporem*, walką o przywrócenie samodzielnego narodowego istnienia, lecz walką bezustannie przegrywaną, daremnością wysiłków twórczych. Skutkiem dotychczasowych daremności i wraz silniejszego naporu, opór coraz bardziej staje się bierną obroną, świadomością tego, czego się nie chce, tego co odepchnąć należy. Natomiast świadomość tego, czego się chce, staje się coraz mglistszą. Uczuciem naczelnem występuje nastrojowa nienawiść, która ma to do siebie, że jest zaraźliwa i z wroga przenosi się ku wewnątrz. Nienawidząc wroga poczynamy nienawidzić i swoich.

Ten opór nie był jednolity, lecz był trójoporem trójrozdziału. W każdej dzielnicy rozbiorowej napór wynaradawiający był inny, zatem i opór wziął charakter odmienny.

Napór pruski z całą świadomością swej przewagi cywilizacyjnej dąży do bezwzględnego wytepienia polskośći. Nietolerancja niemiecka jest ideowa i głębokie korzenie ma w umyśle prusko krzyżackim, nadającym ton najnowszej historii Niemiec. Uderza od głowy, w umysł polski, a głównym dłań środkiem jest wychowanie publiczne, szkoła.

Napór austrijacki bezwzględnie eksterminacyjny do kłęski pod Sadową, pierwszego aktu zapadania się przeżytego państwa Habsburgów — po Sadowie przybiera cechy wymuszonej tolerancji. Próba wytworzenia Stanów Zjednoczonych austrijackich, przy współzyciu z tradycją feudalno-monarchiczną, okazała się utopją.

Państwo musiało iść dalej politycznym fałszem. Nie mogąc godzić w umysł polski, gdy samo jest bezsilne, duchowo bezsilne, ma inną drogę przed sobą.

Aby zniszczyć tradycję Piastowską uderza w charakter polski. Stwarza samorządową biurokrację galicyjską, Polskę dworu wiedeńskiego, obsadza nią instytucje kultury polskiej, pewne, że dworacy, ludzie zależni, nie poprowadzą ku rozwojowi umysłowości. Jednocześnie podwiązuje żyły ekonomiczne Galicji, bacząc, aby nie powstały warstwy Polaków, niezależnych od pensyi.

Napór rosyjski od impulsów Katarzyny, rasowej niemki, którą tragiczna omyłka historyczna nazwała dla Rosji — wielką, usiłował być naśladownictwem naporu niemieckiego. Jak przy wszelkiem naśladownictwie — jeśli dwóch robi to samo, nie będzie to samo. Zaborczość niemiecka jest ideowa, zaborczość rosyjska ze względu na niższość cywilizacyjną w stosunku do Polski, mogła być

tylko mechaniczna: do naporu miała długie ręce, ale za mało głowy, chociażby pożyczonej od Niemców. Dotychczasowe rosyjskie polityczne impulsy, upajająca perspektywa nieskończonych zaborów, są natury mistyczno-bizantyjskiej i w rzeczywistości nowoczesnej nie mogą liczyć na żadne powodzenie. Wypadki japońskie położyły na nich dziefową pieczęć.

Dzieje Rosji w 19 stuleciu przedstawiają linię łamaną wpływu niemieckiego. Bieży ona to w górę to na dół. Do tej linii stosuje się stopień naporu rosyjskiego na nas. Tresura idzie z Berlina na Warszawę via Petersburg, przez nazwaną po niemiecku stolicę Rosji, którą samopoczucie narodowe zamieniło na Piotrogród dopiero wtedy, gdy nadeszło ostateczne krwawe dziejowe *ultima ratio*.

Więc systemem niemieckim napór rosyjski uderzył na umysł polski, na szkołę narodową. Lecz słaby samem poczuciem swego naśladownictwa, pozbawiony przewagi cywilizacyjnej, twórczego, w znaczeniu rusyfikacyjnem, skutku wiaźć nie mógł. Wywarł wpływ najzupełniej powierzchniowy na polski umysł, w świadomości swej wyższości kulturalnej czerpiący siłę do oporu. Z drugiej strony odsunięcie Polaków od wszelkiego samorządu, w myśl zachłanności biurokracji, uchroniło charakter polski. I tak i owak napór rosyjski najzupełniej chybił celu, zrobił tylko to, co mógł być zrobić: zatrzymał Królestwo w rozwoju dziejowym. Nie wynarodowił umysłu, nie spaczył charakteru, ale zahamował.

W żelaznym uścisku rządu pruskiego, najlepiej wytresowanego żandarma, jaki kiedykolwiek istniał na świecie, opór polski musiał być poddać się klubom szkoły pruskiej. Umysł polski poszedł do uniwersytetów i szkół niemieckich i nie mógł być nie zejść z własnej narodowej drogi. Jeżeli charakter Polaka pruskiego mógł być nawet zyskać na współzyciu oświatowem — zahartować się

do większej twardości, właściwej Niemcom, to dla umysłu polskiego, dla jego oryginalności i samostnej dzielności rozwojowej, to współzycie było zabójcze.

Widzimy, że wyższa kultura duchowa, tak gruntownie rozwinięta w Poznańskim do połowy XIX stulecia, potem szybko zaczęła upadać i dzisiaj ta dzielnica żywi się dorobkiem innych.

Opór Polaków w Prusiech poszedł w kierunku możliwości. Dzięki ładowi cywilizacyjnemu ześrodkował się w dziedzinie ekonomiki, gospodarstwa materialnego. Na tem polu osiągnięto powodzenie duże, tak duże, że prusacy posunęli się do takiego prawa, raczej bezprawia wyjątkowego, jakim jest wywłaszczenie przymusowe, do złamania zasad prawa cywilnego. W inny sposób oporowi polskiemu rady dać nie mogli. Wprawdzie jeszcze lat 50—100 żelaznego naporu przy *wynaradawianiu umysłu polskiego* doprowadziłoby ich z pewnością do ryczałtowego zniemczenia dzielnicy, ale w obec grozy blizkiej wojny z Europę, wojny o wyniku niepewnym, obawiali się czekać.

W Austrii opór polski stępił się o galaretowate ciało tolerancji; tutaj tradycja Piastowska, poczucie oryginalności i niepodległości ducha polskiego znalazło się w obec dwóch sił wrogich: zewnętrznej i wewnętrznej, to jest naporu Państwa Austryjackiego i centralizacji w sojuszu z coraz wzrastającym legionem polaków na służbie państwowej, bądź urzędników, bądź nauczycieli młodzieży. Kraków, nasze muzeum historyczne, na tle przyjacielskiej zależności tak troskliwie pielęgnowanej przez politykę centralistyczną, stał się duchowym pensjonariuszem Wiednia. Jak do Częstochowy — religijne, tak wszystkie dzielnice Polski odprawiały do Krakowa pielgrzymki narodowe, spotykane tutaj z poczuciem wyższości kulturalnej i narodowego patronatu.

Niestety źródłem tej ambicji nie była siła własna ale plecy Wiednia. Przy tolerancji Wiednia stanął w Krakowie pomnik Grunwaldu, co prawda za pieniądze głównie nie tamtejsze. Na żądanie Wiednia w cztery lata później legion galicyjski poszedł pod komendę Niemców — za Niemcami. *Quasi una operetta*

Skażenie charakteru narodowego nie jest przedmiotem, któremu chcieliby poświęcać uwagę dzielnicowi politycy centralistycznego państwa. Trudno nawet żądać od tak dostojnego towarzystwa, aby zajmowało się rzeczami dla siebie „nie realnymi“, nieuchwytnymi, gdy czas pochłania im akrobatyka partyjna i parlamentarna. Żelazne dzioby, kamienne czoła: „Za krzyżem stoi djabeł“ mówi hiszpańskie przysłowie. U Świątyni, gdzie niema górnej, najwyższej kontroli Apostołów, gnieźdzą się Macochowie religijni, narodowi... zbrodnie przeciw Duchowi Świętemu.

Jednakże i tutaj w warunkach najtrudniejszych, gdyż w obec niszczenia charakteru narodowego, instynkt samozachowawczy wrywał się ku działaniu twórczemu. Akcja „szkoły ludowej“, powstała po za obrębem maszyny rządowej, wniosła w swej treści protest przeciwko upadkowi, obronę tradycji Piastowskiej przeciwko austryjacyzmowi. Z drugiej strony idea wyraźnie uświadomiona znajdowała połączne indywidualności, głoszące samodzielną organizację gospodarstwa narodowego, wzmożenie energii czynnej przez rozwój przemysłu tak naturalnego dla przyrodzonych bogactw Galicji. Z ludzi umarłych niechaj będzie oddana część Stanisławowi Szczepanowskiemu, chociaż i on miał w sobie za dużo elementów rozmodlonego marzenia.

W takim to stadjum poczynań i rzutów ideowych znalazł się opór Polski rozbioru austryjackiego w dzień rozrachunku dziejowego Europy, w dzień wojny.

Opór Polski w zaborze rosyjskim mógł być być bezwzględny i skuteczny. I takim był. Wprawdzie Polacy nie

mogli byli nic zrobić dla swojego rozwoju, ale i Polakom nie można było nic zrobić. Uderzenie na umysł polski wzorem pruskim, za pomocą szkoły rusyfikacyjnej w Królestwie, chybiło i ze względu na niekulturalność tej szkoły, którą umysł polski uważał za niższą od swojego poziomu. Zaatakowanie charakteru systemem austrijackim nie było możliwe, bo społeczeństwo polskie, oddzielone od Rosji warstwą znienawidzonej biurokracji, zamknęło zupełnie swój dom i obyczaj przed wpływem rosyjskim, czemu sprzyjała znacznie różnica wyznania. Wreszcie i próby obiedzenia Królestwa przez niekorzystne taryfy kolejowe, zaniebdanie dróg komunikacyjnych Polski, przeszkadzanie instytucjom gospodarczym, nie dały poważniejszych rezultatów ze względu na olbrzymie, wolne bogactwa samej Rosji, których nawet zła gospodarka nie jest w stanie wyczerpać.

Zresztą napór rosyjski nie miał do rozporządzenia ideowych wykonawców z wyjątkiem Niemców rosyjskich, to jest ludzi, którzyby w obrębie postawionego celu mogli działać twórczo. Rosjanin rdzenny, patrijota, że tak powiem Rosjanin ludowy, działa przeważnie instynktem; sam będąc na progu idei narodowej bezwładny jest, gdy chce porządkować naród od siebie starszy i kulturalniejszy — Polaków. Słowa te nie są żadnem ubliżeniem dla Rosjanina, lecz stwierdzeniem stopnia ewolucji. Słońce przyszłości przyświeca wszystkim, kto się ku niemu zwraca.

Więc opór polski w Królestwie, w całej pewności poczucia niższości kulturalnej narzucających się rządców, był bezwzględny, bezkompromisowy, i wyrażał się nie dwuznacznie: „Allez vous en“. Królestwo było w stanie nieustającego spiskowania bądź w postaci zbrojnych powstań, bądź w postaci walki czynnej ze szkołą rosyjską,

walki niby tajemnej, a w rzeczy samej otwartej i publicznej. jako ciągle powstanie ducha.

Dzięki temu ani na chwilę nie drzemiącemu oporowi a bezsilności naporu, Królestwo jest jedyną dzielnicą rozbiorową, gdzie ambicja narodowa i idea niepodległości utrzymała się *wewnętrznie* w całej szczeroci i nieskażeniu.

Warszawa pozostała Warszawą sama w sobie, a wymawiając ten wyraz, nie czujemy poza nim żadnego parawanu. Nie imponuje jej ani maczuga Berlina, ani łaska Wiednia, ani kolosalność Piotrogradu.

Nie jest to zasługa osobista Królestwa w obec innych dzielnic. Tak się sprzegły okoliczności. Napór obcy w innych dzielnicach porozbiorowych był silniejszy i skuteczniejszy. Tu i owdzie wiele załamało się w duchu.

Ale trzeba to poznać, o tem dobrze wiedzieć. Nie lękać się prawdy, lecz słabe miejsca przeświecić energją słoneczną wiary narodowej i je uzdrowić. Ma swe promienie Roentgena fizyka, posiada je i psychika. Motory mechaniczne coraz liczniej wprawiane są w ruch przez siły, których się nie widzi oczyma, które jednakże za dotknięciem zabijają lub krzewią życie, a pewnie nikomu nie przyjdzie do głowy nazwać te siły *nierealnemi*. Natomiast świetnym siłom psychicznym źle kształcona gawieź odmawia sankcji realności.

Dlaczego? Zapytajcie o to nie polityków, którzy często są po prostu owieczkami beczącemi za tłustem sianiem, ale tych „myślicieli“ z epoki tryumfującego Kruppa i tryumfującego żydostwa, którzy hodowali wasze mózgi.

Niechaj się wyłómaczą.

---

Rzeczpospolita Polska nie zginęła śmiercią naturalną, ale przypadkową, gwałtowną. W taki sam sposób zginęły



Czechy, Serbja i inne Państwa Słowiańskie z instynktem osiadłym, otoczone terytorjalnie przez Niemców i Azjatów, pod przewagą czysto fizyczną. Nie przez przeżycie i wyrodnienie rasy, ani przez wycieńczenie energii, ale dzięki niesprzyjającym dziejowym okolicznościom. Z trzech stron otoczone i ściśnięte Państwo Polskie na łożu śmiertelnem wydało testament dla pozostającego narodu, testament będący głosem wielkiej tradycji Piastowskiej, wydało konstytucję majową. Oskar Balzer jeden z tych uczonych, którego uczciwości i wiedzy wierzyć można, nazywa ten akt bezprzykładnym w dziejach. Naturalnie — bezprzykładnym, gdyż Państwo Piastowskie tworzyło się w sposób swoisty, odmienny od zachodnio-europejskiego. Konstytucja majowa była odruchowem zwycięstwem tradycji Piastowskiej nad tradycję upadku. Wraz z nią idea polska odzyskała swoją żywą ciągłość, czego nie można przeceniać.

Lecz nie zmienia to faktu, że okres porozbiorowy, to jest nasza *najbliższa* przeszłość i teraźniejszość, niosą na sobie ciężar tradycji upadku i pod wielu względami są jej dalszym ciągiem. Konstytucja majowa czarodziejskiem zaklęciem nie zmieniła ani umysłu ani charakteru tych warstw, które brały udział czynny w dobie upadku. Polak szlachecki wkraczał w walkę porozbiorową z cechami nabytymi w ciągu rzonego okresu, a cechy te w wielu osobnikach utrwaliły się tak mocno, że przetrwały do dzisiaj aż nadto wyraźnie.

Możemy i dzisiaj zebrać galerję żyjących przeżytków, naszych żubrów dziejowych i obwozić ją po Europie za biletami na dochód narodowy. Zresztą ci ludzie sami się pokazują, lecz wydając pieniądze; pełno ich po wszystkich hotelach Europy i w Monte-Carlo — z niezdnarnym uśmiechem gestu kosmopolitycznego.

Chlubią się „kulturą“, a mają się do kultury jak denaturat do spirytusu.

Paw, papuga, no i gęś, razem trójca.

Poziomość umysłu, dochodząca do szydzenia z entuzjazmu, fałsz charakteru, rwący wszelkie nici duchowego porozumienia.

Poćwiartowane na dzielnice, rozdzielone kordonami i pasportami, zmieniło warunki na gorsze. Nie mogło być mowy o poprawie wychowania publicznego.

Naprzód — wychowanie to zatraciło jednolitość, każdy zabór poszedł inną drogą. Powtóre, zaborcy nie omieszkali wzięść go w swoje ręce, zrobić zeń własne narzędzie. System działania zaborców mniej więcej jest zawsze podobny.

Uderza się w to, co łatwiej pochwycić, więc — w warstwy kształcające się, nazwijmy je, co jest często ironją — inteligencją. Uderza się w ich umysł i charakter; oto pierwszy bastjon do zdobycia. Lud odkłada się na później, a najrzeczniejsza polityka jest taka, która inteligencji użyje do pomocy na podbicie wewnętrzne ludu. Więc najrzeczniejszy był system austrijacki; rosyjski jadł szparagi z grubego końca: w sposobie przeprowadzenia reformy agrarnej 1863 r. przez lud usiłował zgnieść inteligencję. Było to powołanie tradycji Piastowskiej do zamordowania polskości. Skutek stał się odwrotny — ta tradycja obudziła się i stanęła do walki czynnej.

Więc przez tradycję upadku usposobiony już kosmopolitycznie umysł polski, zachwiany w wierze narodowej, zachwiany w wierze w potęgę i samorodność własnych sił, a przez wszystkie wpływy obce w tej niewierze utwierdzany — kroczył jak zatraceniec, po drodze wynarodowienia. Wszystkie nasze ruchy zbrojne były czynem połowicznym, aktem niewiary. Zapal młodzieży jest siłą bierną; siłą czynną jest wiara ludzi dojrzałych, którzy ważą życie

i poświęcają siebie i dzieci swoje świadomie, z pełnią odpowiedzialności duchowej.

Chłopicki wierzył w... Napoleona. Legiony polskie nad Renem, we Włoszech, w Hiszpanji wierzyły również w coś... obcego. Punkt ciężkości duszy polskiej przenośli się na zewnątrz. Poszukiwała ona mesjaszy, nawet nie tak jak żydzi, mesjasza ze swojej krwi, ale wybawiciela wśród obcych. Gdzie tu tradycja Piastowa? *Gdzie swoje?* Dalej, dalej snuje się tradycja upadku...

Gdy dusza przesuwa nadzieję na zewnątrz, prawdziwym staje się to, co nie działa, więc bierność, a fałszywym — samo działanie. Działanie takie, znając własną małą wartość i musząc ją upozorować, opiera się na frazesie patryjotycznym, to jest na okłamywaniu własnego uczucia. Frazes patryjotyczny to żywa po dziś dzień puścizna tradycji upadku, stały element tradycji porozbiorowej. Ofiara fałszywego grosza na ołtarzu ojczyzny.

W braku własnego rządu, rozwijającego naród normalnie, na obronę umysłu polskiego wystąpiła literatura. Doniosłe znaczenie naszego romantyzmu polega na tem, że przypomniał on i wskazał na źródło wiary i siły polskiej.

Romantyzm przywrócił tradycję Piastowską i co do formy i w treści.

W formie, bo oczyścił język z naśladownictwa, przywracając mu samodzielność, jaką zdobył już było 400 lat. A w treści, gdyż wskazał na lud, jako na faktycznego piastuna nieskażonej tradycji Piastowskiej.

W tej pracy dwaj wielcy ludzie dopełnili się wzajemnie. Mickiewicz jako twórcy budowniczy na tradycji Piastowskiej, Słowacki jako protestant przeciwko tradycji upadku, Sprawili wspólną iluminację przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Nie patrzmy na ich słabe miejsca, przecież i oni byli dziećmi tradycji upadku, ale na te

wspaniale pasowania się ich ducha, w których objawiali prawdy. Iluminacje Mickiewicza, Słowackiego, w potoku rozmodlenia bywają i Krasińskiego, są to fakty, są to trwałe realności, bo oczyszczone z pozorów i dla tego muszą mieć skutek. Lecz działają powoli, główny ich odbiorca lud nie jest jeszcze gotów. Ucieleśnienie idei może się odbyć jedynie przez charakter *stanowczego* wykonania. Taki charakter posiada lud, nie ma go inteligencja.

Więc mimo rzezoną iluminację wynarodowienie umysłu inteligencji naszej nie ustaje. Polak kształcony w uczelniach obcych lub pozornie własnych, ale będących pod ścisłym patronatem obcego Państwa, całkiem nieświadomie poddaje się kulturze cudzej, która ma dlań urok gotowości i siły. Czemu wobec tej aktualności staje się dlań polska tradycja siły? Cieniem, któremu w głębi serca oddaje hołd liryczny, ale w którego skuteczność nie wierzy. Zresztą i sama *gotowość* kultury cudzej pociąga miękkie zniewieściały, przyzwyczajony do lekkomyślnego próżniactwa, charakter człowieka tradycji upadku. Podobna mu się pasorzytnictwo na cudzem, więc głosi chwałę tego, do czego się sam nie przyczynił.

Wątpię, czy w jakimkolwiek kraju istnieje tyle „europejczyków“ ile u nas. Wynarodowienie staje się przedmiotem popisu, chluby i wyższości. Zdaje mi się, że galomania za czasów króla Stanisława Augusta była szczerbą całkiem powierzchowną w porównaniu z głębszymi rysami, wrytymi na umyśle polskim przez sto lat porobiorowych.

Przytem gdyby ta „kultura“ obca była czemś jednolitem, a więc łączącym, mogłaby nieść pewne korzyści praktyczne w dziele zrastania się narodu. Ale jest ona zupełnym chaosem. Ten ma kulturę Paryża, tamten Londynu, ów Berlina ten znowu Wiednia, New-Yorku, Piotrogradu... Niemal cała kula ziemską kształci Polaków. Jak-

żeż trudno tym dzieciom chaosu zgodzić się na jedno — przy naradzie o ojczyźnie. Cała treść jest sprzeczną — na ratunek pospiesza frazes patryjotyczny i ten zwykle zwycięża.

Jest bardzo charakterystyczne, że im dalej idziemy w okres porozbiorowy, tem bardziej dusza naszych warstw kształconych oddala się od tradycji siły.

Podczas gdy Niemcy przez Wagnera wskrzeszają pieśń Nibelungów, swoją legendę wieku, czucie naszej inteligencji wyraźnie upodobało sobie słabość.

Literatura zwraca się przeważnie ku motywom z tradycji upadku i porozbiorowej. Dusza poszukuje tonów pokrewnych, jak gdyby chciała rozgrzeszyć samą siebie; religja wiary i siły staje się dewocją, aktem lamentu i rozżalenia.

Wyrasta zabobon tradycji słabości. Pamięć narodowa zwraca się ku przedmiotom błahym i wszelkiej dostojności pozbawionym, że wymienimy w Warszawie kult pięciu poległych, których *nie chybił trafił* zabito, bez stwierdzenia gatunku ich duchowego uczestnictwa.

Na tem tle krzyki „precz z białym orłem“ miały grunt dobrze przygotowany.

Nie wydawała ich tylko nieodpowiedzialna gawiedź wielkiego miasta, ale i ludzie „czerwono inteligentni“ i w imię „kultury“. A „biała niewiara“ spotykała te krzyki bardziej z lękiem, niż ze świętem oburzeniem. Wszakże w tym tumultie nie wiedziano, że chorągiew Piastów-Jagiellonów pod Grunwaldem była karmazynowa, a zatem krwią koloru jest bratnia sztandarowi towarzyszków pracy.

Inteligencja polska nie mogła być szczerością duszy oponować przeciwko temu, co było *jej*. Oponowała usłużnym zawsze i giętkim frazesem patryjotycznym, dzieckiem tradycji słabości, przez tę połowiczność charakteru, jaka

jest jej cechą. Gdyby była dość silną, aby być szczerą, powinna być krzyczeć razem z tamtymi na orła: „precz“. Ona, dla której muzyką pieszczoną duszy była rozpacz i niewiara Wyspiańskiego i Żeromskiego, ludzi wybitnych przez talent, wyobraźnię i śmiałą szczerą, najwybitniejszych dzieci naszego chaosu: u góry, naszej tradycji upadku i porozbiorowej.

Jeszcze jedna uwaga. Swawola fizyczna, cechująca okres upadku w okresie porozbiorowym, snuje swój dalszy ciąg w innej postaci, jako swawola intelektualna. Może dla tego podsuwa się tak skwapliwie pod osłonę „kultury“, „wszechludzkości“, „humanizmu“, aby ująć wszelkiej kontroli przed prawem domowem.

Jednakże w okresie porozbiorowym stała się zasadnicza zmiana dziejowa, która od fundamentów zaatakowała tradycję upadku. Było to przejście ludu w stan czynny.

W pierwszej połowie czasu po rozbiorach lud był jeszcze nieobecny.

Sukmana chłopska pod Racławicami to jedna z tych iluminacji dziejowych, o jakich wspominałem, mówiąc o naszych romantykach, które oświetlają kroki przyszłości. Przecież ten sam lud później przez rząd austriacki dał się użyć do rzezi, kierowany nie tylko, ale i przez nienawiść do tradycji upadku. Wogóle jego wystąpienie twórcze nie było możliwe przed załatwieniem sprawy posiadania ziemi. Ziemia to broń ludu — bez niej można walczyć tylko sposobem żydowskim, wstrętnym dla duszy polskiej. Tymczasem leżał jak martwa ruda w skale.

Zachowując się na ogół biernie w powstaniach wolnościowych, dopiero w drugiej połowie czasu porozbiorowego jął się ruszać. Pierwszym jego krokiem samodzielnym, gdyż zgoła bez pomocy inteligencji a nawet wbrew jej woli, była emigracja ekonomiczna. Obejrzał się na okół

siebie, dostrzegł, że mu źle, że jest w niewoli i szukał natychmiast sposobu wyzwolenia. Wychodził, w chęci swej czasowo, nie po obcą kulturę, ale po pieniądze, jak gdyby zdrowy instykt, szeptał mu, że kulturę można stworzyć tylko siłą własną.

W istocie, obce pieniądze splywały obficie do ojczyzny. Dziedzic tradycji upadku i porozbiorowej we łzach i rozpacz po utraconej ojczyźnie nienawidził i oddawał pieniądze obcej kulturze, dziedzic tradycji Piastowskiej w upartym spokoju pracował, a pieniądze swojej ziemi zwracał.

Temu człowiekowi, poważnemu przez surowość pracy i nieskażony instykt odpowiedzialności przed Bogiem, próbowano szczepić historję ojczystą przez pryzmat tradycji słabości i nieudania. Czy mógł ją przyjąć? Słuchał cierpliwie i... milczał. Nie rozumiał jej.

Ale gdy przystępowali doń ludzie, jak on sam poważni lecz światlejsi, i w takt jego serca uczyli go, jak ma bronić ziemi od wydzierców, wzmacniając jej płodność i ład zaprowadzając, to wierzył temu, bo to była jego własna utajona chęć. I gotów zasłuchać się jak głuszc, gdy mu prawić będą o żelaznym charakterze Łokietka i geniuszu gospodarczym Kazimierza. Bo to jest *jego historia*.

Wicher dziejowy poruszył spokojną fale. Lud rozpoczął wielkie powstanie polskie, tym razem nie na rok, nie na dwa, ale do skutku, w walce na śmierć i życie — *do udania się*, bez smętnych i cierpiących półrycerzy żywych. I skrzykuje wszystkich ludzi *piastowych*, aby mu w tem dziele dopomogli.

---





RELIGJA.

RELIGJA

Religijnie wzruszam się tylko w kościele polskim. Samotny czy w tłumie, nabieram uczucia spokojnej siły, uczucia, które z niczem nie może być porównane. Jest jakby matką wszystkich innych, a ma się do nich, jak źródło do różnych płynących zeń potoków. Obfitość źródła religijnego stanowi o potędze tamtych.

Rozumiem, że świadomość Boga, jako najwyższej potęgi nadprzyrodzonej, jest warunkiem niezbędnym świadomości mej własnej cząstki boskiej, czyli mej własnej twórczości i zdolności panowania nad przyrodzeniem. Ale do takiego Boga wejść mogę jedynie przez własną naturę, znaleźć Go tylko w kościele polskim. I jeżeli jestem u obcych, na innej ziemi, w kościele, poszukuję tam swoich. Jeżeli ich znajdę, wzruszenie moje jest silne i pełne. Jeżeli jestem sam wśród obcych, to mimo polot wyobraźni, odczuwam pustkę i tęsknotę, która wzmaga raczej mój głód, niż karmi.

Nigdzie, nigdzie nie czuję się tak ogromny, nieśmiertelny, jak w moim kościółku wiejskim, gdzie przyroda zagląda wszystkimi otworami światła: ciśnie się drzwiami, wchodzi przez witraże, tchnie na ołtarz a powraca stamtąd oczyszczona, promienna i twórcza po ludzku. Śpiew ludu, szum chorągwi procesjalnych na wietrze pol-

nym, rytm serca słodki i nietrwożny, czyż może być wspólniejszy akord harmonii?

Zimnym mnie czynią wielkie gmachy z grobowym cieniem półmroku. Na cóż mi tysiące świec, złote kandydabry; czyż to olśnienie zastąpi mi promień słońca? Zapewne, w wielkich katedrach kamienne grobowce, malarstwa i posągi przemawiają do mnie głosem stuleci, głosem genjuszów pracy ludzkiej, a skrzydła myśli niosą bogaty rząd idei historycznych, lecz jest to rozkosz bardziej intelektualna, niż uczuciowa, nużąca, jak wszystko, co posiada w sobie *l'es*. Czyż moc Boga historycznego może być porównana z mocą Boga przyrody, który sam wylania z siebie czas, a więc jest źródłem nieśmiertelności? Myślę, że intelektualizm jest potęgą twórczą o tyle, o ile dobrowolnie i czynnie uznaje wyższość całości to jest Boga, którego sam jest cząstkową emanacją. I myślę, że na tem polega najwyższa mądrość, do jakiej świadomość ludzka dojść może.

Wyznaję, że jest dla mnie zupełnie niepojęte, dlaczego w stuleciu XIX, w którym energia ludzka wykonała tyle pracy, intelektualizm zwrócił się wrogo przeciwko uczuciu religijnemu. Czy rzeczywiście, jak dowodzi Artur Schopenhauer, intelekt jest rakiem żywego organizmu, przygotowującym go o chorobę śmiertelną? Czy rzeczywiście intelekt musi być tym ograniczonym lotnikiem, który wydostawszy się z aeorodromu, przez swawolę musi spaść, roztrzaskać przyrząd i zabić samego siebie?

Sam, dziecko epoki, sprawdziłem na sobie, więc wiem napewno, że była to walka nie z nadużyciami duchowieństwa lub z formalistyczną wiarą kościelną, ale z samym uczuciem religijnym. Nie było to rąbanie drzew krzywych, pokracznych, chorych, ale wycinanie lasu, fala barbarzyńska, uderzająca na nowoczesną kulturę chrześcijańską. Intelekt hulał swawolnie i rozpasanie, jak szlachcic

jarmarczny z doby Sasów lub *raubritter* niemiecki. I niechaj nikt tutaj nie bawi się w grę słów; rozum *przeciwstawiono* wierze, jako siły znoszące się wzajem, a przez wiarę pojmowano uczucie religijne. To mechanizm występujący przeciwko psychice, niewolnik nienawidzący wolności, więc pragnący ją ujarzmić przez zasypanie źródła indywidualności, uczucia religijnego. Cezar i proletaryat to kres niemylny racjonalizmu, jeżeli ów racjonalizm stał się filozofją mas.

Tu myśl może wziąć dwa kierunki. Albo przypuścić, że Europa jest w okresie mniej więcej takim, w jakim był Rzym starożytny za pierwszych Cezarów, gdy potęga materialna i cywilizacyjna była olbrzymia, a duchowa kultura — mała i przywidywać historyczne skutki takiego stanu rzeczy, albo uważać stan obecny za okres przejściowy, za okres walki w rozwoju kultury nowoczesnej.

Moja intuicja idzie za S. H. Chamberlainem, który w swym „Rodowodzie XIX stulecia“, książce w najwyższym stopniu budzącej myśl, lecz wymagającej u czytelnika dużego sądu krytycznego, postawił dewizę Zoroastra: „Pojmijcie dobrze polot religii, zróbcie co możecie, aby przyspieszyć jej pochód naprzód, a w tem szukajcie spełnienia obowiązku“. Chamberlain dowodzi, że pomimo popozorną, niejako urzędową, przewagę w imię „kultury“ światopoglądu racjonalistyczno mechanicznego, w masach uczucie religijne wzrasta, popierając to przykładami. Przychodzi po przekonania, że Europa jest młodzieńcem, będącym dopiero na progu kultury chrześcijańskiej. Teraźniejszość jest okresem nateżonej walki i to walki, która musi się zakończyć zwycięstwem uczucia religijnego.

W rzeczy samej wielka wojna, rozpoczęta w r. 1914 jest objawieniem sił ukrytych, o których nikt nie wiedział. Sił przedewszystkiem duchowych. Ci którzy ją rozumieli jako walkę wyłącznie militarno-zaborczą t. j. świat żół-

nierski i świat pieniężny, myśleli, że skończy się w krótkich rzutach efektami przewag wojennych i tresury mechanicznej, ci pomylili się zupełnie. Walka oparła się na charakterze i duchu twórczym narodów. One rostrzygną. Fakt, że wysiłek mechaniczny jest skutkiem siły psychicznej i że ostatnia jest *primum mobile i ultimum vincens* jak błyskawica rozświetlił zaćmienie kultury. Uderzył piorun straszliwej wojny. Uderzył na dziki sabbat Zmierzchu Bogów, w powietrzu parnym, przesyconem elektrycznością, w powietrzu, którem niepodobna było oddychać — zimny pot występował na czoło.

Oto cechy wielkiej wojny: fakt bezwzględności okrucieństwa i bohaterskiego poświęcenia. Jak gdyby dwa bieguny: krańcowy bestjalizm i najszlachetniejsza wzniosłość. Takiemu napięciu odpowiadają rozmiary wojny.

Bestjalizm okrucieństwa to prawie dziecko idei racjonalistycznych, wrogich uczuciu religijnemu. Usiłuje tłumaczyć się świętością celu i — racjonalnie. W taki sam sposób pieczętowała się przypiekająca ludzi na stosach inkwizycja. I trudno zaprzeczyć — czyniła to racjonalnie. Swawola *czystego* rozumu jest czystą energją, działającą po za kresem ludzkiej, tak ludzkiej odpowiedzialności. Gdyby przewodcy socjalistów, w swej słusznej obronie idei pracy i atakach na burżuazję, na gniazdo materjalizmu, posiadali więcej światła, zwracaliby się nie przeciwko twórczemu uczuciu religijnemu, lecz przeciwko destrukcji racjonalizmu. Lecz skąd mieli czerpać światło? Są na łasce urzędowej, panującej filozofji, która inkwizycyjnie więzi i torturuje wszelką myśl wolną. Nie należy dobrodusznie i naiwnie sądzić, że kultura nowożytna, kultura chrześcijańska skończyła już z inkwizycją. Jak średnio-wieczny djabeł, zapędy inkwizycyjne stoją ciągle przy krzyżowej drodze ludzkości, zawsze w pogotowiu wyjść na robotę, gdy zawezwie racjonalizm. Zmieniły się kostyummy,

treść pozostała taka sama: bestjalizm z tysiącem głów hydry, wciąż odrastających.

Cankara, Zoroaster, Mojżesz, Platon, Chrystus? Laborant w pracowni naukowej, badający robaczkowe ruchy protoplazmy, uważa za punkt ambicji poglądać z wysoka na ruch odwieczny idei religijnych, na system słoneczny świata duchowego. Jego rozum wszystko wie, wszystko ogarnia, nawet to, czego się świadomością wcale nie dotknął. Przez tresurę mechaniczno-racjonalistyczną szkoły publicznej zatracił swoją cząstkę ludzką, zatracił czucie zagadki bytu, czucie nieskończoności badania, bezkresności obszaru wiedzy, zatracił twórczą niepewność, która jest źródłem wszystkich cząstkowych pewności. I w tej postaci tak pospolitej u uczonych doby Zmierzchu Bogów jest figurą najograniczeńszą z ograniczonych.

W ręce takich to ludzi dostało się kierownictwo dusz okresu przedwojennego. Doprowadziło ono do największej w dziejach świata rzezi wojennej, do takiego nie pierwotnego, nie wyrzutowego, ale wyrozumowanego bestjalizmu, jaki objawili przewodcy wojny. Jedynie rozum może zwarjować. *Nadczłowiek*, przestawszy być człowiekiem, zwarjował.

Z drugiej strony wojna, jak nadmieniliśmy wyżej, wykazała tyle wytrwałego bohaterstwa i świadomego poświęcenia w duszy współczesnej, ile nie było ich nigdy. Gdy historia starogrecka z wzorami Milcjadesów, Temistoklesów, Leonidasów, będzie wykładana w szkołach prawdziwie, *sine mendacia graeca*, bez kłamstwa, które przy dotychczasowym sposobie szczepienia klasycyzmu utrzymało się w naszych głowach, poczujemy, o ile kultura chrześcijańska, pod względem podniosłości ducha, jest wyższą od greko-rzymskiej. Że Heleni umieli plastycznie przedstawić i narzucić nam ideały bohaterstwa, stało to się dlatego, że byli genialnymi artystami w swych dziełach

sztuki, artystami — może bez konkurencji. Ale samo ich bohaterstwo było, całkiem odpowiednio do ich duszy, sceniczne. Przykład. Według historyków, rozważających tę sprawę nie nastrojowo i nie po bałwochwalsku, okrzyczane zwycięstwo pod Maratonem przedewszystkiem było drobną utarczką. Powtóre — Milcjades pchnął swoich na Persów w obawie, aby nie przeszli bez boju do nieprzyjaciół, gdyż takie panowało wśród greków usposobienie. Słowem cały Maraton urodził się w artystycznym mózgu greków, co tak pięknie i z takim skutkiem uwiecznili. (Patrz Gobineau Histoire des Perses).

Wielka wojna współczesna wykazała, że kultura europejska, powiedzmy kultura chrześcijańska, gdyż jest ona prawodawczo i koniecznie w tym kierunku pchnięta, znajduje się nie tylko w pełni zdrowia, ale i w całej potędze młodości. Zliczmy myślą i czuciem energję, rozwiniętą przez narody. A energja ta jest tak daleka od wszelkiej mechaniczności, tak twórcza, że skłaniamy głowy przed jej majestatem. Psyche, uwięziona i skuta w łańcuchy materji, jednym wstrząśnieniem zrzuca kajdany i ulatuje na swobodę.

A najdroższym kochankiem, do którego natychmiast spieszy wyzwolona Psyche, jest uczucie religijne. Słysząc, co się dzieje we Francji, w kraju, skąd, jak mówiono. Psyche uciekła, jak wgnanka. Tam dzisiaj, przed atakiem bataljony wojsk komunikują, przyjmują symbol wiary. Tak ongi czyniło rycerstwo polskie przed bojem z turkami i tatarami; śpiewało Bogu Rodzicę. A dzisiaj dzieje się to w kraju, gdzie przez półtora lat panował Wolter... Ale Francja miała i Rousseau.

Człowiek operetkowy poważnieje i dąży do boskiej krainy, gdzie może panować nad Niewiadomem i Niepoznawalnem.



W chwili tak doniosłej, przy nowym Nowym Roku Europy, gdy w lodowym całuniecie zimy wyczuwa się już wiosnę, jakże ważne jest pomyślenie, w jakim stanie jest uczucie religijne u nas, w Polsce. Przecież ono będzie rostrzygało o naszych losach, o wytrzymałości i powadze naszego patriotyzmu, o sile oporu i o sile tworzenia.

Co do mnie, to nie rozłączam swej wiary narodowej od religii, uczucia patriotycznego od religijnego. Czuje *jedno* uczucie podniosłości, *jedną* harmonję ducha. Nie uświadamiam sobie nie tylko żadnej sprzeczności pomiędzy obydwojma, ale nie mam żadnej potrzeby wewnętrznej do ich analizowania, do ewentualnego rozbioru na pierwiastki. Nie mogę wyobrazić sobie położenia, w którym musiałbym się w tym względzie wahać lub wybierać — pomiędzy uczuciem religijnem a patriotycznym. I z tego subiektywnego, jeżeli kto chce tak nazwać, punktu, patrzę na religję polską. Nie czuję się nawet obowiązany do silenia się na obiektywizm, gdyż w naszym wypadku byłoby to albo fałszem albo rozumkowaniem.

Stopień czystego uczucia religijnego w Polsce oceniam wysoko, jak wogóle u wszystkich rasowych słowian. Napisałem „czystego“, gdyż pospolicie przez religję rozumieją mieszanię rzeczywistej religijności z zabobonem. Zabobon jest to strach przed przewagą materji, wyobrażony w takiej lub innej postaci. Zaś czyste uczucie religijne w przeciwstawieniu, jest to wzniesienie się twórcze ponad wszelką siłę materialną. Polacy — Słowianie, acz mocno zbliżeni do arjohindusów, jak wszyscy inni arjowie Europy, nie są rasą czystą. Domieszka krwi fińskiej, mongolskiej lub innych zabarwia i naszą religijność zabobonem: i to nieraz mocno właśnie u osobników słabo słowiańskich. Praca oczyszczenia religji z zabobonów jest najwyższem zadaniem kultury i o niej to zapewne mówi Zoroaster w wyż. j przytoczonej cytacie.

Starcie się europejskiego humanizmu, który w gronie rzeczy w osobach najjęźszych swych przedstawicieli, jak Franciszek z Asyżu lub Giordano Bruno, był zawsze gorąco chrześcijański — z Kościołem jako władzą świecką, historyczną, przejściową, ta epokowa walka, dzisiaj już w głównym zarysie ukończona — była i jest oczyszczaniem religji z zabobonów. Pośród tej walki prowadzonej i w samym łonie Kościoła wewnątrznie i twórczo a po za nim — opozycyjnie, humanizm, w rozbujanju namiętych starć sam się sfanatyzował i wynaturzył w zabobon innego gatunku, w zabobon racjonalistyczny. Wszystko jedno czy padam czołem przed drewnianym lub marmurowym bożkiem, czy przed prawem natury. W obu razach jestem niewolnikiem. Cóż za różnica — Bóg zewnętrzny, do którego nie mogę się wznieść jako współtwórca, czy *nieublagane* prawo natury? A czy może być zabobonniejsze pojęcie cudu, niż zrobiony w retorcje homunculus? W żadnym wieku nieoświecenia nie było takiego „oświecania“. Jakże czcigodnymi wydają się nam alchemicy średniowieczni wobec dzisiejszych „kapłanów“ nauki. Arcykapłanem tego sanhendrynu jest Krupp z Essen. Tak „essen“, nie „denken“.

Wracam do głównego wątku. Religja polska, głębiej — słowiańska, głębiej — aryjska nie jest poddaniem się naturze, ale związkiem z nią, stąd wyklucza zupełnie pierwiastek despotyzmu. Jest w treści swej hymnem do słońca, do siły nieznaney, która rządzi materją ziemi, siły, której emanacją jest człowiek. Że człowiek jest siłą współrzedną słońcu, dowodzi sama możliwość hymnu w duszy ludzkiej, świadomość. Jakżeżby inaczej hymn mógł istnieć i jakim związkiem. I z tej współrzedności wypływa możliwość wszelkiej twórczości zwierchniej. Niepodobna działać twórczo w stanie niewolniczym, w stanie poddania się

naturze, czy będzie się ona nazywała Bogiem — Jehową, czy bałwanem cielcem, czy utajoną, niezbadaną Grozą.

Jedynie na tej zasadzie współrzędności z naturą, t. j. możliwości harmonji, arjowie mogli być rzeczywiście wyznawcami i rozsiewcami chrystjanizmu. I oni jedni z wszystkich ras mogli być pojąć chrystjanizm głęboko, w samej treści, jako zasadę miłości i ładu. Inne rasy, których uczucie religijne *obawia się* przyrody, nie są w stanie przyswoić go sobie wewnątrz. Można je ochrzcić i ubrać w szaty chrześcijańskie, ale będzie to łupina innego ziarna. Spójrzmy jak nikła jest działalność misjonarzy chrześcijańskich wśród Afrykanów lub Azjatów. To nie jest opór przekory, lecz niemożność odczucia. A żydzi? Nie można ich pomówić o brak uczucia religijnego: mają przecież system, twardy jak krzemień, skryształizowany przez wieki. Ale związani z naturą *mechanicznie*, obawiający się jej, jako siły wrogiej, beznadziejnie przed nią drżący, nie są zdolni do zrozumienia miłości chrześcijańskiej, jako zasady twórczej. Jęk duszy żydowskiej nie jest skutkiem tułaczego nieszczęścia, ale przeciwnie wewnątrz ponura tragedia oderwania od natury, skazuje ich na istnienie bez natury, na los narodu bez ziemi. Jeżeli choć jedna dusza żydowska zanuci hymn do słońca, uwierzę, że żydzi mogą wejść do kultury europejskiej. Dotychczas tego nie dostrzegłem. Więc ich dusza pozostawać musi w opozycji niezrozumienia kultury chrześcijańskiej, w opozycji walki rozkładowej — i to na obie strony.

Jak się ma polskie uczucie religijne w ramach Kościoła katolickiego?

Wypadki historyczne sprawiły, że Kościół katolicki zrosł się tak istotnie z narodowością polską, że to co moglibyśmy nazwać zniszczeniem formy, zagroziłoby i treści, samemu uczuciu religijnemu. Myślę, że w wielu

miejscach stycznych wiara kościelna zrosła się z wiara narodową całkiem organicznie, bez możliwości rozerwania i porwania. Myślę, że — w tej sprawie rozróżnienie formy od treści dzisiaj już byłoby arce trudne, jeżeli nie niemożliwe. Myślę, że istnieje już katolicki Kościół polski z autonomją, jeżeli nie formalną, to ważniejszą, bo faktyczną. Jeszcze o to wre walka niewidna, cicha, w której uczucia religijne nasze dla tego, że jest głębokie i silne musi wziąć górę, jako pierwiastek twórczy. Lecz nie chcę wyprzedzać porządku myśli.

Otóż myślącym umysłom polskim stale nasuwało się i nasuwa historjozoficzne pytanie, czy katolicyzm rzymski, w swej dążności dośrodkowej i kosmopolitycznej, nie wy naradawia polaków, czy nie zabiera o wiele więcej, niż daje. Jeżeli przypomnimy sobie, ile złęgc, i to złęgo niezaprzeczonego, przyniosło mieszanie się Kurji rzymskiej do spraw narodowych państwa polskiego, już od czasów krzyżackich, — jak później tresura jezuicka obniżająco wpłynęła na umysł i charakter polski, gotowiśmy *nastrojowo* ubolewać, że tak potężny ruch myśli, jakim był niewątpliwie arjanizm polski, nie oderwał nas od Rzymu. Niezawodnie — piękne to zagadnienie i wysoce fermentacyjne dla umysłu, ale już dzisiaj jałowe. Fakt się stał. Katolicyzm polski zrosł się z tragedją upadku i rozbiorów, pospółu z narodem cierpiał i dzisiaj jest już wiara narodową. Dzisiaj wszelki protestantyzm wyznaniowy byłby nie tylko anachronizmem kulturalnym, lecz i narodowym, pominąwszy okoliczność, że protestantyzm, jak wykazały stulecia ostatnie, okazał się bardzo uległy nowym zabobonom, zabobonom racjonalizmu.

Pytanie wymaga koniecznie innego postawienia. Czy sam Kościół katolicki, jako forma opiekuńcza idei religijnej chrześcijańskiej, z naciskiem czasu uległ rozwojowi, czy stoi w miejscu, „*sit ut est at n-n sit*”? Bardzo po-

wszelne mniemanie jest, że jest *petra*, skała, która się nie rusza; ulubiony sposób wyrażania się scholastyki. Cały świat w burzy, a ona się nie rusza. Ależ rusza się idea Chrystusa, niemowlę przyszłe na świat zaledwie dwa tysiące lat temu, niemowlę dla nowego świata barbarzyńców, w którym przez szereg stuleci, w walce ze zwierzęcością dzikiej natury, ta idea musi się stopniowo rozwijać, pogłębiać i ucieleśniać. Idea nie daje teokracji spocząć na laurach władzy; kler musi się kręcić koło niej, jak ziemia około słońca. To ona jest *petra* w znaczeniu niezniszczalności, w znaczeniu ciągłego stawania się. I toruje sobie drogę dalej i naprzód pośród walk wewnętrznych duchowieństwa, ambicij utajonych lub jawnych, często nie mających granicy, pychy wzywającej do ślepego posłuszeństwa, chciwości i żądz zaostrzonych upajającą atmosferą dewocji.

Myślę, że żaden Kościół na świecie nie przechodził i nie przetrwał tylu walk rozwojowych, ile miał ich katolicki. Trzebaby chyba zamykać oczy umyślnie, aby nie dostrzedz, że to, co jest dziś, jest bardzo różne od Kościoła i papieżstwa średniewiecznego lub starowiecznego. Wykazywanie historycznych sprężyn rozwoju nie zajmuje nas tutaj. Ale ogarnąć całość i porównać. Naprzykład, cóż mają wspólnego tacy ludzie czcigodni i poważni, rozumni i dobrzy, jakimi są papieże współcześni — taki Pius IX, Pius X, zresztą wszyscy ostatni — z dawną historją papieżstwa, z dziejami wyzysku, skandalu i zbrodni pod sukienką religijną? Jakże inni, patrzymy bliżej naokół siebie, są współcześni biskupi polscy, często męczennicy, niemal zawsze ludzie godni w porównaniu z dawniejszymi naszymi „księżętami“ kościoła: Nemrodami, administratorami fortun, założycielami wielkości familij, indywidualnościami często wybitnymi, ale bez podniosłości duchowej. Różnica bardzo wyraźna.

Jeden fakt zwłaszcza, w oczach ludzi naszej epoki racjonalistycznej, tak bardzo odwykłej od wszelkiego głębszego pomyślenia dzięki gotowemu połykaniu wszelkich drukowanych niedorzeczności, zaćmiewa sądy o zdolności rozwojowej Kościoła katolickiego. Mianowicie jest nim dogmat o nieomyślności papieża w sprawach wiary. Pozornie wygląda on na roszczenie autokratyczne, na skrzep despotyczny, niewywołany koniecznością twórczą. Jednakże myślę, że taką koniecznością on jest. Bo któż ma rostrzygać o symbolach i dogmatach uczucia religijnego, jeżeli nie intuicja jednego człowieka, postawionego w warunki najwyższej odpowiedzialności i ekstazy? Twórczość religijna równie jak i artystyczna płyną z uczucia, zatem są sprawą nie rozumowania a intuicji, sprawą indywidualną nie zbiorową. Pius IX i Michał Anioł, papież i artysta, dopełniają się wzajem; to twórczość podobnego gatunku. Na zgromadzeniach większością głosów można uchylać podatki i ustawy polityczne, ale przegłosowywać dogmaty! Na przykład większością jednego głosu rozstrzygać, czy Duch Święty pochodzi tylko od Boga Ojca, czy *patri filioque!* W ciągu stuleci na soborach zdarzały się tego rodzaju racjonalistyczne niedorzeczności, a szczególnie ulubione przez ducha bizantyjskiego. Rezolucja Piusa IX jest postępem, przynoszącym zaszczyt kulturze Kościoła katolickiego.

Dążenia kosmopolityczne i powszechne Kościoła katolickiego nie są jedynie aspiracjami duchowieństwa, pragnącego powiększać owczarnię, ale wynikają koniecznie z samej zasady chrześcijańskiej i z działań zasadniczych Kościoła usunięte być nie mogą. Albo się wierzy w światłą moc idei Chrystusowej i *drogą* Chrystusową działa się przez żelazną wolę Pawła, albo się nie wierzy i wpada w tolerancję lenistwa. Idea powszechności katolickiej jest

tak potężna, że wydaje się szczepionką kosmopolityzmu, groźbą dla indywidualności narodowych.

Pozornie i apryorycznie. W rzeczywistości oglądam się na okół i chcę zobaczyć kraj wynarodowiony przez katolicyzm. Nie znajduję takiego w dziejach Europy. Co miało grunt indywidualny nie tylko pozostało, ale pośród katolicyzmu rozrosło się. Wynarodowienie, raczej wplemnienie Słowian od Łaby do Odry sprawił nie katolicyzm, ale niemiecka zaborczość plemienna, posługująca się słabym wtedy *ideowo* katolicyzmem.

Katolicyzm, o ile opiera się szczerze na idei chrześcijańskiej, a koniec końców na tej „*tu es petra*“ coraz bardziej opierać się musi, ze wszystkich innych wyznań posiada w sobie największą giętkość, to jest zdolność przystosowania się do narodowości. W dogmatach narzucający, w praktyce uczucia religijnego stosuje szeroką tolerancję. Ta zdolność przystosowania się cechuje w stopniu najwyższym Osobę Chrystusa, najprzenikliwszą z Mądrości. I to jest tradycja wielka, prawdziwie chrześcijańska. Na tem polega siła katolicyzmu, jego niezwalczony czar bujności życia.

Mówiłem już o katolicyzmie polskim. Chyba ten nie zna życia polskiego, nie czuje zapachu polskiej ziemi, kto nie rozumie lub nie chce zrozumieć, ile prapolskości i prasłowiańskości pod sukienką łacińską weszło do naszej wiary kościelnej. Wtuliła się tam cała ludowa poezja natury, czysta aryjskość rasy, pogańskie bezkościelne uczucie religijne, rozkwitające w inspektach katolickiego chrystjanizmu. Dzika ciernista róża zyskała grunt kulturalny do rozkwitu w piękny wonny kwiat o tysiącu nieprzewidzianych barw i odmian. I katolicyzm polski, dzięki ciąglemu wsiąkaniu weń pierwiastków narodowych, coraz bardziej zyskuje wewnętrzną niepodległość. Nie katolicyzm wynarodawia polskość, ale polskość unarodawia katoli-

cyzm. Bo cóż najskuteczniej może zwalczać teokrację, klerykałizm, ułomności duchowieństwa? Czy racjonalizm mechanicznego pojmowania świata, zaprzeczający uczuciu religijnemu pierwszeństwa w życiu cywilizacyjno-kulturalnym? Pozornie tak, w krótkim okresie na chwilową metę, ale sam sprowadza później gwałtowną ciemną reakcję. Obadwa racjonalizmy: księży i anti-księży w rzeczywistości, walcząc, przyciągają się wzajem, gdyż oba mają jednakową treść. Otóż nie. Zwycięzcą teokracji i klerykałizmu może być jedynie sama potęga uczucia religijnego. Tak jak postęp narodowy mogą sprawiać tylko ludzie czujący narodowo, tak samo katolicyzm może być oczyszczany z klerykałizmu jedynie przez gorących katolików. Bez dobrej nieprzymuszonej woli rozumienia czegoś nie masz skutku. Najgłuchszy jest ten, kto nie chce słyszeć!

W narodzie polskim, pod względem stosunków do religji, są trzy gatunki ludzi, rzecz ściślej, trzy gatunki usposobień, gdyż żaden żywy człowiek zwłaszcza współczesny nie jest teorytycznym schematem. Mówimy o usposobieniach szczerze wewnętrznych, nie mających nic wspólnego z „polityką“ obyczajową życia codziennego.

Polacy klerykałni, dewocja, zabobon, pojmowanie uczucia religijnego, jako strachu przed piekłem i gorącą smołą. Ci czczą księży nie jako duchowych przyjaciół, lecz jako rozgieszycieli i obrońców od mąk wiekuistych, na jakie, w głębi własnego przekonania, najzupełniej zasługują. Do rzędu tych ludzi należy część tak zwanej arystokracji — przez zwyrodnienie i ośpienie, oraz część ludu, pochodzenia rasowo niższego, bardziej chińskiego niż aryjskiego, usposabiającego do zabobonów. I wiele kobiet, które wogóle idą tam, gdzie je kto naprawdę chce pociągnąć pozorami uczucia i ma ku temu sposobność, jak księża. Oto owczarnia w której klerykałizm może gospodarzyć całkiem swobodnie.



Polacy bezwyznaniowi. Jedni, którzy uważają wogóle uczucie religijne jako wrogię kulturze, inni, patrzyący na nie jako na przeżytek; inni wreszcie tolerujący je *czasowo* dla nieoświeconego ludu, lecz nie dla siebie samych, gdyż rzekomo kompromituje ludzi wykształconych i kulturalnych. A wszystkie te odmiany mają wspólne to, że nikt nie raczył się zainteresować i przemyśleć, co to jest uczucie religijne. Bo zakazano myśleć o tem. Jak ongi wzbraniano czytać ewangelję, tak w stuleciu XIX urzędowa filozofja postawiła na indeksie samą myśl o uczuciu religijnem. Któż tu był inkwizytorem nowego *Sancti Officii*? *Postęp, kultura, myśl wolna?* Ależ taka myśl wolna myśli djabelnie wolno t. j. powoli.

Zaiste bywają w dziejach odrodzenia i odrodzenia. *A capite i a tergo*. Ciemnota scholastyków średniowiecznych i ciemnota mechaników XIX stulecia, to nic jakby jednolita, łącząca dwie Nienawiści, które się zawsze, odpychając, znajdują i połączą wspólną ślepotą na jednego wspólnego wroga — Światło.

Oczywiście polacy, kręcąc się w orbicie Europy weszli i w tę perturbację wraz z swawolą tradycji upadku i jej brakiem poczucia odpowiedzialności.

Sam wzrosłem w atmosferze tej bezwyznaniowości i wzięłem ją za punkt honoru. Pamiętam: przechodząc przed drzwiami kościoła *demonstracyjnie* nie zdejmowałem czapki. Z dumą powtarzałem, że człowiek pochodzi od małpy i cieszyłem się z tego. Z czego się było tu cieszyć? Jakieś zabawne misterjum umysłowe, którego po dziś dzień nie mogę zrozumieć. Szczęściem, że w tem wszystkim jest więcej powierzchownego niż istotnego, raczej *divertissement* sceniczne, niż poważny odruch duszy.

Bo dziwna zaiste jest ta bezwyznaniowość wielu polaków, oparta na „kulturalnym“ punkcie honoru. Gdy chodzi o jakąś uroczystość narodową, o zjednoczenie się

w duchu, o pokarm siły, wtedy antireligijne szeregi, popołu z całym tłumem „zacofańców“ wchodzą do świątyń i nawet nie parzy ich pokropienie święconą wodą. Te djabły nie są tak bardzo czarne, jak ich mowa i ich „zasady“. I co więcej. W tem zjednoczeniu doznają prawdziwego wrażenia podniosłości. Gdyby chcieli pomyśleć i wczuć się, czem było to wrażenie. Ale mają zakazane.

Bezwyznaniowymi jest znaczna część, może większa, naszych warstw kształconych i nie mało robotników fabrycznych tresowanych agitacyjnie. Stosunek ich do uczucia patryotycznego jest taki sam, jak do uczucia religijnego — przeczący i fałszywy. Ich działania patryotyczne opierać się muszą na nienawiści i niewierze względem swoich, na lokajstwie kosmopolitycznem względem obcych.

Wreszcie największa grupa narodu — ludzie religijni. Jest to ta część Polski, która stoi przy tradycji Piastowej, broniąc jej jako swego zbawienia i swego wyzwolenia. Na tych ludziach głównie spoczywa terażniejszość i przyszłość narodu. Uczucie religijne jest dla nich podstawowe, a instynktem rozumieją, że miłość kraju ojczystego, a miłość chrześcijańska to jedno.

Jest nieszczęśliwie wyobcowany z ducha piastowego, kto nie czuje jak lud polski, w najpiękniejszym swym rdzeniu rasowym i kulturalnym, w takich gniazdach jak Kujawy, Łowickie, strony Lubelskiego, w wielu innych — nie tylko obcy jest, ale wprost wrogi wszelkiemu formalizmowi kłękalnemu. Z czcią zupełnego oddania zachowuje się względem swoich księży *dobrych*. Natomiast z pełną polityczną powagą na zewnątrz, a z drwinkami, szyderstwem i goryczą w duszy traktuje *złych* duchownych. Niepodobna mi przytaczać mnogości lapidarnych przydomków i przysłowi, przyklepionych do księży znieważających uczucia religijne ludu. Wszystko to wylewa się na

zewnątrz w chwilach wesołego podochocenia, tak ulubionego przez naturę polską. I gdy pomyślę, że w imię „kultury“ nieraz do tych ludzi zdrowych i mądrych przychodzą *ex partibus infidelium* apostołowi poświętnicy z ideowemi poprawkami, zapytać muszę, jakież to Piotr uczy Marcina?

Lud piastowski dąży do spójnienia na swoim gruncie katolicyzmu, aby na tej opoce utworzyć swoje państwo z ustrojem odpowiednim kulturze nowoczesnej. Niedorzecznością jest szczepić mu postęp pijany, który zatacza się na wszystkie strony, by w końcu zwalić się w błoto, postęp, który nie ma ambicji, aby mu się robota twórcza udała. Zostawmy to niebieskim ptakom tradycji Upadku, które ani sieją, ani orzą, lecz chcą zbierać. O! bo nad tradycją Upadku, nad tem straszliwem pobojobowiskiem jeszcze pełnem żywych trupów, krążą stada ptaków, sępów i gawronów, wszelkie gatunki skrzydlatego drapiestwa, jakie wypuścił był Noe z arki. Wrzask ich głuchemu uchu może wydać się hymnem wolności.

Jednakże w imię kultury współcześni przeciwnicy katolicyzmu wytaczają mu proces. Oto, wskazują, w stuleciu XIX kraje protestanckie osiągnęły daleko wyższy stopień rozwoju, niżeli katolickie. Kto dziś aj rządzi światem? Anglija, Niemcy, Ameryka Północna, że nie wspomnimy o Azjatyckiej Japonii, która w naszej sprawie zostaje po za nawiasem. Gdzie tryska największa energia pracy i organizacji? A gdzież większy upadek i letarg niż w arcykatolickiej Hiszpanii? Mała Belgija, choć katolicka, nie ustępująca w rozwoju nikomu, nie będzie przyjęta za przeciwdowód przekonywujący. Nowe Włochy i Francja — do wojny nikt nie wiedział napewno, czy są katolickie czy religijnie anarchiczne. Zresztą te kraje nie były politycznie na czele rządów świata. Fakty krótkiego okresu budziły myśl, że katolicyzm z natury swej wlewa w żyły narodów jakiś haszysz usypiający energję. I powodowały wniosek,

że katolicyzm musi być zastojem; kto z nim — ten w walce o byt zginąć musi. Więc zrośnięcie się Polski z katolicyzmem — w powyższem świetle staje się dla narodu i dla jego przyszłości śmiertelne.

Z drugiej strony myśl, przynajmniej moja, nie może się zgodzić na to, aby protestantyzm był lepszym opiekunem uczucia chrześcijańskiego, niż katolicyzm. Na mocy tego, co sam widziałem w krajach protestanckich i ze świadectw tych myślicieli XIX stulecia, którzy naprawdę myśleli samodzielnie i niepodległe od katedr uniwersyteckich kontrolowanych przez rządy i od mody prądów bieżących i przejściowych. Taki Artur Szopenhauer, którego urzędowy katolicyzm zapewne trzyma na indeksie, wypowiada się wprost, że protestantyzm jest zepsutym katolicyzmem, kościołem bez wieży, religją bez ideałów, która prędzej czy później musi się zakończyć bankructwem, t. j. bezreligijnością. Punktem ciężkości protentantyzmu, powiada, jest ambona, kazanie, perswazja, ewentualnie sofistykacja; odtrącił on katolicki ołtarz t. j. ofiarę, poświęcenie z uczucia. Uczucie jest irracjonalne, a racjonalistyka w religji jest sprzecznością w założeniu i prędzej czy później musi stać się fałszem i to fałszem uświęconym w zasadę.

I rzeczywiście taki fałsz podniesiony do powagi doktryny cechuje postępowanie protestanckie takich krajów naczelných jak Anglija i Niemcy, postępowanie, w którym, obok ideałów humanitarnych, propagandy wiecznego pokoju i t. d., znalazło swój kącik i prześladowanie Irlandyi i system rządowy w Prusach względem polaków. Ów rzekomy humanitaryzm był nic nie kosztującym kazaniem, amboną, nie był ołtarzem, na którym poświęca się coś dla ideałów. Jakżeż z nim pogodzić bezwzględność i okrucieństwo objawione podczas wojny przez niemców? Prze-

cież to naród cywilizowany, wiedzący co robi... Ha, jak wie tak i robi.

Albo rzeczywiste uczucie chrześcijańskie i powolna, ciężka walka o ład przez ducha i przez kulturę, albo idea materialnej potęgi, szybki, niemal cudowny ład i w skutku, pod maską humanitaryzmu, przymus i zdziczenie. Przyzwyczajeni, w naszych czasach, do ciągłego pyłowania wyrazów jak „postęp“ „ewolucja“ i t. d. zapomnieliśmy zupełnie o możliwości procesu „zdziczeń“. A jednak narody i nie jeden, a dziesiątki w dziejach dziczały i to na tronach wielkich cywilizacji.

Niewątpliwie racjonalizm protestancki sprzyjał rozwojowi dziedziny życia zbiorowego, która z istoty swej opiera się na przesłankach rozumowych, to jest — mechanice i technice społecznej, słowem cywilizacji. Rozporządzając olbrzymim kapitałem kulturalnym, pozostawionym przez świat starożytny i przez tysiąc pięćset lat bardzo wyężonych i bardzo twórczych nowej kulturze europejskiej, protestantyzm miał z czego budować cywilizację. I budował tem szybciej, im mniej chodziło mu o sprawy duchowe, to jest kulturalne. Stać się musiało, że cywilizacyjnie wybiegł naprzód, kulturę pozostawiając za sobą. Na tej drodze zerwał nici z przeszłością i z musu rozpoczął robotę niezdrową, nienaturalną. Zwykle kultura wydaje cywilizację, on z cywilizacji spróbował tworzyć kulturę. Więc ukazał się światu niemiecki protestancki *nadczłowiek*, objaw zdziczenia w stosunku do macierzystej kultury europejskiej.

Dopóki słynny, a nierozumiany powszechnie zator wszech europejski wynikły z wyprzedzenia kultury przez cywilizację, nie rozwiązał się w niesłychanej rozmiarach i charakterem wojnie, wielkie echo stuleci, chór nieśmiertelnej mądrości był dla roznamiętnionych cywilizacją tłumów, głosem Kasandry. Wprawdzie wszyscy czuli na piersi

nieznaną, niewidoczną zmore, ale nie rozumieli, że jest to duszenie kultury przez cywilizację. Zresztą czyż mogli byli pojąć to ludzie techniki wyłącznej, wjarzmieni do roboty armat na samych sobie, wynalazcy i uczeni, pracujący nad zabójczymi gazami przeciwko sobie i swoim dzieciom? Komuż przyszło na myśl: poco ta energia, poco praca, kto ją zużytkuje?...

Ale „poco“, „dla kogo“ nie są to pytania, na które zdolna odpowiedzieć cywilizacja. Nie jest to sprawa techniki. Ta pędzi jak wściekła lokomotywa, sama bez maszynisty, aż spadnie gdzieś tam w przepaść...

Tylko *kultura* może zapytać z poczuciem odpowiedzialności:

„Odlewasz armatę, kto z niej będzie strzelał i w kogo?“

„Wynalazłeś telegraf bez drutu, kto zeń będzie użytkował?“

„Oświecasz? jak?“

A gdy nie znajduje odpowiedzi zadawalniającej i pełnej, trzyma cywilizację, jak tygrysa w żelaznych kratkach; pcha go naprzód w miarę obłaskawiania. Ale zawsze obok, ciało przy ciele, aby jej nie wyprzedził, i na łańcuchu, aby jej nie roszarpał.

Więc patrząc z tego punktu widzenia, przyspieszenie tempa cywilizacji w krajach protestanckich bez równoległego rozwoju kultury, nie wygląda wcale normalnie i zdrowo. Może być uważane jako wysilenie z koniecznym skutkiem okresu niemocy. Zwróćmy uwagę, że nowoczesne zaostrzenie się sprawy socjalnej jest również w znacznej mierze skutkiem nierównowagi kultury i potęgi cywilizacyjnej, to jest pieniądza, u warstw burżuazyjnych. Bowiern siła i wytrzymałość narodowa polega bardziej na równowadze obu czynników kulturalnego i cywilizacyjnego, niżeli na ich bezwzględnych stopniu. W krajach katolickich stulecia XIX cywilizacja rzeczywiście ruszała się powolniej.

Czem jest wszakże jedno stulecie w szeregu dziejowego czasu? W wieku XX może z łatwością dopędzić i wysunąć się na czoło. Wiele wypadków zaszłych całkiem nieoczekiwanie podczas wojny, do takich przywidywań upoważnia.

Albowiem w intuicji katolickiej główny czynnik kultury, to jest uczucie religijne, utrzymało się zdrowiej i silniej, niż w racjonalistycznej łupinie protestantyzmu. Polska tradycji piastowskiej, tak bogatej w ten czynnik, ma przed sobą zdrową przyszłość.

---





OBCY.

OBČY

Któż z nas nie ma idei niepodległości? Ta nadzieja jest gwiazdą, bez której wzrok nasz gubiłby się w ciemności. Wszyscy o to krzyczą. Ale ów krzyk nie jest jednakowy. Jedni krzyczą i nie myślą. Inni krzyczą i myślą.

Jakkolwiekby obrócić się wypadki, jedno jest pewne: że Polska nie będzie odgradzona murem chińskim od Europy, że politycznie, ekonomicznie i kulturalnie musi utrzymywać stosunki z sąsiadami, gdyż zmiana sąsiadów ani stosunków europejskich nie leży w jej mocy, że wreszcie działać będzie wpływ wzajemny. Stopień niezależności politycznej t. j. zewnętrznej, będzie wszystkim oczom widoczny, lecz stopień niezależności ekonomiczno-kulturalnej t. j. wewnętrznej, będzie mógł być tylko *wyczuły*. Czujność i jasność świadomości narodowej będzie rostrzygała o niepodległości wewnętrznej.

Ku temu celowi obrony wewnętrznej świadomość narodowa musi poznać wszystkich sąsiadów ojczyzny, z którymi trzeba będzie mieć taką lub inną styczność. To poznanie dotychczas było wadliwe, bo niedostateczne. Wszystko, co było w tem poznaniu wartościowego, płynęło niemal wyłącznie z instynktu. Lud czuł każdego obcego i jako rzeczy, której nie znał, nie wierzył. Niemców obawiał się najwięcej, widząc, że kolonista odbiera

mu ziemię. Urzędniczej gospodarce rosjan przyglądał się z boku i politykował; nie było to dlań niebezpieczeństwo *doraźne*. Kierowała nim głównie nie nienawiść, lecz obawa, całkiem zrozumiała u człowieka, który za mało wie i z tej niewiedzy zupełnie sobie zdaje sprawę.

Nasze warstwy kształcone, dziedzice tradycji upadku i tradycji porozbiorowej, nabyły skłonności do poznawania sąsiadów lub współmieszkańców przez nienawiść. Nienawiść zaś w połączeniu z zarozumieniem lekkomyślności jest podwójnem niezrozumieniem. Jeżeli obawa i niedowierzanie są zdrowem dzieckiem każdego instynktu narodowego, bynajmniej nie przeszkadzającym, ale pomagającym poznaniu, to nienawść wręcz uniemożliwia sąd, a z tem i działanie twórcze.

Poznanie twórcze *sąsiadów* jest niezbędnym elementem rozumu narodowego. Spróbuję w tej sprawie przedstawić swoje intuicje.

Więc naprzód — sąsiadujący świat słowiański: Czechów i rosjan.

Następnie Zachód Europy: Niemców, Francuzów, Włochów, Anglików, Dótknę i Amerykanów.

Wreszcie Żydów, jako naszych współlokatorów; w rdzeniu, w ludzie żydowskim, uważam ich za naród nie za sektę religijną, i to za naród najbardziej utrwalony z wszystkich współczesnych, z zupełną jednolitością tradycji.

---

## CZESI.

Lat temu dziesiątek obecny byłem w Warszawie podczas przyjazdu Czechów. Oczywiście zręczna agitacja i reklama mogą zawsze przemienić ludność miejską w ga-

wieść, wylegającą tłumnie na wszelką nowość, jako na dziwowisko. Tem bardziej w Warszawie, która ostatnimi czasy szczególnie zaprawioną była do dwóch krańców: do operetki i do pogrzebów. Tym razem, podczas wizyty Czechów uczułem się w atmosferze czegoś radośnego, prostego i szczerego. Ani operetki, ani pogrzebu.

Cóż doraźnego, realnie politycznego, mogło być w tym fakcie? Niewolnik, dostawszy wyjątkowo pozwolenie to jest pasport, przyjechał do niewolnika. Jak się mawia po naszymu; zeszły się bieda z nędzą. Może panowie specjalnie zajmujący się polityką mogli byli snuć jakoweś mgliste ułożenia, ale ta ulica — Bogu nie polityce ducha winna, jakąż gotówkę otrzymać mogła? A jednak przyjmowała bezinteresownie, jak miłego gościa. Czy tylko towarzysza niedoli? I tak, niewątpliwie... Ale więcej jeszcze jako pobratymca. Głosem krwi.

Nie tylko miasto, krewkie do uniesień i nastrojów. Chłopi nasi, pojechawszy do Czech i przebywszy tam kilka tygodni na wsiach, pytali ze zdumieniem: dlaczegoż to nie powiedziano nam dotąd, że blisko o miedzę mieszkają ludzie, z którymi możemy się jednać? W istocie mówiono im wiele rzeczy niepotrzebnych, ale tego nie powiedziano. Może po raz pierwszy w dziejach spotkał się kmięć piastowski z kmięciem Przemyśla. O, gdy ci ludzie spojrzeli razem na Zachód i na Wschód, ile rzeczy mieli sębie do powiedzenia — nie głosem, to nie wyrazi, ale czuciem?

Sam bywałem w Pradze czeskiej i zawsze powracałem stamtąd z zatarganą duszą i wzniesioną ambicją polską. Więc czeskość mnie wzmacniała? Tak, wzmacniała. Lecz takiego samego wrażenia doznawałem i w Chorwacji. Więc chodzi tu o coś ogólniejszego, wspólnego. Tak, *słowiańskość* mnie wzmacniała. Czy mam nie kochać tego, co czyni mnie silniejszym?

Porównywał te odczucia z wrażeniami doznawanymi, na przykład, we Włoszech lub we Francji. Dobrze się czuje jestestwo na tem świeżem, wolnem powietrzu połączonych kultury i cywilizacji. Dzięki podobieństwu przez krew aryjską, zdolny jestem te kultury rozumieć, podziwiać i używać. Ale bynajmniej nie czuję się tutaj współtwórcą — to jest rozumiane, ale obce. Rozumienie moje jest epikurejskie, jak rezydenta przy pańskim stole. Powracam do Ojczyzny wewnątrznie przygnieciony, zgnębiony, a Nuda i Bezsilność siedlą się w duszy. Tą drogą siły do Polski, mówię o siłach wewnętrznych kulturalnych, przyjść nie mogą. A chociażby nawet przyszła, przez naśladownictwo, cywilizacja, to bez kultury samoistnej nie będzie miała trwałości.

Albowiem to co nazywam kulturą, to jest zasoby duchowe, pewien gatunek usposobienia twórczego stosujący taką nie inną metodę działania, i mocą własnego, naturalnego, nieprzymuszonego doboru objawiający się w takich, nie innych kształtach — tak rozumiana kultura i u nas i w Czechach tkwi korzeniem w słowiańskości. Gałęzie mogą się rozdzielić, a każda osobno jak najbujniej rozrosnąć się, ale pień pozostaje wspólny. Powiedzieć: Polska ma kulturę zachodnią, jak powtarza wielu ludzi, nie zastanawiających się nad tem, co mówią, jest to wymazać na papierze Polskę z kultury europejskiej, jak na papierze dyplomacja rozbiorów wymazała nasz naród z polityki. Kultura europejska posiada oblicza wyraźne: francuskie, niemieckie, włoskie, angielskie, nie przygarnia do siebie bękartów, podszywających się pod cudze metryki. Wierzę, że Staszyc, Mickiewicz, Lubecki zatwierdziliby te moje słowa.

Cywilizacja słowiańska, z wyjątkiem polskiej, którą dopiero od rozbiorów zaatakowano na serjo, została zniszczona w wysokim stopniu. Że być mogła, i nie byle

jaka, dowiodły średniowieczne dzieje Czech i Polski, a i Chorwacji, Serbii, nawet dzikiej, półsłowiańskiej Bułgarii. Na tem zniszczeniu cywilizacji samodzielnej i późniejszym naśladownictwie cudzej — w stanie niewoli — oparł swój pogląd Zachód: „Słowianie są rasą niższą“.

Ale kultura słowiańska, tam, gdzie nie nastąpiło obfite krzyżowanie się z rasą daleką, niepomyślną, nie tylko nie niszczała, lecz wszędzie tam, gdzie ciała obluźniono więzy, rwie się pędem młodzieńczym do cywilizacji samodzielnej. Jest ona siłą współrzedną, nie podrzedną kulturze zachodniej. Nie widzę żadnej wyższości kulturalnej cywilizowanego chłopca francuskiego lub niemieckiego nad mniej cywilizowanym polskim lub czeskim. Często nawet przeciwnie... ale bezcelowe są takie rozsady. Dość mi stwierdzić czucie, że Piast i Przemysł są to osoby bardzo poważne, które potrafią urządzić swój dom dobrze.

Dlaczego słowiańskość z zawartą w niej potężną ideą kulturalną, która wytrzymała ogniowe próby historii, dzisiaj nie posiada jeszcze magicznego czaru jednoczenia i łączenia do wspólnych działań, gdy dwom takim narodom, jak czesi i polacy, grozi bardzo poważne niebezpieczeństwo?

Historycznym wrogiem słowiańkości są Niemcy, jak byli nimi dotychczas zawsze. Ich przedwojenna hegemonja w Europie dozwalała im tłumić w zarodku wszelką ewolucję idei słowiańskiej. Wiemy, że nigdy nie przebiali w środkach, a przy swoim wyjątkowym stanowisku w Europie byli zupełnymi panami położenia. Wiemy, że względnie drobny fakt — powstania szkół prywatnych w Królestwie polskiem — napełnił alarmem szpalty prasy niemieckiej. Jeżeli sprawa rywalizacji morskiej z Angliją stała przeszkodą ich ambicji, to wyzwolona słowiańskość groziła wprost ich zaborczemu ustrojowi. Więc słowiańskość była bodaj najczulszem miejscem ich polityki.

W tym względzie naturalnymi sprzymierzańcami Niemców są Żydzi, których Ghetto, masa ludowa, pasorzytuje na niewoli i niedoli narodów słowiańskich. Nigdy nie widziałem Żydów bardziej zagniewanych, po prostu brzydko zapienionych, niż podczas pobytu Czechów w Warszawie. Przekonałem się wtedy, że Żydzi umieją intrygować, ale nie umieją politykować: ponosi ich zła wola.

W samej Polsce słowiańskość nie posiada wrogów, chyba u Polaków nierodowitych, ale ma wielu niewiernych, obojętnych i zrażonych. Przedewszystkiem sama tradycja upadku i tradycja porozbiciowa, mieszczące w sobie elementy odstępstwa od piastowości, w połączeniu z wewnętrzną niewiarą w samodzielną siłę polskości, nie usposabiają do entuzjazmu wogóle, przeciwnie skłaniają nawet do lekceważenia wszelkiego entuzjazmu. Największą wszakże tamą dla rozwoju idei słowiańskiej była przedwojenna polityka rosyjska, maskująca zaborczość najpierwotniejszego typu motywami słowiańskimi. Nikt tyle nie zaszkodził słowiańskości, ile dotychczasowi panslawiści rosyjscy; nikt tak jak oni, z taką ślepą niewiedzą, nie uderzał w samo serce kultury słowiańskiej. Można przyznać, że były to w znacznej mierze podszepty polityki niemieckiej, odgrywające w Rosji już od czasów Piotra Wielkiego potężną rolę, a niesłychanie wzrosłe w stuleciu XIX, ale taka lub inna przyczyna nie znosi faktów. Z przyczyny można sądzić jedynie o możliwości zmiany na przyszłość.

Rodzi się ważne pytanie, czy słowiańskość może być czynnikiem politycznym? Tak zwana, raczej sama nazywająca siebie, polityka realna upraszcza zasadę w krótkim: „w polityce niema sentymentów“ co często ma znaczyć, że odrzuca znaczenie pierwiastków uczuciowych. Myślę, że taka symplifikacja jest bardzo wygodna, ale jak najmniej może rościć pretensyj do „realności“. Bowiem



jest jednostronna, jest utopią materialistyczną, która nie chce widzieć pełni życia, nie dostrzega nawet własnych swoich działań w praktyce.

Wiemy jak doniosłe, pierwszorzędne miejsce zajmują w każdej polityce poważnej sprawy religijne — stosunek Kościoła do Państwa. Są to przecież w obiekcie, po za łupiną klerykalizmu, twardą nie przeczę, sprawy należące zasadniczo do sfery uczuciowej, są typowym „sentymen-tem“. Czy, na przykład, prześladowanie religijne i opór, praktykowane niemal *wszędzie* w Europie, gdyż nawet, pod różnymi osłonkami, we Francji i w Anglii, i ze strony prześladowców i od strony prześladowanego, są faktem wyłącznie o znaczeniu ekonomiczno materialnym? Cóż mi na to odpowie mechanika polityki „realnej?“ Może to (odpowiedzą po cichu), że religja w Europie jest już zjawiskiem szczątkowym, jak kość ogonowa w szkielecie ludzkim, i że trzeba ją tolerować... dla ludu, potrzebującego nieba i piekła, zanim się dostatecznie oświeci. Kto tu jest oświecony, a kto *odświecony*?

Niechaj mi wolno będzie w tem miejscu uśmiechnąć się i snuć dalej wątek.

Słowiańskość jest w całym znaczeniu tego wyrazu światopoglądem, religją, czy u katolika, czy u unity, czy u prawosławnego, czy u protestanta, czy nawet u bezwyznaniowca, obawiającego się bardziej, aby go nie pomówiono o przesąd, niżeli samego przesądu. Idea Chrystusa znalazła w słowiańskości iście gotową, czarnoziemną glebę. Dlatego słowiańskość nie tylko może, ale musi być związkiem, to jest *religją*. Po polsku mówi się wiara narodowa, wiarus; w Rosji istnieją takie imiona kobiece jak Wiara, Nadzieja, Lubow.

W Europie feudalnej narody nowoczesne tworzyły się przez podbój obcych przez obcych, plemion duchowo różnych i tutaj rostrzygało wyłącznie prawo pięści. Nie

była możliwą unją pomiędzy frankami i burgundami a galami, pomiędzy normandami a bretonami, pomiędzy Niemcami a Lutykami, obotrytami i wendami. Dopiero czas stapał panów i niewolników w narody o nowej cywilizacji i nowej kulturze.

Natomiast pobratymstwo czyni podobój trudnym, jeżeli nie uniemożliwia. Najodporniej idzie przeprowadzenie zasady nierówności wśród żywiołów podobnych, gdyż te czują równość. Łatwiej poddać się obcemu niż swojemu. Najzaciętsze właśnie bywają w rodzinach. Przystłowiowa niezgoda Słowian nie wynika głównie z ich przyrodzonego usposobienia do kłótni, z niezdolności do ładu publicznego, co starają się wmówić światu Niemcy, ale z faktu pobratymstwa. Ład Słowiański jest ładem równości, ładem dobrowolnych związków. Te idee były niewątpliwie praktyczną słabością w okresie panowania militarnego absolutyzmu, ale staną się siłą, gdy ów militarizm sam dowiedzie swej niepoczytalności, jak to widzimy już w wielkiej wojnie.

Sądzę, że na miejscu były tu uwagi o Słowiańskości w rozdziale o Czechach, gdyż w Warszawie i w Pradze spoczywa centrum duchowe największego uświadomienia idei Słowiańskiej nie tylko dla zachodniej części Słowiańszczyzny, lecz w znacznej mierze i dla wschodniej.

---

Czechom Białą Górę cywilizacji samodzielnej zniszczono niemal doszczętnie. Była ona na swój czas potężna w ciągu kulku stuleci, gdy głos królestwa Czeskiego miał pierwszeństwo w Rzeszy niemieckiej. Zapowiedź złotej przyszłości, złote bulle i złoty uniwersytet w Pradze, wcześniejszy i świetniejszy od niemieckich, o którym i Polska dużo wiedziała, złoty ruch narodowy, wszystko

to zdusił żelazny uścisk Niemców. Białogórskiemu pobojowisku Niemcy narzucili swoją cywilizację.

Ale kultura, dusza czeska, pozostały w ludzie.

Dzisiaj naród czeski jest, pełnią tego wyrazu, narodem ludowym, nie posiada warstw wyższych w znaczeniu cywilizacji samodzielnej; posiada lud techniczny, przemysłowy, naukowy, rolny, jedną wielką pracę ludową, która od podwalin cywilizację własną budować chce. A wszystko to czyni, karnie, zgodnie, jak na komendę; za tą komendą jest rozbudzona w najwyższym stopniu, powiedzmy rozżarzona, świadomość narodowa. Nie tresura cywilizacji niemieckiej, jak myślą niektórzy, lecz kategoriyczny nakaz uczuciowy, który powstał przez opór jak gaz ściskany do wielkiej prężności,—nie przez działanie twórcze Niemców. Jest to walka mechanizmu z psychizmem, — nie do wytłumaczenia przez racjonalizm naukowy.

Naród czeski, terytorjalnie będący w położeniu groźniejszym, gdyż z trzech stron przez Niemców otoczony, posiada w swym oporze, w stosunku do Polaków, dwie przewagi.

Jest *razem* — złączony, w jednej niewoli, zatem nie ma sposobności do rozumowych porównań i arytmetycznych wyliczeń ciężaru różnych gatunków jarzma. Ma *jeden* rachunek — tem pewniejszy.

I posiada zupełną jednolitość tradycji. Wolny jest od zestawień lub przeciwstawień: „szlachta i lud“, „arystokracja i demokracja“, podziałów, drogo kosztujących narody podległe. Nie potrzebuje żadnej akcji ludowej, bo tam wszystko jest ludem. Nie znane mu ani tradycja upadku ani tradycja rozbioru. Nie oplakuje przeszłości... było to tak dawno... cały pogrążony w teraźniejszości i przyszłości. Łzy mu dawno wyschły.

Natomiast przewaga Polski, w stosunku do Czech, polega na tym kapitale cywilizacyjnym, który Polska mogła

była zachować i po dziś dzień obronić. Cywilizacja piastowska taka, jaką zostawiły stulecia twórcze naszych dziejów, nie była wyłącznie ludową; była ona już zbiorową, zróżniczkowaną, pełną i ogarniającą wyższe idee. Miała ona siłę, mimo słabe państwo, można powiedzieć wbrew państwu, kolonizowania przyległych obszarów Wschodu. Tego nie może wydać sam, nie zróżniczkowany według potrzeb cywilizacji, chociażby najętszy lud.

Właśnie sprawa słowiańska, wymagająca skoordynowania egoizmów narodowych wobec idei porządkowej, narzucającej się jako konieczność polityczna, takich szerszych horyzontów potrzeb e. Domy użytku codziennego, utylitarne, wybornie obejść się mogą bez wieży, ale kościół bez szczytu nie jest kościołem. Polska mimo nędzę i niewolę zdolna jest wydywać samodzielne i zarazem słowiańskie idee twórcze. Niekiedy indziej, ale już w epoce porozbiorowej, Mickiewicz rozwinął intuicje, które powinny być podstawą ideologii politycznej każdego czecha, rosjanina i polaka, o ile czują się słowianami. Myślę, że czesi współczesni pojmują to dobrze i dlatego nie mogą nie dążyć do dziejowego współzycia z nami. Może niema dwóch narodów na świecie, które ze względu na niebezpieczeństwo dziejowego położenia, tak bardzo potrzebują zgodnego działania jak czesi i polacy. Tem bardziej, że dopełniają się wzajem: kolektywizm czeski jest przeciwagą indywidualizmu polskiego i *vice versa*.

Przeciwdziałanie polityki niemieckiej i idei niemieckiej oraz gruntowna nieznamość wzajemna, matka uprzedzeń, przeszkadzały dotychczas zbliżeniu. Mówi się często w Polsce: my po tylu doświadczeniach nikomu obcemu wierzyć nie możemy, zwłaszcza czesi są narodem wybitnie sobkowym i wyłącznie myślącym o sobie. I jakbym czuł dopełniające westchnienie: „o Boże, jakież ten świat podły, niema narodu, któryby chciał wziąć nas pod opiekę, lub

wziąwszy, przy tej sposobności, nie złupił; kiedyż nareszcie zstąpi archanielski mesjasz z mieczem ognistym do narodu wybranego?“ Płaczliwy i histeryczny hymn tradycji upadku i tradycji porozbiorowej targa się w ostatecznościach: „albo wierzę wszystkim i wszystkiemu, albo nie wierzę nikomu i niczemu“. Starosta, albo kapucyn.

O wierze politycznej we współdzielczym związku narodów rostrzygają nie biblijne wywołania, ale poznanie się przy warsztacie wspólnej pracy. Niemiec nam tego wolnego warsztatu odmawia, więc polak i czech muszą iść razem i myśleć nie o tem „wierzyć czy nie wierzyć“, ale o tem, aby działać najwięcej i najlepiej. A współodczucie słowiańskie, jedna prakultura duszy, dla ludzi rozumnych może być jedynie dużem ułatwieniem samej metody pracy. Głupi krewni się kłócą i na bezpłodne procesy tracą mienie, mądrzy — w współdziałaniu rozmnażają je.

Lekkomyślnie zarzucane Czechom sobkostwo nie płynie z ich przyrodzenia, jest tylko zewnętrzne. Przeciwnie, w głębi jest to naród entuzjastyczny jako prawdziwie słowiański. Naród bez entuzjazmu nie zdobyłby się nigdy na wojny husyckie lub na współczesną homeryczną walkę z Niemcami. Trzeba poznać te krwawe i twarde dzieje, aby zrozumieć naturę czeską. Ich skrzyki narodowe, błyskawiczne niemal budowanie instytucji publicznych, świadczą o ogromnych zasobach siły duchowej.

Powtarza się często, że Czesi są fałszywi, bo są skryci i umieją szanować swoje tajemnice narodowe. A któryż Słowianin w położeniu dzisiejszem nie powinien dążyć do zamknięcia się w sobie? Małoż ma pracy przed sobą? Pora swawolnego dzieciństwa minęła. Męska dojrzałość rodzi ambicję zapytania, kim jestem? Czy gladiatorem Europy, tresowanym do walki śmiertelnej w cyrku dla uciechy publiczności europejskiej? Płaczką na grobach?

Pięćset lat temu do Krakowa czeši stali poselstwo za poselstwem, ofiarując królowi Jagielle trón czeski, a Polsce sojusz. Czynili to w przeczuciu zbliżającej się katastrofy dla świata słowiańskiego — od niemców. Czynili to na podstawie stwierdzonego pobratymstwa. Toż w tych latach stał się fakt bardzo znamieny: na soborze w Konstancji wszyscy polacy głosowali przeciwko bezprawiu dokonanemu na Husie.

Okoliczności dziejowe były wtedy bardzo splątane. Papież z całą swoją ówczesną potęgą świecką stał po stronie niemców przeciwko Czechom jako od zcziepieńcom. Polska wahała się... Witold Kejstutowic snuł ogromne plany wielkiego państwa Wschodu, ale podcinała je obawa ewentualnej przewagi słowiańszczyzny zachodniej. Zbigniew Oleśnicki oceniał niebezpieczeństwo wmięszania się młodego, nie stojącego jeszcze na silnych podstawach państwa polskiego, do walk religijnych Europy i osnuł projekt ugody z pretendentem do korony czeskiej Zygmuntem Luksemburczykiem — niemcem. Polska za życzliwą neutralność miała dostać Śląsk.

Ale niemiec darował polakowi Śląsk w taki sam sposób, jak Żagłoba Karolowi Szwedzkiemu — Niderlandy. Niemcy zniszczyli Czechów, poczem z kolei wzięli się do polaków.

Dzisiaj powtarza się przed oczyma naszymi to samo. Nie w taki sam sposób, gdyż pod tym względem historia się nie powtarza, ale w treści to samo. *Eadem sed aliter*. Rosja, Polska, Czechy, Niemcy — oto nowy węzeł polityczny, nowy ze względu na Rosję, stary co do tamtych. Przybył nowy element, rozwiązanie musi być inne. Ale jakie?

---

## ROSJANIE.

Rosja jest to ogromne terytorjalne państwo, zawierające naród w stanie zaczątkowym, u progu uspołecznienia.

Szybka, niemal błyskawiczna w ostatnie lat dwieście ekspansja terytorjalna, sprzyjając wzrostowi zewnętrznemu państwa, tamowała wewnętrzne ujednostajnienie narodów. Na ogromnych obszarach przybywały nowe plemiona, nowe krzyżowania, nowa mieszanina ras; wszystkie warunki sprzyjały nie ustaleniu jakichś trwałych cech, lecz bezładnemu pomieszaniu najróżniejszych właściwości.

Dość spojrzeć na mapę etniczną tych wielkich obszarów, na historyczne przewalania się plemion w tym najnowszym okresie czasu, gdy w państwach Europy Zachodniej i Środkowej utrwaliły się już społeczeństwa narodowe, aby zrozumieć, że Rosji niepodobna brać na miarę współczesną, a wszelkie sądy porównawcze i przewidywania, z tego punktu wyjścia, nie zgodzą się z rzeczywistością faktów. Rosjanie nie są narodem *opóźnionym* w stosunku do Europy, któryby miał dopędzać jej cywilizację, ale są nową formacją powstającą z wielu różnych plazm, formacją, której drogi dziejowej przewidzieć niepodobna.

Słyszałem często zdanie, że Rosja jest nieobliczalna. Sfinksowa zagadka dla teraźniejszości i dla przyszłości. Myślę, że jest to intuicja trafna.

Jej nieobliczalność przejawia się na każdym kroku, w każdej dziedzinie życia, chaosem krańcowych przeciwieństw.

Umiłowanie despotyzmu i najświetniejsze skoki myśli; w obu razach skłonność do bezwzględnego poświęcenia się.

Karność i samowola.

Rozpusta w połączeniu z naiwnością uczucia.

Kradzież grosza publicznego i objawy wysokiego patriotyzmu, występującego wtedy i tam, gdzie go się najmniej spodziewa.

Fanatyzm obrzędowy i najszczerza tolerancja.

Nałogowe pijaństwo — jednym rozporządzeniem — bez szemrania wyrzekające się swego przewileju.

Nierząd bezładu, działający w potrzebie jak organizacja.

Czuła namiętna liryka i Nielitośna sucha satyra.

Dwoistość bohaterów legendowych. Dobroduszny olbrzym Iłja Muromiec, tkliwie niańczący dzieci i Ałosza Popowicz, bijący się w piersi przy sprzedaży duszy za srebniki.

To wszystko razem zrozumieć trudno. A jednak się kręci.

Dopóki trwa system zaborczy państwa, typ rosjanina utrwała się bardzo powoli. Z chwilą ustania zaborczości, co jak się wydaje, wobec uświadomienia dalekiego wschodu Azji, jest blizkie, może się rozpocząć szybka nacjonalizacja Rosji. Ale dzisiaj przewidzieć narodowego charakteru Rosji niepodobna. Dlatego jest dla ludzi obcych nieobliczalna.

Trudno wyliczyć wszystkie gatunki krwi, białe i żółte, słowiańskie, fińskie, tatarskie, kaukazkie, syberyjskie, turkiestańskie, jakie w różnych stopniach i w rozmaitym zakresie lokalnej endogamii pomieszały i mieszają się z sobą. To jedno może dałoby się wyprowadzić z rasowego labiryntu, że na ogół Rosja ma oblicze janusowe. Podwójne, azjatycko-słowiańskie. Jedno patrzy na Azję, drugie na Europę. W tym swoim charakterze Rosja dość szybko asymiluje narody azjatyckie, ale nie ma dość



siły, aby narzucić się Zachodowi, to jest słowiańszczyźnie, względnie czystszej.

Pierwiastek słowiański dał Rosji czucie z Bizancjum przez Kijów, czucie z Europą Zachodnią przez Psków i Nowogród, a później szeroko przez Polskę. Dał jej język bogaty i plastyczny, szeroką rzewną piosenkę, religję chrześcijańską, zasadnicze elementy kultury niemal w całości. Lecz ów pierwiastek, w miarę błyskawicznego pomnażania się obszarów państwa i coraz liczniejszego przyływu elementu nie słowiańskiego, wchodził z nim w walkę coraz cięższą, a dając mu wiele, sam wiele tracił. Do czasu rozbiorów element słowiański miał poparcie w sąsiedzkiej Polsce. Po zgonie politycznym Polski Niemcy już z całą wobodą, jako sąsiedzi, narzucili się na opiekunów azjatyizmu przeciwko rosyjskiej słowiańskości. Rozpoczęła się i trwała w ciągu całego stulecia XIX walka wewnętrzna w Rosji o wolność, aż doprowadziła do wielkiego epokowego starcia się z Niemcami.

Ta tak zwana walka o wolność, często naiwna formą, niemal zawsze narażona na prowokacje, ale jako połot ducha stanowiąca chlubę i nadzieję Rosji na przyszłość, była w treści walką elementu słowiańskiego i jego kultury z azjatyzmem. Elementowi azjatyckiemu wystarcza zupełnie ustrój teokratyczno-biurokratyczny; on nie rozumie ideowej walki o swobodę, a wszelki despotyzm państwowy mógł być śmiało liczyć jeżeli nie na jego poparcie, to na jego bierność. Przygnębiająca melancholja rosyjskich piosenek wolnościowych, „buntowniczych“, jak je do niedawna mianowano, jest instynktową świadomością ciężaru kamienia azjatyckiego na piersi słowiańskiej. Czy możemy wyobrazić sobie, że taką piosenkę może śpiewać ktoś inny, jak Słowianin lub Gruzin? Krzyk, pogwizd, melodia mongola lub Finna brzmi inaczej.

Pieśń słowiańska idzie ku słońcu, twórcza, radośna. Jest jakby złotą tryzną na łonie ukochanej natury. Światowid, Biały Boh, Biały Car, Biały koń o złotych podkowach, sadzą y przez lany, urwiska, kurhany, rozpędzony szeroką piersią, gorące nozdrza tchną wiarą, grzywa rozwiana nadzieją, najcudniejszy jakiego można sobie wyobrazić goniec miłości.

I taki podkład w duszy rosyjskiej jest. Ale druga część duszy — azjatycka — przynosi całkiem coś innego. „Allach jest wielki i nie ma nic prócz Allacha“. Monoideizm zabija polot, zabobon — religję. Napróżno orzeł słowiański próbuje wzlecić, skrzydła ma podcięte, targa się w melancholijnej, beznadziejnej płeśni. Gdzie szlachetniejszy ton, niż u Turgeniewa i Lermontowa? Gdzie większa tragedja, niż u Tolstoja i Dostojewskiego? Ale nie jest to tragedja świadomości, jak w Hamlecie, człowieku z jednego kawałka gliny, który wie czego chce; to walka sprzecznych elementów rasowych, walka dwóch Psyche, elementów, którym trudno być z sobą w harmonii. Więc odbywa się w tej duszy jak gdyby robota Park: co jedna utka druga przecina. Instynkt twórczy osiadłego słowianina buduje, a pesymizm koczownika burzy.

Charakterystyczna jest niemoc, z jaką polityka rosyjska do dziś dzień traktowała sprawę słowiańską. Niepodobna uznać, aby jej kroki w tym kierunku, przeważnie nieudane, były *wyłącznie* skutkiem podszeptów niemieckich, pieniędzy niemieckich, lub uświadomionej złej woli. Niemcy mogli byli usilnie i zrećnie poddawać idee państwowe, ale na instynkt narodowy rosyjski wpływu poważniejszego mieć nie mogli. Mimo wszystko cokolwiek bądź moglibyśmy powiedzieć o antogonizmie pomiędzy państwem a narodem w Rosji, instynkt narodowy wpływa tu w wysokim stopniu na politykę państwa. Mamy tutaj znowu coś niespodziewanego; ci niewolnicy którym myśl

narzuca się z góry, jednakże mają swoją wolę i objawiają ją *skutecznie*, nie w spiskowych walkach przeciw rządowi, ale w swym nacisku na ogólny kierunek polityki państwowej. W dziedzinie tych spraw wbrew woli narodowej, rząd rosyjski pójść nie może.

Otóż od czasu zniknięcia państwa polskiego, sprawa słowiańska była i jest niewątpliwie duchem Banka dla polityki rosyjskiej. Nie można jej grzebać, bo się nie daje pogrzebać. Ferdynand Habsburgski mógł być powalić Czechów, a Józef, Katarzyna i Fryderyk — wyprawić stypę po Polakach, ale Tor Walhalli nie pokonał Światowida; obadwaj jako bogi mogą umrzeć tylko razem wraz z końcem formacji dziejowej. Więc sumienie słowiańskie Rosji było i jest faktem.

Ale również faktem jest połowiczność tego sumienia, jak rzekliśmy, dwuduszość. Skutkiem tej połowiczności — brak pełni odczucia, zatem i zrozumienia — niemoc w rostrzyganiu. Rozumienie zaś było bez wątpienia bardzo utrudnione przez wpływ idei niemieckich, zwłaszcza hegeljanizmu, które posiały w umyśle rosyjskim orgję „pryncypialności“, obok szczególnej miłości dla prusacyzmu. Jeden z „słowianofilów“, bardzo ostatnimi czasy w Rosji czytany, Danilewskij w książce swojej p. t. „Rosja i Europa“ przy obronie samoistności kultury rosyjskiej na przyszłość przeciwko kulturze zachodniej, widzi jedynego sympatycznego przyjaciela Rosji w ... Prusakach. Niechaj mu odpowiedzą cienie żołnierzy rosyjskich padłych w boju z „przyjacielem“. Teoretyczność niemiecka i sofistyczność bizantyjska znalazły punkty łączności.

Słowianofile rosyjscy w ciągu stulecia XIX wiele i wiele pisali o słowiańskości. Nie mogę przypuścić, aby większość z nich mówiła nieszczercze. Lecz mówili jak rozumieli.

„Czy strumienie słowiańskie spłyną się w morzu rosyjskiem, czy to morze wyschnie“?

W tem zapytaniu tkwią dwa azjatyzm: z jednej strony — instynkt autokratyczny, z drugiej — niepewność co do własnej mocy twórczej.

To nie młot Tora, ani piorun Światowida, to za ledwie harmata Tamerlana.

Albo słowiańskość jest tą ideą przednią, naczelną, indywidualnym faktem kulturalnym, zdolnym dzwigać samodzielną cywilizację i wtedy wszystkie strumienie, nawet morza muszą wpłynąć do jej oceanu drogą naturalnego spadku. Albo jest wyrazem wymyślonym. Jednakże nie jest fikcją, bo się ją czuje, bo czują ją miliony rosjan, Czechów, Chorwatów, Serbów, Polaków, — w ludzie. Jeżeli zaś jest oceanem, to jakże ma dążyć do węższego, do rosyjskości, do tej rosyjskości na którą Turgeniew w swej skardze serdecznej żalił się, że jest „dymem“. Nie, rosyjskość nie jest „dymem“, ale jest ciężką walką dwóch trudnych do zgody pierwiastków: słowiańskiego i azjatyckiego. Lud rosyjski zbyt wiele posiada inteligencji i dobrych popędów, aby wszystko miało się ulotnić w przestwór dziejów, jak dym. I co do mnie, to w jego możliwość rozwoju wierzę.

Jeszcze wyraźną przewagę azjatyizmu widzę w ciągłym powoływaniu — wyznania religijnego do bardzo czynnej i przewodniej roli w sprawie słowiańskiej. Znana jest predylekcja polityki rosyjskiej do Słowian prawosławnych, a nawet do niesłowian prawosławnych np. Greków, predylekcja, jak okazały wypadki wielkiej wojny, bez wdzięczności z tamtej strony, a nawet spotykająca się z zdumiewającą niewdzięcznością, jak od Bułgarów. Czy wogóle czynnik wyznaniowy może odgrywać decydującą rolę w sprawie słowiańskiej?

Znów jesteśmy na takim punkcie, na jakim byliśmy przed chwilą. Czy szersze ma się podporządkować węższemu, chrystjanizm — prawosławiu?

Słowiańskość jest sama z siebie religją; w swoim czasie przyjęła była objawienie Chrystusowe, jak gdyby natura jej oddawna na nie czekała. Z jakichkolwiek bądź rąk wzięła chrystjanizm, czy od Rzymu czy z Konstantynopola, nie patrzyła nań jak na Zakon niezmienny, martwy, ale rozwijała go według własnego ducha. Polska polszczyła ciągle i polszczy nie tylko katolicyzm, ale nawet racjonalistyczny protestantyzm. Rosja ruszczyła bizantyzm o tyle, o ile działały w niej pierwiastki słowiańskie, albowiem zabobonny duch azjatyizmu czuje się bardzo dobrze we współżyciu z bizantyzmem i pielęgnuje go troskliwie. Zarówno w słowiańskiej Polsce jak i słowiańskiej Rosji głębsze uczucie religijne walczy: tam z klerykalizmem, tu z popizmem, wszak to to samo.

Słowiańskość jest tym gruntem, na którym katolicyzm polski i prawosławie rosyjskie, jako tradycyjne wyrazy indywidualności narodowej mogą żyć obok siebie we wzajemnej tolerancji. A co więcej, im bardziej będzie się uświadomiło poczucie słowiańskie, tym ta tolerancja stanie się zupełniejsza i naturalniejsza — w końcu nie będzie to sprawa do załatwienia, ale fakt spełniony, o którym się już nie mówi.

Jakiż *powinien* być stosunek Rosji do Polski teraz, po chwili przełomowej, gdy wszystkie wartości polityczne Europy ulegają przeszacowaniu, gdy powstaje nowa równowaga sił, a Rosja wewnętrznie do pracy cywilizacyjnej przystąpić musi?

Posiadając na swym obszernym wschodzie miliony niesłowian z prawem obywatelstwa, nie ma innej drogi, jak asymilację ich przez przewagę duchową. Tę przewagę czerpać może jedynie z pierwiastku słowiańskiego,

który historycznie wykazał był już swoją wartość stworzeniem państwa. Musi więc ten pierwiastek wszelkim sposobem wzmacniać. I tam, na terytorjach Wschodu, zruszczenie przez słowiańskość może liczyć na powodzenie — będzie cywilizacyjnym postępem.

Natomiast Rosja musi zlikwidować swoje działanie wsteczne na słowiańskie ziemie zachodnie, jako czynność wyraźnie samobójczą, iż godzi w rasę słowiańską czystsza na zbiornik siły i odnowy na przyszłe wieki. Przytem nie żałować swoich potężnych sił materialnych na obronę tych ziem względnie małych obszarem, ale silnych duchem, od stu milionów n emców. Nie są to narody „pomalone“, iż mniej wazą cielesnie, lecz narody skoncentrowane, z emanacją idei, idei, których pierwotnie nastrojowa Rosja, na progu formowania swej świadomości narodowej, jeszcze nie posiada.

Zapewne — pierwiastek azjatycki w Rosji obawia się Polaków i radby toczył z nimi walkę tak, jak toczy ją z słowiańskością samej Rosji. Marzeniem jego jest oddanie Polski i Czech Niemcom, aby się w domu zagospodarować na dobre. Widzi w nich jeden z głównych słupów słowiańszczyzny — i słusznie. Jednakże gdyby ten pierwiastek zwyciężył, Rosja musiałaby się rozpaść, albowiem nie miałyby dość siły duchowej, niezbędnej dla siebie do porządkowania swojego chaosu ludów.

Natomiast pierwiastek słowiański Rosji mimo to, że dopiero wstępuje w świadomość czynną z dziedziny instynktu, posiada już dość ambicji narodowej i wiary w własną twórczość, aby potrzebował obawiać się przewagi Polaków. Myślę, że tego rodzaju *przechytrzone* przewidywania, utrzymane całkiem w charakterze dobitnego wyrażenia: „krepok zadnim umom“, są dla prawdziwego (w znaczeniu prawdziwego) Rosjanina ubliżające.

Jakże się patrzą dzisiejsi polacy na „przyjaciół mo skali“ jak mawiał Mickiewicz? Jedni z nienawiścią, inni z niesmakiem, a wszyscy z żalem. Tyle energii zmarnowanej! tyle uczuć złych nasyconych i przesyconych! tyle upiorów błądzących od Wisły do Sybiru! Któż może zabić skrzydlate duchy pamięci?

O! w tej dziedzinie tylko równy walczy z równym. Jedynie duch może pokonać ducha. Idea przylatuje do idei a dziwny ich bój, — niezgłębionem prawem, po walce łączą się z sobą w nowe, w coś potężniejszego.

Idea polska pokazuje mi panoramę dziejów z nierozwikłanym splotem przyczyn i skutków, który rozwikłać można tylko cięciem: działanie jest ziarnem, na glebie ludzkiej nigdy nie przepadającym. A któż może zamordować to, co jest niezniszczalne?

I pokazuje mi niedolę ludu rosyjskiego, walczącego nie z cudzem, ale z tem, co jest niby *Jego*.

Co zaś największe i najświetniejsze — ukazuje mi legjony młodych pokoleń polskich. Widzę je, jak uśmiechnięci niosą kwiaty na groby ojców. Czy mam im wdziawać kir żałobny, śmiertelną koszulę nienawiści im, którzy patrzą w słońce? A gdyby mnie zapytali: „czy nieśmiertelność należy wyłącznie do umarłych?“ Więc muszę im powiedzieć: „nie nienawidźcie, poznawajcie ciągle i twórcie zawsze“.

Czyż mamy spadać niżej, gdy możemy być wyżej? Zwycięzcą ostatecznym jest zawsze kultura.

---

Wszelkie wywody na podstawie „rasy“ nie znajdują uznania i to *a priori* ze strony neohumanistów XIX stulecia.

W porównaniu do wielkich umyśłów XV, XVI i XVII stuleci są to po prostu sofiści, choć często doskonali uczeni w swej gałęzi nauki, co bynajmniej nie wpływa dodatnio na światłość ich umysłu. Aby zaprawić współczesnych poczuciem ludzkości — racjonalnie, co jest kwadraturą koła, pozwalają sobie negować najwyraźniejsze fakty rzeczywistości, pomiędzy innymi, działanie psychiczne rasy, która jest *bête noire* ich doktrynalnego wstrętu. Dzięki fałszowi, utwierdzonemu przez najwyższe powagi rządzące neoscholastyki naukowej, ta ludzkość, o którą tak bardzo neohumanistom chodziło, została wyprowadzona w pole, uśpiona, a teraz przerażona, przypatruje się krwawym hekatombom wojny tak strasznej, o jakiej ani się śniło zracjonalizowanemu światu. Może nigdy fałsz nie przybrał poważniejszej profesorskiej togi. I nigdy nie wydał okropniejszych skutków.

Najwstrętniejszy wszakże jest szantaż ideowy, jakiego dopuścili się „kapłani nauki“, narażając ostatnią, oczywiście, ze strony bezmyślnych, na zarzuty bankructwa. Oto pogląd, że rasa jest indywidualnością psychiczną, ośmiesza się jako „zoologiczny“. Kolporterami — publicystami tego szantażu chętnie bywają żydzi, tak bardzo lubujący się w „międzynarodowej“ robocie *ad usum* narodu wybranego. Myślmy tutaj o reklamowanej przez „najwyższe powagi naukowe“ propagandzie p. Finot dwóch nazwisk bo i Finkelhausa, redaktora „*Mercure de France*“, o książkach jego po t. „Przesąd ras“ i „*Agonja ras*“. Dla pana F. wyżeł i jamnik to jedno, a ze swego punktu widzenia ma słuszość: i to i to jest pies — i ten i ten może ugryźć.

Czystą zoologją jest wielka wojna, a przecież przygotowali ją humaniści „psychologowie“ XIX stulecia.

Tę wstawkę uważałem za niezbędną ze względu na „psychologów“ polskiego autoramentu, którzy również



ciągle szermują „zoologją“. Tradycyjnie naśladową Zachód — paw papuga... no i gęś, tylko z większym wrzaskiem — ornitologicznie. Chodzi tu przecież o cel bardzo realny i handlowy, o narzucenie poglądu, że polak i żyd to jedno i to samo, a zatem, że żyd w Polsce może panować jak Piast. Jest to czarna magja w birecie naukowym.

Nikt nie zaprzeczy, że w oddalonej przyszłości, w razie masowego krzyżowania się krwi polskiej z żydowską, mógłby powstać nowy naród a wtedy *piastowość* stałaby się przesądem i agonją. Lecz właśnie w okresie utrwalania się tej nowej rasy, okresie, który nie mógłby być krótkim, narody już rasowo utrwalone, jak Niemcy i chociażby czyste ghetto żydowskie, któremu ani śni się krzyżowanie, z łatwością wynarodowiłyby tego mieszańca *in statu nascendi*, mało odpornego, jak każda psychika nieutrwalona. Tu leży jądro sprawy. Że oderwana idea internacjonalistyczna ku temu dąży, aż nadto zrozumiała, ale żaden lud narodowy, ani Francuzi, ani Angliki, ani Niemcy, ani Włosi, ani sami Żydzi nie biorą jej na serio. Czepiają się jej ludzie — rozbitki na arenie wszechświatowej, zracjonalizowana kategoria „*bête humaine*“, sama pozbawiona entuzjazmu, więc nie rozumiejąca go u innych

---

## NIEMCY.

Fakty, aż nadto wymowne, zmuszają do patrzenia na Niemców współczesnych, jako na fanatyków nacjonalizmu. Każdy nacjonalizm w warunkach sprzyjających, może stać się fanatyzmem, który możnaby porównać z gorączką w ciele.

Wiemy, że wielkie maligny dodają choremu sił nadzwyczajnych: zrywa się z łóżka, wyskakuje oknem, leciałby w przestrzeń i nieraz bardzo trudno go skrępować. Fanatyzm zawsze jest wojujący.

Tak dawniej wojował Kościół chrześcijański, zbrojny w władzę świecką. Miljony ludzi ginęły w wojnach religijnych, a te rzezie wykonywał fanatyzm. Żadne wojny państwowe nie były ani tak długo trwałe, ani tak natężone, ani tak bezwzględne. Kościół wojujący jest dzisiaj przeszłością historyczną, a jeżeli teraz jeszcze stara tradycja, tu i owdzie, w ustrojach despotycznych mu się przypomina, to stawia swe kroki z zachowaniem wszelkich ostrożności, a drogi krwi się obawia. Dzisiaj przeciwko fanatyzmowi religijnemu występuje samo uczucie religijne chrześcijańskie, bogatsze, głębsze, niżeli dawniej, a w uświadomieniu swoim konsekwentne: nie można w imieniu miłości zabijać. Takiego fałszu dusza współczesna na ogół nie znosi, jest on za wyraźny.

Ale fanatyzm, jako wyraz dzikich popędów duszy, ugłaskiwanych i pogramianych, lecz wieczne żywych i gotowych do skoku, straciwszy terytorjum religijne, poszukał sobie innego. Znalazł podłoże nacjonalne. Pochód dziejów podał je mu w ręce. Plemiona z wielkiej wędrówki narodów, skrzyżowawszy się pomiędzy sobą i z resztkami imperjum starorzymskiego, przez wspólnotę życia cywilizowanego w ciągu wielu stuleci, wydały zbiorowości połączone jedną psychiką — narody. Narody są to nowe, wytworzone w okresie cywilizacji chrześcijańskiej rasy, rasy o potężnych zasobach materialnych i młodzieńcem rozbujaniu ducha. Zjawia się ambicja zbiorowa i nowy Bóg — bez nagrody i kary, bez piekła i bez nieba, — honor narodowy.

Powstaje nowy stosunek, czy nowa walka, czy nowy sojusz dwóch potęg twórczych: uczucia narodowego i uczu-

cia ludzkiego, chrześcijańskiego. Jakież pole do wystąpienia instynktów dzikich do objawienia się bestji, „*bestia triomfante*“ *Giordana Bruna*! Z pewnością fanatyzm nie omieszka ze sposobności skorzystać. Do wystąpienia wszakże potrzebuje jednoczącego wodza, wskazującego cel, potrzebna mu — idea.

Tę ideę znajdują Niemcy. Świat europejski dotąd nie słyszał o panfrankizmie, o panbrytanizmie — po raz pierwszy usłyszał i zobaczył pangermanizm. Dlaczego właśnie u Niemców? Widocznie charakter i umysł niemiecki szczególnie się do niej nadawał. Nie idziemy dalej w głąb przyczyn, bo ich z dostateczną dowodnością nie ogarniemy, a możemy się tylko zaplatać. Ten fakt niemiecki z wyrazistością aż nadto jaskrawą, stwierdza potęgę psychiki rasowej. W epoce, gdy ludzkości europejskiej sztucznie, niemal gwałtem, szczepiono doktryny internacjonalizmu, pacyfizmu i antymilitaryzmu, a ojczyznę tych teoretycznych narzucań były te same Niemcy z ich ogromnem promieniowaniem na cały świat, w tej epoce wszystkie te szczepionki wywołały straszliwy paroksyzm gorączki. Oto wola rasowa bez żadnego wysiłku odpędziła te wszystkie teorie i buchnęła na zewnątrz pożarem narodowego fanatyzmu. W Europie nowoczesnej pierwsze Niemcy wywołały wojnę zaborczą narodową — to można uważać za jeden z największych zwrotów dziejowych, tłumaczących rozmiary wojennej pożogi.

Umysł i charakter? Posłuchajmy najbystrzejszego może z Niemców, jaki się dotychczas urodził, co sam mówi o rodakach.

„Czegoż nie da wmówić w siebie pocziwy Niemiec“ pisał lat temu z górą pięćdziesiąt Artur Schopenhauer, jeszcze przed Sadową i Sedanem, ale wtedy, gdy Bismark już poczynął zać łąny uprawione, i zasiane przez dziesięć

stuleci cywilizacji rzymsko-niemieckiej. W tych paru słowach mieści się wiele.

Niemiec nie może żyć bez myślenia i bez idei przewodniej. Jest to wielka zaleta jego umysłowości, tłumacząca nam jego wysoką zdolność organizacji mechanicznej, jego poczucia ładu i systematyki. Natomiast posiada słabą intuicję, to jest słabe poczucie rzeczywistości. Idee, niesprawdzone, niestrzeżone, nieożywione, przez intuicję, która jest „des Lebens goldener Baum“ wiodą niechybnie ku utopji. A utopja topi. Niemiec jest to wyborny, gotowy do fanatyzmu człowiek, który da w siebie wmówić wszystko, bo nie ma w samym sobie sprawdzianu intuicyjnego. Mówiąc nawiasem, cała sztuka niemiecka jest raczej *przemysłana* niż wyczuta, a stąd jej ciężkość i niezdarność nawet w arcydziełach.

Ten człowiek, „który da w siebie wmówić wszystko“ jest przytem „pocziwy“. „Treu“ oto wyraz, wierny idei, która go pochwyliła. Słynna rzetelność niemieckiego bürgera i nie tylko z epoki Goethego i Schillera, lecz starzej, głębiej, nie jest mitem ale rzeczywistością; to i dzisiaj jest cechą charakteru narodowego. Nie wychodzi mi z pamięci scena sienkiewiczowskiej trylogji, gdzie zaciężna piechota niemiecka na służbie Rzeczypospolitej Polskiej pozostała wierna *żołdowi* i biła się na śmierć. A z epizodów wojennych opowiadają o przykutych dobrowolnie do armat żołnierzach i oficerach niemieckich. Bo człowiek wierny jest dobrym materiałem na fanatyka. Staruszka, która tak pocziwie dorzucała polan do stosu Husa, z pewnością była Niemką.

Gdyby naród z takimi przymiotami umysłu i charakteru posiadał intuicyjność francuza lub polaka, byłby po za współzawodnictwem; i bez wysiłków militarnych przewodniczyłby ludzkości prawem wyższości duchowej. Niestety brak intuicji niedozwala Niemcowi na tworzenie

idei trwałych z cechą podbijającej powszechności, idei zdolnych do długiego rozwoju. Żaden kraj na świecie nie wydał tylu teoryj, doktryn, systemów filozoficznych, książek i bibliotek, ile Niemcy, ale są to niemal wyłącznie wytwory myśli mechanicznej, nie intuicyjnej. Wszystkie idee szersze, podstawowe, kierownicze przychodziły do Niemiec od zewnątrz, a tu ulegały najtroskliwszej systematyzacji i przerabianiu. Hellada, Stary Rzym, Włochy, Anglija i Francja — oto dostarczyliście idei dla Niemców. Poza tem praca cywilizacyjna Niemców od dziesiątego wieku była ogromna, osiągnęła wszystko, co mogła być osiągnąć myśl mechaniczna. Tradycja tej pracy była w poszanowaniu u wszystkich narodów Europy: praca kolarza, rzemieślnika, kupca, kulturtraegera.

I były to „die schönen alten Zeiten“ niemieckiego bürgera, gdy miał on jeszcze na twarzy dobroduszny uśmiech czystego sumienia, bez pretensji do nadawania światu praw.

Wreszcie w stuleciu XIX Niemcy wydali na świat pierwszą swoją ideę powszechną — pangermanizm, ściślej panteutonizm. Wprawdzie nie jest ona pochodzenia czysto niemieckiego, jest pruska, ale przecież niepodobna dzisiaj uważać Prusaków nie za Niemców.

Niemniej Prusacy wnieśli do Niemiec pierwiastek nowy. Inicjatorami i autorami panteutonizmu są Junkrowie Pruscy, a przecież są to niezaprzeczenie mieszkańcy niemiecko-słowiańscy. Widoczne już stadjum rodzącego się panteutonizmu rozpoczynają Fryderyk II jego ojciec, posługujący się duchem junkierskim. Kroki są względnie nieśmiałe, bo słabe; stają się stanowcze za Bismarka, jako wzorowego wyraziciela junkierstwa. Wolno podejrzewać w ideowym rozbujaniu się, cechującym współczesny panteutonizm — intuicję słowiańską w nieszczęśliwym małżeństwie z umysłowością niemiecką. Idea posiada szero-

kość, niespotykaną nigdy u rdzennych Niemców tych, którzy tworzyli byli cywilizację Szwabii, Frankonii, Turyngii i Żupran. Niemcy ze swej przedsiębiorczej natury byli zawsze zaborcami, o czym świadczy ich *Drang nach Osten*, ale zaborczość ich polegała na praktycznym, materialnym kulturtraegeryzmie, nie na sprężynie ideowej. Być może, że hegemonja ducha pruskiego jest zjawiskiem przejściowym, jak przejściową była rola macedończyków w Helladzie, bo przecież stara, rdzenna niemieckość posiada ogromną naturalną przewagę, ale tymczasem, przelotnie duch pruski rządzi jak chce.

„Niemcowi można wszystko wmówić“, więc koncepcje potworne, fantazje utopijne, jest on, mówiąc zoologicznie wszystkożerny. Bowiem czyż może być potworniejsza utopja, nizeli nacjonalizm w swej postaci pruskiej, a chwilowo, jak mniemam, i wszechniemieckiej? Jest to utopja zła, destrukcyjna i całkiem niedorzeczna.

Jest zła i rozkładowa, albowiem usiłuje zniszczyć *uczucie* ludzkie, główne źródło kultury nowoczesnej, uczucie, bez którego cała dwóchtysiącletnia cywilizacja byłaby pozbawiona i sensu i celu. Po prostu czyn samobójczy warjata. A może to samobójstwo jest koniecznością dla nadczłowieka, który stanął po za „świadomością dobrego i złego?“ Może koniecznością jest dla nowych kształtów przemiany? Czy nie proroczą słuszość ma Goethe, w słowach Mefista: „jam tej siły cząstka mała, co pragnąc złego, zawsze dobre zdziała“? Mówię — proroczko — czyż dobrem ma tu być samozniszczenie złego? O! „przychodzą mi myśli czarnokrucze“ targa się Nietzsche.

I pangermanizm, w swej postaci pruskiej, jest utopją, niosącą w sobie nieurzeczywistnialność i niedorzeczność... Z samego mechanicznego punktu widzenia. Efekt jest iloczynem masy i szybkości. Jakkolwiek wielką jest szybkość, to jest energja Niemców, masa ich poniżej stu mil-

jonów jest małą w porównaniu z masą innych narodów cywilizowanych, które zapragnęli podbić. Trzebaby tu podbić wolę francuską, wolę angielską, włoską i t. d., które również posiadają wielką rozciągłość. Kto tu wymierzy możliwości? A masa pozostaje masą.

Panteutonizm wpatrzył się w oślepiającą lampę dziejową Cezarów rzymskich i gdyby był dzieckiem wolnej intuicji odwróciłby od niej oczy, aby nie oślepnąć. Ale on pędem doktryny leci do niej fanatycznie, jak żywy s'up komarów w ciemną noc ducha. Czem się zakończyła iluminacja panromanizmu? Wędrowką dzikich narodów i zwaleniem wszystkich kolumn zwycięstwa. Wprawdzie dzisiaj oblicze świata jest inne, niestare, zwietrzałe i pomarszczone, a młode i rzeźkie — tem prędzej wezsie truciznę, zniszczy ją dopływem obfitych soków.

Cezar i proletarjat! Może nie prostem pożyczaniem wyrazu jest pojawienie się w stuleciu XIX wyrazu „proletarjat“. Być może, że to poczucie schamienia duszy, zrozumiane przez Nietschego, ale nieodpędzalne przez jego filozofję, gdyż upiór staje przy nim, magnetyzuje własne jego serce. Ponura jest tragedia tego syna Walhalli, szamocącego się bezwładnie w szponach idei panteutońskiej — do szaleństwa. I ponura jest ta postać idei pracy, idei „światła pr ez pracę“, przybierająca się dobrowolnie w szaty „proletarjatu“. Gdyby na urągowisko, na szyderstwo, na zawstydzienie sofistykacyj i fałszów „burżuazyjnych“ świadczyłoby to o polocie ducha! Ale to nie szyderstwo, to tendencja do schamienia, gdyż wszystkie postawy takiej idei pracy są wzięte z materji umysłowej tej samej burżuazji. Jeżeli człowiek pracy nie znajduje nic ubliżającego w nazywaniu samego siebie na serjo proletarjuszem, a przeciwnie upaja się rozkoszą niewolnika lub męczennika, co w tem zjawisku psychicznem jest blizkie, — to doprawdy jest proletarjuszem na prawdę i żadne wę-

drówki na *mons sacer* nie pomogą. Pójdzie na kolana — przed Cezara.

U narodów, posiadających dość intuicji, aby wytwarzały idee naturalne i zdrowe, idea pracy nie poddaje się państwu. Francuskie i angielskie związki, syndykalizm i tradunjonizm uważają się za współrzędne państwu, nie za podrzędne lub nadrzędne. I to jest powód wewnętrznej równowagi, zapewniający tym narodom ogromną zdolność przystosowywania się do wypadków dziejowych. Tu nacjonalizm ukrywa się w najlepszej części duszy, nie jest na pokaz, jak głębokie uczucie wstydzące się rozpowiadać głośno o sobie. Jest jak gdyby religią, pozbawioną władzy świeckiej — nie wojującą, ale zawsze tryumfującą. Uczucie, jak mówią, sprawia cuda, to jest fakty, których naprzód obliczyć niepodobna; czyni cuda i taki dobry, szlachetny, życiorodny nacjonalizm.

Wiemy z dziejów, że fanatyzm religijny, o ile wolno mu było swawolić, zaprzęgał wszystko do swej służby. Wszelkie czynniki cywilizacji i myśl, przedewszystkiem myśl. Na pewien czas zwykle mu się to udawało. Więc i fanatyzm panteutoński uderzył na myśl. Trzeba „wmo-  
wić”. *In Reihe und Glied* muszą wszyscy jednakowo *rationalnie* myśleć. Jeżeli francuzi proklamowali równość ludzi, dlaczegożby teorytycznie nie iść dalej i nie ogłosić równości myśli? Zrównanie nacjonalistyczne myśli jest niewątpliwie wynalazkiem panteutonizmu, zasługującym na przywilej patentu.

Tak wygląda interpretacja niemiecka idei francuskiej: „liberté, égalité, fraternité”.

W stuleciu XVIII jeszcze kilka dziesiątków lat później, mniej więcej do śmierci Goethego która nastąpiła w roku 1832. Niemcy rozwijały się pod osłoną idei francuzkich, przyczem już wtedy Prusy w osobie Fryderyka II wybrały szczególną część ducha Francji — wolterjańską), która bez części twórczej Rousseau'a jest fragmentem destrukcyjnym.



Ta zawisłość była najwidoczniej bardzo pomyślna, skoro pod jej protektoratem życie duchowe niemieckie nabrało wysokiego polotu, stwarzając swoją „wiosnę“, najhlubniejszą kartę swej historii, kartę upadków i tem piękniejszych wzniesień, słowem Sturm und Drang. Wtedy bürger niemiecki rozumiał żołnierza legionistę polskiego i zdawało się, że powaga jego umysłu i wierność charakteru pozostaną idei wolności *wierne*. Stało się inaczej.

Idea pruska pangermanizmu, nie jako związku Niemców, ale jako Imperjum niemieckiego „Weltstaat“, wytrąciła ducha niemieckiego z równowagi, upoiła go utopią, zbudziła fanatyzm i cały naród wprowadziła na drogę karkołomną.

Tu — wyjaśnienie.

Sam wyraz pangermanizm jest uzurpacją etnicznie nie uzasadnioną. Danja, Norwegja, Szwecja są bardziej germańskie niż Niemcy, jednakże do koła fanatycznego nie weszły. Mówiąc ściśle, mamy tutaj do czynienia z pruską propagandą panteutonizmu.

Jest bardzo godne uwagi, że niezwłocznie po śmierci Goethego, który geniuszem swoim utrzymywał w równowadze ducha niemieckiego, Ludwik Boerne, żyd z właściwą tej rasie niedyskretną ekspansją, radośnie napisał: umarł Goethe, nakoniec Niemcy mogą być wolnomyślnie. Dzisiaj już, pod ciężarem wypadków, ludzie zaczynają rozumieć, że owa „wolnomyślność“ to pięść, owinięta już nie w majestat z Bożej łaski, ale w papier z frazesem. Zwracam uwagę na prawdziwy szacunek i sympatję, jaką odczuwa umysłowość żydowska do pruskiej idei panteutonizmu, jako do kultu siły materialnej. I mimo bezwzględność z jaką Niemcy tępią ghetto żydowskie, prawda, że za jego brud fizyczny, nie za moralny.

Więc w okresie rzeczonym Niemcy zaczęły się uwalniać od idei „nieswoich“, a prusacyzm zaczął rozlewać się.

Jak powiedzieliśmy uderzył naprzód na myśl niemiecką, na szkołę i wykształcenie. Za nim zastępy z fanatyzowanych Teutonów (bez Cymbrów) z dziećmi kobietami i psami, tym razem w nowoczesnym Reihe und Glied rzuciły się do podboju. Rozpoczął akcję filozof — profesor uniwersytetu i nauczyciel ludowy. Pierwszy jako oficer sztabu umysłowego, drugi jako szeregowiec. Już niespełna w 30 lat po śmierci Goethego, Schopenhauer ostrem i plastycznym piórem pisał:

„Co się stanie z młodzieżą niemiecką, kształconą przez tych szarlatanów (profesorów uniwersytetu), wysługujących się ministerjum, nie prawdzie, lękam się pomyśleć. Z tego jaja bazylijskowego wylęgną się potwory“...

Słowa wielkiego humanisty mają ten sens, że dostrzegł on pod maską sofistyki Hegla, Fichtego i całej plejady ówczesnych, jak nazywa, płaskich szarlatanów, przystosowanie do materjalistycznego bestjalizmu. W samej rzeczy umysł niemiecki, wyemancypowawszy się z wpływów humanistyki europejskiej i samodzielnie iść próbując, na drodze samodzielności utrzymać się nie mógł i szybko oddał swoją niepodległość panteutonizmowi, to jest ministerjum pruskiemu. Już w drugiej połowie 19 stulecia filozofja, historia, w ogóle cała humanistyka niemiecka wyraźnie i bez osłonek pra uje dla panteutonizmu. Biblioteki, uniwersytety, szkoły, nauka i publicystyka stają się departamentem państwowej policji umysłowej. A zważywszy na umysłowość, charakter i pracowitość niemiecką jak to wszystko mogło być dobrze wykonane, z zegarkiem i łokciem w dłoni.

W takich to Niemczech rodzi się dla ludzkości obietnica zrobienia w laboratorium „homunculusa“. Haeckel ze ścisłych badań Karola Darwina wyciąga iście niemiecką konsekwencję — pochodzenia człowieka od małpy. Bismark krzyczy, waląc pięścią: „siła przed prawem“. Wreszcie jak

filozoficzny słup zwycięstwa, jako „Siegessäule“ powstaje Nadczłowiek, będący po za granicą dobrego i złego.

Jaje bazyliżkowe się wylęgło.

To morze panteutońskie neoobskurantyzmu droga wysilonego kolportarzu idzie na cały świat, narzuca się, wmawia, oszłamia. Niemiec staje się wszechobecny jak Bóg i wymaga dla siebie czci boskiej. Karze i mści się jak Jehowa. Nikt go nie kocha, ani on sam siebie, ale wszyscy go się obawiają.

Z tej drogi już sam nie może się cofnąć.

Aż zwiążą szaleńcowi ręce i nogi i położą go do wygodnego bürgerowskiego łóżka z ogromną pierzyną, skąd wylazł wcale niepotrzebnie. Poddadzą go kuracji światła. Ne sutor ultra crepidam.

---

Polska miała zawsze szacunek dla porządkowej pracy niemieckiej. Pamięta, że drewnianą i polną Polskę oni nauczyli rzemiosła żelaznego i murowania, czego świadectwem jest język nasz posługujący się do dziś dnia niemal bez wyjątku spolszczonymi wyrazami niemieckimi dla narzędzi żelaznych. Sądzę, że nauczyciele sami wzięli zapłatę aż nadto hojną, a wdzięczność za to jest wyrazem jaśni charakteru polskiego, pragnącego widzieć dobre nawet tam, gdzie jest tylko użyteczne.

Co innego wszakże sumienne przyznanie starszeństwa cywilizacyjnego Niemców w tym kierunku, a co innego poczucie niezbędności Niemców do zaprowadzenia w Polsce ładu. Ileż razy słyszałem Polaków powtarzających za panią matką... to jest za Niemcami... pacierz: „polnische Wirtschaft“ z tem głębokiem, utajonem osłabieniem ambicji, jaka cechuje tradycję upadku i tradycję rozbioru. Gdy

wpatruję się w działalność porządkową Staszycza lub Lubeckiego, nie widzę w niej opierania się na tej „arrièrè — pensée“, ale samodzielne karczowanie drogi.

System i organizacja są to elementarne fakty każdej rozwijającej się cywilizacji i muszą zjawić się tam, gdzie się zjawi idea porządku duchowego, świadomość narodowa. System i organizacja są inne u francuzów, inne u Niemców, inne u Anglików, inne być muszą u Polaków, o ile ten wyraz nie ma być jedynie historycznym lamentem, lub nie dającą się pochwycić przez zmysły mgławicą. Przypisywanie zdolności ładu i systematyzacji specjalnej psychice rasowo narodowej jest, moim zdaniem, ujęciem fałszywym.

Przed oczyma mojemu dzięki słabiutkiemu, ledwie dostrzegalnemu rozluźnieniu więzów politycznych w Królestwie Polskiem w ciągu lat 9, w warunkach bardzo trudnych, z zadziwiającą szybkością zaczął się rozwijać polski system i porządek pracy. Wzbięła świadomość narodowa w swem czystym źródle, a zatem widzieliśmy pierwsze objawy samodzielnego ładu i karności. Bo nie ład i karność, narzucane gwałtem, tworzą naród, lecz świadomość narodowa porządkuje naród w szeregi składne. Nie krzyczcie, że Polacy nie umieją się rządzić, lecz nie burzcie ich czynów porządkowych podstępnie, nikczemnie i głupio.

Jeżeli panteutonizm w XIX stuleciu zdołał upoić myśl wszechświatową, cóż dziwnego, że wpływał i na nas rozdartych i ubezwładnionych. Wprawdzie lud bezszkolny pozostał po za sferą jego działań, ale z warstw kształconych cała młodzież, była, jeżeli nie bezpośrednio, to pośrednio pod wpływem myśli panteutońskiej. Bo przecież i na uniwersytetach nie niemieckich profesorowie nie Niemcy byli w wielkiej ilości wychowankami panteutonizmu, wtrąconymi nieświadomie i nieodparcie w ducha epoki. Młodzież

polska zewsząd wyносиła kult siły materialnej, przybranej w frazeologję humanistyczną, a gdzież go mogła znaleźć w postaci doskonalszej, jeżeli nie w centrum tej emanacji, w Berlinie. Tu była Mekka współczesnego naukowego obskurantyzmu.

Obskurantyzm duchowy — wyraz bynajmniej nie przesadzony. Ten Sanchedryn uniwersytetów niemieckich, o ileż ciemniejszy od wszechnic średniowiecznych co do swej *woli* naukowej, uważając siebie za tron myśli ludzkiej, nie znalazł przecież wyrazu do potępienia katowania dzieci poznańskich, przeciwnie, jak ongi inkwizycja, usiłował nowoczesne autodafe sofistyką pseudo naukową obronić. „Die minderwertige Nation“ oto wyraz „nauki“ dla objaśnienia faktu niedorzeczności fanatyzmu. I nie podobna przypuścić, aby wieloma z tych naukowych nadludzi powodował tylko zły instynkt. Oni w swoim obskurantyzmie *nie mogli* tego zrozumieć, gdyż im wmówiono co innego.

Przez wpływ nieustanny, w warunkach niemożliwości obrony, ideologia polska ostatnich czasów stała się naśladownictwem niemieckiej.

I u ludzi myślących politycznie, dla których system pruski stał się jakby wzorem państwowości, i u socjalistów wierzących w materialistyczną ewangelję Marksa, i u postępówców humanistów, upatrujących postęp w niszczeniu chrześcijańskiego uczucia regilijnego, jak gdyby humanizm był w treści czemś innym, jak nie uszlachetnieniem i oczyszczeniem tegoż uczucia z pierwiastków bestjalizmu.

Nie mówię o próżniakach ducha, tradycyjnych Zagłobach naszych, pragnących przez „porządki“ pruskie oszczędzić sobie pracy i zaokrąglić fortunę, aby mieć za co nabierać kultury europejskiej w Monte Carlo. Pewna część szlachty polskiej zawsze miała cześć dla prusaków. Może przez dalekie pokrewieństwo. Bo że w Bismarku

było coś z Zagłoby: cynizm pozornie dobroduszny i bezcelność, to wydaje mi się pewne.

Przyszłość znośnego, sąsiedzkiego pożycia Polaków z Niemcami rysuje się nie jasno. Może, po związaniu panteutońskiego szaleńca, Niemiec z kwaśną miną zapali fajkę pokoju — Burgfrieden, ale dom polski będzie musiał zawsze trzymać czujne psy na warcie. Jakże wierzyć rozumowi narodu, który tyle wysiłków pracy ludzkiej, takie bogactwo i potęgę materjalną, zdolny był użyć do celów, tak wyraźnie wstecznych.

---

## FRANCUZI.

Francuzi są w rzędzie narodów nie sąsiadujących z Polską bezpośrednio, a zatem stosunek ich do nas będzie zawsze ograniczony i nie należy nań za wiele liczyć. Jeżeli nasz stosunek do Czech, Rosji i Niemiec musi być codzienny, to z Francją, mimo przyrodzoną wzajemną sympatję obu narodów, będzie on uroczyście niedzielny i nie rozstrzygający o codziennym chlebie powszednim. Można ubolewać, że nie mieszkamy z Francuzami o miedzę, coby nie wątpliwie było z korzyścią obopólną, ale tak jak jest być musi; przedzieleni od siebie górą Niemców, możemy sobie tylko na odległość podawać ręce i możemy to czynić szczerze. Wraz z dłonią, na tych niedzielnych wizytach, podawać sobie myśl i wzmacniać się wzajemnie sakramentem idei.

Dla kultury świata nowoczesnego Francja posiada pierszorządne znaczenie twórcze i można powiedzieć, że jest tej kultury *zdrowiem*. Wyobrazić sobie Europę bez

Francji jest to zgasić wszystkie światła, znaleźć się w mroku z niepewnością trwogi, co będzie. Francja rodzi wszystkie idee socjalne z cechą powszechności, to jest trwałe i zdolne do rozwoju. A czyni to dzięki swej genialnej intuicji życia, z którą intuicja żadnego innego narodu nie może iść w porównanie. Ani ambitny racjonalizm angielski, ani fanatyczna teoretyczność Niemców. „Ça vient de coeur“.

„Coeur“ francuzkie to żywy, gorący puls myśli, czulej na rzeczywistość, ruchliwej i zmiennej, ale utrzymywanej w korbach przez zdrowy rozsądek.

Wszystkie idee francuzkie stoją na gruncie pewnym i, jeżeli przechodzą okres niedojrzałości, to czas zawsze stwierdza ich wartość i realizuje.

Tajemnica ich powodzenia: *praktyczność i wykonalność*.

Skrzyżowanie się takich trzech ras jak Rzymianie, Gallowie i Germani wydało w Francuzach najprzedniejszy naród nowoczesny. Logikę wzięli od Rzymian, żywość intuicji od Celtów, powagę myśli od Germanów — to razem wszechstronność ducha.

Na oczach świata, bez pruderji, bigoterji, bez oglądania się na to, co kto może powiedzieć, odbywała się francuzka walka cywilizacyjna. Europa jak dewotka, wykonywająca kryjomo obrzydliwe praktyki, udawała zgrozę na widok francuzkiego Babilonu, niemniej przyglądała się chciwie lubieżnymi oczyma, naśladując to, co upodobania jej mogły być dostrzedz, co zobaczyć *chciały*. Przypatrywała się rozbującej grze namiętności, wyzywającej rozpuście dworu francuzkiego, bestjalnym wypadkom Rewolucji, walce państwa z Kościołem, kalejdoskopowi przewrotów politycznych, ale widząc tylko fale piętzące się burzą, nie widziała głębokości i porywającej siły rozwojowej nurtu. Któż to jeżeli nie Francja staczała i stacza zasadnicze boje kulturalne i cywilizacyjne? Idei wolności

z ideą despotyzmu, piękna z brzydota, uczucia religijnego z zabobonem, tolerancji z fanatyzmem, kapitalizmu z ideą pracy. I stacza je zawsze praktycznie, realnie, rzecz prosta przedewszystkiem dla siebie, a odblaskiem dla całego europejskiego otoczenia.

Zwycięstwa jej są rzeczywiste i trwałe, gdyż oparte zawsze nie na wiotkiej trzcinie doktryny, lecz na żelaznym fundamencie całej kultury nowoczesnej, na żywej intuicji Mitości. „Charité“ jest najwyższym imperatywem Francji, może jedynym, jaki w głębi uznaje. Powiedzmy, że prywatna sympatja polsko-francuzka płynie z tego źródła, tak jak i pokrewieństwo duchowe romanizmu z słowiańskością.

Duch francuzki zawiera w sobie zadziwiającą elastyczność. Gorący i niespokojny, drżący do przewrotu i zmian, nie wychodzi nigdy z równowagi „po za granice czegoś“, jak to czyni niemiecki. Błędy i klęski goi szybko przyrodzonym swoim balsamem. Akcja z reakcją następują jednocześnie, porządkując się wzajem do marszu naprzód. Gdy urodził się Volter, jako taran do zwalania scholastycznego obskurantyzmu, jednocześnie zjawił się i siewca Rousseau, aby człowiek Voltera nie stał się nadczłowiekiem. We Francji nadczłowiek nie może się urodzić, piosnka wnetby go przybrała w majteczki pierrota.

Zajęta urzeczywistnianiem swych wielkich idei, które wezbrały i burzliwym przyborem podmywały brzegi państwowości, zajęta porządkowaniem wewnętrznem swojego ducha, Francja w stuleciu XIX politycznie osłabła. Dwukrotnie Niemcy weszli do Paryża, a chcieli przyjsć po raz trzeci — tym razem republikańska Francja była już gotowa i dała odpór. Z tą chwilą kończy się hegemonia idei niemieckich, przewaga, oparta wyłącznie na powodzeniu wojennem, gdyż te idee były czystą emanacją militarizmu. Z podcięciem korzenia usycha drzewo.



Francja napoleńska z przed stu laty, pod niektórymi względami również szalona jak szalonemi są Niemcy Wilhelma II, nie była podobną do dzisiejszej. Sto lat wyrąbało wiele lasu i posiało wiele. Las inny. Frazes republikański, czapeczka frygijska człowieka, który się nią bawi, płaszcz rzymski bogini Rozumu zdarły się i — odrzucone na śmietnik gałganów. „Obywatel“ Robespierre bawił się swoim obywatelstwem; dzisiaj każdy Francuz wie, że jest obywatelem i nie pisze tego na bilecie wizytowym. Francja przez sto lat walk i przewrotów wyprzodowała się na rzeczywiste czoło kultury i cywilizacji, a głos jej będzie pełnym rozkazem ducha. Głos ten wejdzie głęboko w wnętrzności Europy, sprawiając to, czego nie mógł być dokończyć sto lat temu, bo był dziecinny i słaby.

Dziecinny i słaby tak, ale nosił w sobie dziejową konieczność, więc prawdę na setki, może tysiące lat. Światłą wybrali drogę, dobrą śmierć i rzeczywiście — dla ojczyzny nasi legjoniści z przed stu lat. Że szli nie z Napoleonem, który był wypadkiem, przejściowym meteorem Francji, ale z systemem słonecznym Francji. Kości ich, złożone w nieznanych grobach całego świata są popiołem, ale popiołem rozżarzającym nasze serca. Dzisiaj dzieci naszego narodu, broniące wolności Francji pod Rheims i Verdun, instynktem wybrały również lepszą część, szczęśliwszą od tamtych, bo bliższe wielkiej reformy europejskiej, która wtedy urzeczywistnić się nie mogła po za granicami Francji.

Idee francuzkie nie zrodziły się wyłącznie dla Polski, aby ją szczególnie „zbawić“, lecz dla wszystkich narodów, posiadających dość aryjskości, aby się w nie wczuć i uznać za swój warunek trwałego istnienia. O tyle są i dla Polski, o ile ta będzie im wierna, co nam tem łatwiej przyjść powinno, że tradycja piastowska jest im blisko pokrewną. W razie germanizacji umysłu polskiego, te idee pójdą prze-

ciwko nam, gdyż nie będziemy Europie, jako naród samodzielnym, potrzebni. Stratują nas, jak masę duchowo bezkształtną.

Dla tego musimy poznać Francję lepiej, nie powierzchownie jak było dotychczas, ale gruntownie. Nie naśladownictwem, ale badawczą intuicją, której nam nie brak. Nasz lud masą nie może mieć styczności z Francją, ale inteligencja, mająca dość czasu do włóczenia się po wszystkich hotelach świata i aż nadto wiele pretensji do kultury europejskiej, może szukać przyjemności „kulturalniej“, niż dotychczas i mniej śmiesznie.

Francja, to nie ten słynny wszechświatowy Paryż z jego życiem kosmopolitycznym a jednocześnie i tak indywidualnym, że nie czuć nigdzie nacisku Państwa, z jego przebogatemi dziełami sztuki i olbrzymim kapitałem kulturalnym — a mniej jeszcze to salon mód, perfumerja, kabaret, lupanar Moulin-Rouge.

Francja, to nie awanturnicza midinetka, czyniąca wyprawę po złote runo do „barbarzyńców“, do Polski lub do Rosji i jako guwernantka ucząca panienki ars amandi, a dojrzałe panie misteryj lesbijskich.

Francja to nie cyniczny burżua, składający oszczędności do kasy, aby, jako rentjer, zamienić się w trawiące *bête humaine*.

Oczy, które tylko to i przede wszystkim to widzą, znajdują, czego same usilnie szukały. Bo Francja na prawdę to wesoła słoneczna praca, organizowaną logiką rzeczywistej potrzeby materialnej, a nie dalej, uniesieniem doktryny. Praca, szanująca entuzjazm i uczucie, jako warunki zdrowia publicznego. Praca oparta na prawdach „żywych“, jak mówił Mickiewicz, nie na wymyśleniach mózgu. Nie jest ona tam ani ciężarem, ani obowiązkiem, lecz instynktem i dzięki temu ma skrzydła, jest

lekka. Francuz pracuje z piosnką w duszy, a wbijając choćby gwóźdź w ścianę, czyni to pełnią swej istoty.

Żadnego narodu, z wyjątkiem polskiego, nie spotwarzano z takim plotkarskim impetem, jak Francuzów. Cisnęli się do nich wszyscy, a każdy wynosił coś na języku. Jednakże musieli naśladować. Peruki, żaboty, ukłony, ceremonie, mody, parler francais nawet z pretensją grasejowania, nawet, mimo nacjonalną różność żołądków, kuchnię francuzką, co jest na prawdę mądre, gdyż jest gastronomicznie najlogiczniejsza. Polscy frank — wojażerzy próbowali nawet sprowadzić z Francji taką specjalność jak blagę, ale bez powodzenia wobec krytycyzmu umysłowości naszej; wnet spostrzeżono, że polak, usiłujący blagować, co dla francuza jest po prostu gimnastyką artystyczną, — po prostu *lże*.

A gdy spojrzymy, porównawczo w Europie, na podstawę zdrowia narodowego, na rodzinę i jej stosunki wewnętrzne, poznamy ze zdumieniem, że w żadnym kraju ciepło uczucia macierzyńskiego, wogóle rodzinnego, najsubtelniejsze kwiaty „charité“ nie żyją w takiej obfitości, jak we Francji. Czytaliśmy i słyszeliśmy o nietolerancyjnej walce rządu republikańskiego już nie tylko z klerykalizmem, ale z Kościołem; stąd ludzie rozumiejący wartość uczucia wogóle, snuli lekkomyślny wniosek, że materjalizm zabił serce francuzkie. Kobieta francuzka, może jak żadna inna, walczy z zapalczywością o swoje prawo matki i kochanki w małżeństwie, lecz jej zdolność miłości seksualnej nie tylko nie osłabia uczucia macierzyńskiego, a wzmacnia je. Miłosna kochanka bywa najlepszą matką i siostrą i córką. Najważniejsza jest sama zdolność miłości, bo gdy jej niema, wchodzi w swe prawa *obliczanie* uczucia, co jest upadkiem rodziny.

Nie mniej do żadnego kraju obcego, ani nawet do Francji, Polska nie powinna wysyłać dzieci swoich na wy-

chowanie i wyształcenie, na nabycie „gruntownej“ zachodniej kultury. Żadna umysłowość polska nie znieśie wysokiej temperatury kultury francuskiej, bez wynarodowienia się. Im młodzież inteligentniejsza i wrażliwsza, tem prędzej musi uleść zfrancuzieniu. Polak wychowany w takiej cieplarni, jaką jest dlań otoczenie francuskie, może będzie chciał, ale nie będzie umiał pracować u siebie w domu, w swoich warunkach. Z chaty do pałacu wejść łatwo, ale z pałacu do chaty zejść trudno. Nabyło się tam marzeń, które już nie odlecą.

Wielu Polaków widziałem we Francji, a wszystkim tym, którzy tam dłużej przebywali, ojczyzna polska, jak mówi Słowacki, „opalizowała“. Nieraz mają żywą chęć powrotu i reformowania ojczyzny, ale chęć rozbija się o nieumiejętność pracowania z rodakami, w otoczeniu polskiem, *metodą* narodową. Posiadają wysoką pretensję do przewodniczenia, a nie nauczyli się słuchać narodu.

Nie mówię o próżniakach, których Paryż bezwzględnie i bezlitośnie młynkuje jak plewy. Ci kompromitują ojczyznę, której się już na pół wyrzekli, chociaż się na jej tradycje powołują, — anarchizmem ducha i żebractwem.

Polak, usamodzielniony wychowaniem narodowem, drzewo, nie potrzebujące już palka, zawsze znajdzie we Francji myślącej i pracującej wzmocnienie własnego ducha, a to prawem rasowej i historycznej sympatji. Znajdzie tam i pomoc polityczną w granicach możliwości, które powinien zdrowym rozsądkiem zmierzyć. Pomiedzy interesem narodowym Francji a Polski nie ma żadnych sprzeczności, ani nie może być na przyszłość. Droga do działania czynnego otwarta, ma tę dobrą cechę, że może być szczerą.

---

## W Ł O S I .

Często daje się zauważyć, nie powiem lekceważenie, ale niedocenywanie Włochów. Jeden z motywów ma być, że zawsze bywali przez Austryjaków bici, a pogląd ten pochodzi najwidoczniej z filozofji panteutońskiej; drugi — że nie są na serjo i zdolni nadewszystko do śpiewu, co już trąci sądem operetkowym.

Zjednoczone od niedawna prowincje Włoch rzeczywiście posiadają cywilizację bardzo nierówną, na przykład lud neapolitański, tak szczególnie przez tyle wieków demoralizowany, półdziki lud kalabryjski, znacznie ustępują Włochom środkowym i północnym. Ale kto poznał przy pracy lud lombardzi lub toskański i współczesne owoce jego wysiłków, jego zalety charakteru i umysłu, pojętność, zdrowie moralne, prostotę, ten widzi dlań jasną przyszłość. Można powiedzieć bez przesady, że jeżeli chodzi o poziom uczucia kulturalnego, to ten lud jest najpierwszy w Europie, lud, którego dorożkarze dla własnej przyjemności deklamują i wstuchują się w tercyńy Dantego. Jeżeli zaś kto uważa wysokie cis z gardła za obniżające naród, to można przeciw temu przeciwstawić równie wysokie cis kamieniarza włoskiego, pracującego na obczyźnie z żelazną wytrzymałością, trzeźwego i oszczędnego, przywiązanego namiętnie do skał swojej ojczyzny.

W oczach turysty zwiedzającego we Włoszech za-  
bytki cywilizacji antycznej, nowoczesna praca narodu włoskiego, tak młoda i świeża, wydaje się karłą wobec ogromnej przeszłości. Oddaje się cześć i podziw pokoleniom umarłym, z krzywdą dla żywych. Jest to zrozumiałe z tego punktu patrzenia. Gdy się wejdzie na Palatyn, maleje nawet Watykan, a cóż dopiero Kwirynał. Ale Włosi nowo-

cześni bynajmniej w taki sposób na siebie nie patrzą. Ani im na myśl nie przyjdzie, aby umarli grzebali żywych. Sami chcą żyć i tworzyć; tem lepiej, że mają wielką przeszłość, jako ziarno duchowe. Tem większą i naturalniejszą może być ich żywa ambicja.

A posiada ambicję i wysoką ten naród młody, dopiero świadomie z pieluch dziejowych wyszły. Może żaden naród na świecie, przy tworzeniu się, nie miał do spojenia i doprowadzenia do ładu takiego chaosu rasy. Nie jednorazowo lub dwukrotnie, jak w krajach północnych, odbywały się tu wędrówki plemion, ale co najmniej przez dwa tysiące lat bez ustanku po tej słonecznej ziemi prze-walały się rasy, niszczyły wzajemnie, krzyżowały się i znów tworzyły. Rzadko Italja miała stulecie spokoju i zaciszności. Etruskowie pochodzący od razenów blizkich słowianom, Grecy wszystkich trzech odmian, plemiona środkowych Apeninów, jak sabini, wolskowie i t. d., kupy niewolników rzymskich z całego świata, gallowie, ostgoci, longobardzi, saraceni, normandzi, słowianie dalmaccy, hiszpanie, francuzi, niemcy austryjaccy. Czego niema we krwi włoskiej? Jednakże dzisiaj jest to jedna Italja. Gdyby kto szukał dowodu, jakim potężnym czynnikiem jest idea wcielona w jakąś historyczną ziemię, ten go znajdzie nie odparty w dziejach Włoch. Pamiętajmy o tem, my polacy, gdy uderzają na nas „nowe“ idee, zrodzone z niczego.

Sredniowieczne kawałki włoskie, zaledwie spojone językiem Dantego i duchem Franciszka z Asyżu, wydały były już trójcę w sztuce: Michała Anioła, Rafaela i Lionarda da Vinci. I wydały wielką naukę filozoficzną w tym czasie, gdy u nas urodził się Kopernik. Naukę tak wolną i czystą w intencjach, że szła z wyciągniętymi ramionami ku wyzwoleniu, nie ku ujarzmieniu ludu, jak to czyni

opłacana przez ministerja nauka współczesna. Tamta szła często ku torturom, więzieniu i stósowi, nie ku pensji.

A Włochy nowoczesne wydały nową trójcę: Garibaldię, Mazzinię i Cavourę. Wskażcie mi bardziej szarmonizowaną zbiorowo pełnię ducha, ludzi w naszym stuleciu większych. Zestawcie ich z Bismarkiem, porównajcie do czego ten doprowadził swój naród, a do czego doprowadzili tamci, o ile nie jesteście po za granicami „dobrego i złego“, zastanówcie się nad tem i rozstrzygnijcie, w jaką stronę Europa musi iść, chociażby ją więziły bramy piekielne, i kto będzie ją prowadził.

Wszystko czego potrzeba, pełnia jest w tej trójcy włoskiej, jak gdyby statua narodowego Trimurti. Bezgraniczny, nagi, niemal awanturniczy entuzjazm złączony z czynem tak, jak nieurodzone dziecko z matką — u Garibaldię. Naiwnie czysty, jak gdyby straż w niem trzymały boskie dzieciątka Rafaela Sanzio. Targająca się wewnątrz miłością ku dobru a nienawiścią zła, głęboka dusza Mazzinię; jak Michał Anioł w ponurych warsztatach spisków, rzeźbi nowoczesnego olbrzyma: Lud. I opanowany obręczą woli, kamienny spokój Cavourę; jak Lionardo przygotowuje wieczerzę narodową z sakramentem ciała i krwi.

Postawcie obok tych statwę żelaznego księcia Niemiec. Wygląda jak rzeźnik budujący higieniczne jatki.

Acz zajęci jeszcze wprowadzaniem się do domu narodowego, ustawianiem mebli i uprzątnieniem śmieci po austryjakach, Bourbonach i t. d., Włosi już zaczynają wstępować na szczeble samodzielnej wyższej cywilizacji.

Widać to zwłaszcza na polu naukowym, gdzie jakby wkraczali na tory tradycji Galileuszowej. Co do wynalazków, bije w oczy geniusz Marconiego, a w dziedzinie humanistyczno filozoficznej, w socjologii, zdradzają daleko więcej

intuicji, niżeli, zakrzepła w racjonalistycznym neoobskurantyzmie, północ Europy.

Z Polakiem Włoch zejdzie się odrazu. Niepotrzeba wielu słów, aby się zrozumieli. Bez rozumowań nasi szli do Garibaldiego, a ich Nullo przybiegł do nas na pewną śmierć. Oni jeszcze nie zapomnieli, a my jeszcze czujemy, co to jest bestja trijmfante. Jeszcze nie zagoili ran od jej pazurów, więc nie patrzą na nas jak syci na głodnego — z poczuciem wyższości, i z filozofją przeładowanego żołądka. W konstelacji Europy demokratyczna Polska może liczyć zawsze na ich poparcie polityczne.

Historja Włoch nowoczesnych jest dla nas bardzo pouczająca i dobrze byłoby w nią się wczuć. Nie dla tego, aby droga złączenia się naszych dzielnic mogła być w czym — kolwiek podobna do drogi dziejowej włoskiej.

Analogie pod tym względem mogą raczej omylić niż rozjaśnić. Lecz dla innego powodu; mianowicie dzieje złączenia Włoch niedawnością tak jeszcze gorące, a zatem łatwiej wyczuwalne, niż przykłady stare, wykazują, że do sprawy tak trudnej, jak wyzwolenie się z obcego jarzma, w warunkach nowoczesnych niezbędne są trzy siły: entuzjazm, idea ludowa i rachunek rozumu. Złączenie, a nie przeciwstawienie tych sił, do wspólnego działania, rzecz nie łatwa i wykazująca rzeczywisty stopień patryjotyzmu, stanowi tajemnicę *pewności* powodzenia.

---

## ANGLICY.

Nie byłem nigdy w Anglii, nie odetchnąłem powietrzem tamecznego obyczaju, zatem nie mam najglówniej-



szej podstawy do wydawania o niej sądu. Moja intuicja miała do rozporządzenia tylko literaturę i filozofję angielską, oraz praktyczne działania historyczne w stosunku do innych narodów.

Zdaje mi się, że ta mieszanina rasowa celtów i kilku odmian germanów, bynajmniej dokładnie nie zcałkowana, czego dowodem separacyjne dążenia irlandów, nie mówiąc już o indywidualności szkotów i wallijczyków, od czasów Cromwella i wojującego protestantyzmu odosabniała się coraz więcej od Europy, nabierając sztywności ruchów i myślenia. Chyba nie trzeba dowodzić wysokiej wartości i przymiotów narodu, który wydał był Alfreda Wielkiego, Dunsscota, Szekspira, Bakona, Macaulaya, Humea, Ruskina, ale owo „splendid isolation“ zwięzło rozwój ducha angielskiego. Jak gdyby germańska słabość intuicji i w ślad za tem idąca ciężkość myślenia na zamkniętej wyspie, ujarzmiły polot celtycki.

Słynna samolubność polityki angielskiej, która przypisała samo państwo o utratę wielkich kolonji amerykańskich, jej krótkowidztwo w ciągu całego XIX stulecia, czyniące Anglję głównym winowajcą reakcji politycznej tego stulecia i w skutku — wielkiej wojny narodów, wynikało z zasklepienia w rutynie i z braku intuicji. Przecież Anglja, wbrew ideom francuzkim, sprzymierzała się z wszelkim despotyzmem Europy i w końcu sama dla siebie wyhodowała wojujący panteutonizm, z którym teraz ma tyle kłopotu.

Nie tylko u Niemców zjawił się nadczłowiek. Żył on od dawna i chronicznie w Anglji. Wprawdzie w innej postaci, nie jako butny i bezczelny junkier, lecz jako poprawny i flegmatyczny dżentelmen, wstydzący się uniesień, piszący swoje ja zbyt wielką literą. Ten dżentelmen ma w sobie niewiele z rycerzy Okrągłego Stołu, z Hotspura lub księcia Czarnego, a jego nadczłowieczeństwo posiada

niewątpliwy rys lekceważenia innych, bez chęci poznania kim są, ale wprost dlatego, że inni. Fanatyzm samego siebie. Gdy widzę tylu Anglików, szukających po całym świecie ukojenia spleenu, mam wrażenie, że ci ludzie kochać są zdolni nie sercem, ale poczuciem obowiązku, tak bardzo rozwiniętem u wszystkich Germanów i stanowiącym niewątpliwie dobry czynnik cywilizacyjny — w braku lepszego, Polska jak słowiańskość wogóle, sympatyzuje z celtyckimi pierwiastkami Anglii, występującymi w takiej obfitości u Szekspira i wszystkich wielkich poetów angielskich i głównie na nie może w działaniu politycznem liczyć. Zdaje się, że wielka wojna te pierwiastki z niewoli wyjarzmiła, a żywi ludzie jak Lloyd George, przychodzą do władzy dzięki konieczności, że się bez nich nie można obejść, gdyż rutyna stara dla chwili nadzwyczajnej nie wystarcza. Serce angielskie, zamknięte w British Muzeum razem z mumjami egipskimi, domaga się wolności. Do starej Anglii przyjeżdżają młodzi: Kanada, Australja, Afryka i zamólonne meble trzepią.

Jego lordowska mość, patrząca dotychczas na cały świat, jak na kolonie swoich murzynów, nie upajająca się niczem prócz *ginu*, główną wdzięczność za pozbycie się spleenu będzie miała dla cesarza Wilhelma II.

Z walki nadczłowieka z nadczłowiekiem może urodzić się człowiek, który będzie patrzył, nie lornetował, będzie mówił, nie raczył bełkotać.

Nasi Podfilipsy i Płoszowcy często naśladowują lordów z takim samym powodzeniem, z jakim dawniej naśladowali byli markizów. A szczególnie chętnie bawią się w szyk angielski Rosjanie, co im łatwo przychodzi dzięki fizycznej nieporuchliwości.

## AMERYKANIE.

Amerykanie północni obchodzą nas ze względu na dwa miliony blisko emigrantów polskich w Stanach Zjednoczonych.

Jeżeli mówimy „Ameryka“ myślimy: wielka energia, szybki pęd cywilizacji, moralność bussinesu, bezwzględne padanie słabszych w walce o byt.

Byt jest rozumiany tutaj całkiem materialnie, bez kultury uczucia.

Fale ludzi z całego świata płyną do ziemi obiecanej po łatwiejszego, jak mniemają, dolara. Te fale są rasowo i narodowo chaosem, a charakterem indywidualnym składają się z jednostek przedsiębiorczych i samodzielnych z jednej strony, a awanturników — z drugiej. Wspólne powietrze je amerykańkuje. Bez wątpienia, jesteśmy wobec tworzenia się nowego narodu, nowej tradycji, narodu o przyszłości dla nas nieznaney. Tylko twierdzić można z pewnością, że ten nowy narod, zaufany w przyszłość, zasadniczo zwalczać musi wszelką tradycję swoich przybyszów i drwić z wszelkich „starych ruin“ innego świata, oplecionych tam bluszczem przeszłości. On te „kamienie“ tradycji zachcianką miliardera kupuje do swych muzeów. Ta robota jest dlań koniecznością, inaczej nie uporządkowałby chaosu w ład.

I wypowiem tu pogląd, może dla wielu ludzi paradoksalny, że żaden kraj tak szybko nie wynaradawia obcych przybyszów jak Ameryka.

Amerykanizm działa najenergiczniej.

Jeżeli cywilizacja przychodzi do cywilizacji, kultura do kultury, kształt skryształizowany do kształtu skryształizowanego, tarcie pomiędzy niemi być musi. Tradycja polska

na gruncie np. na francuskim lub niemieckim, będzie stawiła dłuższy lub krótszy opór, zanim ulegnie. Jeżeli zaś ta tradycja trafia na ścianę ruchomą, będzie się wraz z nią usuwała bez świadomości dokąd bieży. W dzisiejszej Ameryce nie masz jeszcze oporu dla żadnej tradycji, dlatego wszystkie amerykanizują się szybko i z małą szansą odzycia.

W starym świecie kolonie tworzyły się innym sposobem i inne dla macierzy miały znaczenie. Stanowiły one same w sobie państwo, rządzące się swem prawem plemiennem, niezawisłe. Żadna panidea, prócz luźnych związków pokrewnego, nie górowała nad ich prawem obyczajem miejscowym. Dlatego łączność ich z macierzą była organiczna, a jak mamy przykład na jończykach i doryjczykach Azji mniejszej, wydawały wielką cywilizację unisono z wytwórczością macierzy.

Emigracja amerykańska ma całkiem inny charakter, nie tworzy dla Hellady Miletu ani Efezu, ani dla Tyru Kartaginy, lecz tworzy jedną wielką Amerykę, jeden ład, z różnorodnego.

Życie polskie jest w Ameryce zupełnie wolne, tak. Sztandary narodowe, uroczystości narodowe, związki narodowe, żadnych ograniczeń. Amerykanizm jest pewny swego, niema potrzeby kontrolować i ścisnąć. Ale weźmy do ręki którąkolwiek polską gazetę amerykańską, porównajmy ją z prasą polską w Paryżu, w Szwajcarji, w Petrogradzie wogóle w Europie, gdzie jest żywa walka kultur. Jakaż różnica tonu! tutaj bezwzględna polskość w tonie, stylu, sposobie myślenia. Tam pisma amerykańskie, obce obyczajem, tylko pisane i to niestarannie po polsku. Mało można wskazać książek naukowych lub beletrystycznych, napisanych w Ameryce po polsku. Wszystko — do książek modlitewnych i ludowych przychodzi tam z macierzy. Amerykańska Polska prócz składek pieniężnych

i ewentualnie legionu młodzieży do pomocy zbrojnej nic duchowego macierzy dać nie może. Potęgą tamtejszej nowej idei szybko pokonywa tęsknotę i serdeczność dla starej ojczyzny.

Zaiste ratunkową jest myśl części amerykańskich Polaków — powrotu do ojczyzny. Tak. Niebezpieczeństwo jest groźne, działać póki czas. Są to po większej części ludzie tędzy i zdrowi, przytem z tresurą pracy, co dla Polski, zapchanej rezydentami i niebieskimi ptakami, nie siejącymi ani nie orzącymi, z wielką korzyścią być może.

---

## ŻYDZI.

Gdy się pisze o żydach, jako o przedmiocie poznania, nie w roli adwokata broniącego narodu „uciśnionego“, lub w roli prokuratora „humanizmu“ oskarżającego ludzkość o brak praw dla żydów, to dzisiaj, na początku XX stulecia ma się wrażenie, że za krzesłem piszącego stoi gromada ludzi „kulturalnych i postępowych“ krzyczących: wstecznik, antysemita, czarna secina. I tak dalej — gdyby było wolno palić na stosach, neoinkwizycja neohumanizmu urządziłaby autodaf'e jeżeli nie osobie, to książce. Ale sposoby walki człowieka nowoczesnego są bardziej wyrafinowane i celowe niż dawniej; najlepiej książkę tak schować, aby się do czytelników nie dostała; jeżeli zaś już się o niej szerzej dowiedziano, trzeba zaapelować do „kultury“ czytelników, ostrzedz ich przed fanatyzmem „antysemity“, przydać mu epitet np. „zoologiczny“ i wykreślić autora z liczby ludzi myślących. Zamilczeć lub znieślawić.

Czemuż to wolno pisać przeciwko religji, przeciwko ustrojom społecznym, nawet przeciwko zdrowemu sensowi i logice, ale w sprawie żydowskiej — jak o umarłych nihil nisi bene? Jak gdyby żydzi byli najdroższym klejnotem ludzkości, *tabu* wszechświatowym, którego nie wolno ruszyć pod karą ostracyzmu intelektualnego, „świętymi małpami z Benaresu“ drapiącymi i gryzącymi każdego, a nie wolno ich dotknąć.

Więc w oświeconym stuleciu XX, w okresie Bakonowskiej empirji, istnieje dziedzina poznania, zamknięta dla wolnej myśli kluczem jakiegoś zabobonu. Bo powiedzmy wyraźnie: mamy do czynienia z podstępny zabobonem w całym tegoż absolutyzmie. Ma się chwilami świętą pogardę dla tej myśli współczesnej, która w taki nieuczciwy sposób traktuje sprawę, może jedną z najważniejszych, jakie ma do rozwikłania.

Nad żydami, oprócz kilkudziesięciu uczonych zajmujących się kwestją i to często z parti pris, ogół naprawdę się nie zastanawia. Jedni nimi gardzą, inni nienawidzą, inni litują się nad narodem nieszczęśliwym, inni po prostu wierzą w nich i działają razem. Może gdzieindziej sprawa żydowska nie jest pierwszorzędna, ale w Polsce posiadającej kilkanaście procentów żydów, do tego z ghettem, domagającym się własnego państwa na naszej ziemi, spokojna wiedza o żydach jest potrzebą gwałtowną.

Wierzę, że takie stanowisko bardzo się żydom nie podoba. Wolą oni być prześladowani, niż poznani, co dowodzi ich rozumu.

Kim jest żyd rasowo i historycznie? Już odpowiedź na to pytanie zaprzeczy rozpowszechnionym poglądom i używanym, oraz nadużywanym wyrazom. Przedewszystkiem mamy do czynienia nie z semitą par excellence, ale z *mieszkańcem* z kilku ras, a semicka nie jest u żyda bynajmniej przeważająca.

Antropologia daje nam następujące cyfry co do ras w żydzie (według F. von Luschana).

Wyraźny typ	syryjski (hityjski)	50 %
„	„ semicki (beduiński)	5 %
„	„ indoeuropejski (amorejski)	10 %
„	„ mieszanina bezładna	35 %
		Razem 100 %

Szczep syryjski czyli hityjski, tubylczy w Azji mniejszej, do dziś dnia w Syrii zasadniczy, jest panującym rasowym elementem żyda. Cechy główne tej rasy bardzo wytrzymałej, osiadłej i zdolnej do niejkiej cywilizacji, która wydała i ormian (lecz w innych krzyżowaniach niż żydzi) — są: głowa okrągła, nos charakterystyczny, zwany niesłusznie specjalnie żydowskim, a w ciele skłonność do tycia (brzuch). Obejrźmy się po miastach, przejdźmy się po magazynach i kantorach, ileż zobaczymy dzisiaj tych wyraźnych główek okrągłych, nosów w kształcie odwróconej szóstki, brzuchów z brelokami, starych rozlanych żydówek. Ale wszystko to jest *hityzm* lub *syryzm*, nie semityzm. Obie te rasy nie mają z sobą nic wspólnego, są od siebie dalekie i przy krzyżowaniu nie dają produktu zrównoważonego.

Hityci (dzieła Saycea i Wrighta) których wizerunki podają nam płaskorzeźby egipskie w podobieństwie, *jakby skórę zdjął* z dzisiejszych typów żydowskich, nie byli rasą genialną, przeciwnie dość ograniczoną i do polotów helleńskich lub nawet egipskich nie zdolną. Jednakże mieli już własne pismo, budowali miasta, tworzyli państwo, wydając nawet wojownicze osobistości i nie bez cech podniosłych, jak Dawidowy Urjasz, mąż Betsabei. Jako rolnicy mieli święto żniw jesiennych, dzisiejsze żydowskie

kuczki (Sukkoth), mieli święto wiosny z ofiarą pierwiastków cieląt i jagniąt, czyli Paschę (Passah). Święto żniw wiosennych Shabuoth (nasze Zielone Świątki). Nie byli to koczownicy, lecz ludzie osiedli, o wierzeniach złączonych z przyrodą, dość pracowici i „jako tako uczciwi“. Krwawe ofiary ludzkie nie leżały w ich charakterze i obyczajach, a tam gdzie się zdarzały, był to zawsze wpływ domieszki semickiej, związany z kultem fenickiego Baala. Jest charakterystyczne, że hityci celowali bardzo w zdolności kupieckiej, a w Starym Testamencie wyrazy „kupiec i kanańczyk“ oznaczają to samo.

Oto główna podstawa rasowa żydów. Widoczne, z jaką niezmiennością utrzymały się *niektóre* rysy przodków w potomkach. Natomiast krew semicka dała żydom co innego.

Antropologia uznaje za najczystszy wyraz rasy semickiej — araba beduina, zachowanego dotąd przez odosobnienie na pustyni w typie zupełnie czystym. Jest on przeciwieństwem hityty co do budowy ciała. Wybitny długogłowiec, suchy, nerwowy, bez skłonności do tycia, z nosem nigdy nie „żydowskim“ t. j. okrągłe zgiętym i dużym, lecz z krótkim, małym, mało zagiętym, jeżeli nawet z nosem orlim, to nigdy grubo nie zakończonym. I jest przeciwieństwem co do psychiki. Hityta ograniczony w siłach duchowych, ale zrównoważony, więc mogący tworzyć osiadłość i cywilizację. Czysty semita arab, z wolą palącą i pożerającą, wysuszającą zieleń życia, z wolą, zabijającą zarówno intuicję, jak w stopniu najwyższym — myśl. Nie może on stworzyć nic trwałego, żyje w ostatecznościach, albo w letargu woli, albo w jej niepohamowanej erupcji. Jest wiecznym koczownikiem i rozbójnikiem.

Skąd się wzięła cywilizacja arabska? Czyż nie stworzył jej duch semicki? Bynajmniej. Wola semicka, rozżarzona do najwyższego stopnia przez objawienie Mahometa



i jego raj arcyzmysłowy, obiecany prawowiernym za śmierć fanatyczną, narzuciła się na krótki okres czasu rasom zdolnym do cywilizacji.

Rozkwit maurytański w Hiszpanji stał się na tle rasowym berberów pochodzenia egijskiego i gockim. Tysiąc i jedna noc kalifatu bagdadzkiego zawdzięcza blask podłożu perskiemu i kulturze zoroastrowej. Wola semicka, pozornie tak bardzo zapładniająca, szybko zjada to, co zapracowali zawojowani przez nią niewolnicy. Wszystkie państwa semickie i cywilizacje, przemknęły migawkowo po panoramie dziejowej, rzeczywiście jak krwawe czarodziejskie noce, pozostawiając po sobie letarg zniszczenia.

Posłuchajmy Renana (Islámisme et la Science):

„Bagdad powstał, jako stolica odradzającej się Persji Sasanidów, przez rewolucję która wyniosła na tron Abasydów, dokonaną przez wojska perskie z perskimi wodzami na czele. Abasydzi zawsze otaczali się persami. Wszyscy świetni kalifowie współcześni francuzkim Karłowingom byli słabo muzułmanami, radzili się Indji, starej Persji, nadewszystko Grecji. Tak zwany arabski ruch filozoficzny i naukowy był to skutek reakcji przeciwko zakrzepłości islamu. Nie tylko uczeni i myśliciele nie pochodzili z rasy arabskiej, ale orjentacja ich umysłu była wprost przeciwna umysłowości arabskiej, słowem ta całość z przyzwyczajenia nazywana arabską, albowiem pisana po arabsku, jest w rzeczywistości grecko-sasanistyczną. Nie tkwiła nigdy korzeniem na półwyspie arabskim...“

Ciekawe jest pod tym względem wyznanie słynnego pisarza maurytańskiego z XIV wieku Mohameda Jln-Kaldouna pół araba: „Spójrzycie na okół, na wszystkie kraje starsze, podbite przez mieszkańców Arabji: cywilizacja i ludność znikli przy tym zetknięciu i jak gdyby sama gleba stała się jałowizną“. Ten sam Maur dodaje, że semita nie ma żadnej zdolności do zbudowania czegoś trwałego. Niemniej wysławia cnoty semickie: ograniczenie

potrzeb, uczucie rodzinne, entuzjazm na głos proroka. Oczywiście u semity te cnoty pochodzą z innego źródła, niż u aryjczyka. Tam są nakazem zewnętrznego zakonu tak ślepegó, jak ślepą jest wola semity i dla tej woli jedynie zrozumiałego; tu są wynikiem świadomości, iluminacji wewnętrznej, intuicją twórczą.

Umysłowość semity, według klasycznego oświecenia Lassena (*Poesie und Kunst der Araber, Indische Alterthums-kunde*) przedstawia się następująco: „Sposób patrzenia na rzeczy subiektywny i egoistyczny. Poezja — liryczna, jest zmysłowością wyrażająca rozkosz i ból, miłość i nienawiść, podziw i wzgardę. Epopea, gdzie osoba poety ustępuje przedmiotowi, semicie nie udaje się; jeszcze mniej dramat wymagający zupełnego oderwania się od własnej osobowości. Ich wglądy i powzięcia zbyt władają nad myślą, aby mogły wznieść się do czystej idei ogólnego lub koniecznego. Religja dośrodkowa i wyłączająca. Jehowa jest zupełną własnością hebrajczyków, oni jedni go uznają; wszyscy inni bogowie są absolutnie fałszywi, bez związku z prawdą. Allah, chociaż chce podbić cały świat, nie mniej uważa siebie za wyłącznego Boga arabów, nie przyznaje prawdziwości nikomu innemu. Nie dość go uznawać, musisz mu służyć i wzywać wraz z prorokiem Mahometem w formie przepisanej. Z natury swej doktryny semici *musieli* być nietolerancyjni, *musieli* ciążyć ku fanatyzmowi, *musieli* zmartwieć w skamieniałem przywiązaniu do zakonu religijnego. Namiętna zmysłowość, wola uparta, wiara niezachwiana w własną wyłączność, cała ich jaźń egoistyczna, czyniła ich wysoce zdolnymi do czynów wielkich i śmiałych.“

Semicka *energja woli*, wyraża się S. H. Chamberlain, okazała się w historii tak duża, że podbijała narody nie mające w żyłach ani kropli krwi semickiej. W styczności z tą wolą człowiek zmieniał się. Działa ona z taką po-

tęgą wpływu, że magnetyzuje tak jak oko węża magnetyzuje ptaki. Z jej rozkazu aryjczyk oducza się często *śpiewać i latać*. Przez nią semita stał się potęgą pierwszorzędną w dziejach powszechnych. Jakby ślepa siła przyrody, gdyż wola jest ślepa, rzucił się na inne narody. Można było dostrzedz, co te narody mu dawały, ale nie to, co odeń brały, bo to, co on *dawał*, nie miało ani oblicza ani kształtu, było to tylko *chcenie*. Natężoną energję (częstokroć wzniecającą wielkie przedsięwzięcia), pobudliwość trudną do opanowania i nienasyconą żądze posiadania, (prowadzącą często do ruiny), słowem zdecydowaną orjentację woli. Gdziekolwiek umieścił się semita, szybko przyswajał i asymilował wszystko, co znalazł pod ręką, ale *zmieniał charakter narodów*.

Zauważmy, *zmieniał charakter* narodu, a dzieje utwierdzają bez wyjątku, że to zmienianie zawsze prowadziło do szybkiego upadku.

U żyda, jako u mięszarńca, własności semityzmu nie mogą występować w całej niepokalanej czystości. Pierwiastek hityjski tak odmienny i fizycznie bodaj trwalszy, w znacznej mierze rozcieńczył impet woli semickiej. Pozostawiam czytelnikowi, aby sam porównał współczesne działania żydów i określił, w jakim stopniu tkwi w nich instynkt, objawiony z taką wyrazistością przez historję semitów czystych. Nie będzie to trudne, jeżeli ktoś już posiadał zasadniczy i trafny punkt wyjścia.

Trzeci pierwiastek odrębny do krwi żydowskiej wnieśli amorejczycy.

Znamy ich z płaskorzeźb egipskich. I to wiadomo, że byli długogłowcy, rośli, blondyni, z oczyma niebieskimi, biali. Czy pokrewni byli blisko hellenom, czy przyszli bezpośrednio z północnej Europy (egipcjanie nazywali ich „ludźmi północy“), dotychczas nie ustalono. Bądź co bądź, pewna jest ich aryjskość. To plemię wojownicze założyło

Jeruzalem. Świetny okres historii izraela związany jest blisko z amorejczykami, zwłaszcza panowania Dawida i Salomona. Dawid według biblii miał blond włosy, nigdy nie występujące ani u hitytów, ani u beduinów. O synu jego Salomonie, zrodzonym z Betsabei, która więcej niż prawdopodobnie nie była izraelitką, Renan (Izrael) pisze: „Salomon nie miał w sobie nic z powołania rasowego. Panowanie jego było „epizodem“ wbrew kierunkowi historii izraelskiej i pozostało tylko epizodem. Po nim naród powrócił do swojego.“

Nie będę tu wyliczał cech aryjskich w zestawieniu z semickimi i hityjskimi. Dość wskazać na aryjskie usposobienie idealistyczne przytoczeniem ustępu z Talmudu Jerozolimskiego:

„Niewolnik żyda, człowiek biały, miał poleczone odprowadzić jednego z przyjaciół swojego pana do domu rabina Hila. Po drodze napadł ich wściekły pies, biały niewolnik poświęcił się wiernie, aby ocalić powierzonego sobie towarzysza“. Nie wywołuje to w Talmudzie Żadnej wdzięczności, ani podziwu, lecz powołanie się na słowa Izajasza: „Ponieważ cenię ciebie, Izraelu, poważam i kocham, więc podstawiam na twoje miejsce ludzi i narody dla tego, abyś ty żył.“

Wreszcie na „żyda“ złożyły się jeszcze inne krwi wypadkowe np. murzyńska i etjopska w kolonji Aleksandryjskiej.

Przejdźmy się po miastach dzisiejszych, w zaułkach ghetta lub po dzielnicach, gdzie mieszkają żydzi po nowoczesnemu ubrani i wmięszani w tłum inteligencji, a uderzy nas duża różnorodność fizyczna typu żydowskiego, mająca korzenie w rzeczonym trójpierwiastku zasadniczym, źle spojonym. To mali, ruchliwi, chociaż brzuchaci czarni hityci, to rośli, ludzi silni, goljaci amorejczycy, to sucho szczapowato zbudowani z okiem złem i fana-

tycznem semici, to typy murzyńskie z wargą obwisłą, wszelkie odcienia włosów i skóry od kruczo-czarnego do lniano-białego. Pierwiastek syryjski przeważa stanowczo (połowa), aryjski i semicki są znacznie odsunięte, trzecia część posiada typ nieokreślony, w którym rysy różnych ras nie są w związku z sobą, ale obok siebie, jak gdyby się wzajem klóciły. Hodowcy ras zwierzęcych wiedzą, że nie z wszystkich krzyżowań dadzą się utrwalić rasy nowe, że do dobrego skutku zbytńia odległość wzajemna ras nie prowadzi, a krzyżowanie udaje się najpewniej pokrewnego z pokrewnym. Zaś krzyżowanie ras bardzo różnych, wydaje osobniki niezrównoważone. Otóż żydzi fizycznie, ze względu na daleką różność krwi, są wytworem rasowym nieudanym, niezrównoważonym.

Takaż i ich psychika. Z powodu udziału duchowości tak odmiennych i jednocześnie tak wybitnych, jakimi są semickie, syryjska i aryjska, dusza żydowska posiada w sobie wszelkie możliwości, od krańca do krańca. Od dobroduszności, ławowierności, łagodności, do przysłowiowej przewrotności, fałszu i bezprzykładnego okrucieństwa; od imponujących cnót domowych do bezczelnego wyuzdania; od tępej ortodoksji do „wolnomyślicielstwa“, które dąży znów do prawowiernego fanatyzmu. Jeżeli można znaleźć w niej jaką cechę ogólną, to będzie nią *brak umiarkowania*. Poczucie własnej nierównowagi rasowej, z czego wypływa niezdolność do twórczości samodzielnej, a zatem pasorzytnicza rola wiecznego tułacza w historii narodów, jest tą winą, tym grzechem pierworodnym, który może być zgładzony jedynie przez cud, przez przyjsie Mesjasza.

Naród, w którym tkwi tyle orjentacji sprzecznych i wiecznie jedna drugą zwalczających, musi iść na szybką zagładę. Rzeczywiście izraelici zapodzielili się bez widomego śladu w procesie dziejowym. Ale pozostali żydzi,

jako wytwór czysto ideowy, uratowani sposobem sztucznym, przez ścisły zakon, który skuł wprawdzie ich umysłowość w kajdany martwoty, ale egzystencję tego bez nadziejnego chaosu rasowego i psychicznego jako narodu ocalił. Ocaliła ich nie religja objawiona, niemożliwa do zaszczerpienia się na tej męszaninie, ale według słów Mojżesza Mendelzona (Rettung der Juden) „prawodawstwo objawione“, zakon, zmuszający do ślepego posłuszeństwa.

W jaki sposób żyd wytworzył się historycznie? Używamy pospolicie wyrazów hebrajczycy, izraelici, żydzi jako jednoznaczne. To jest zupełnie nie ścisłe. Historia tworzenia się żyda jest tem ciekawsza, że szerszemu ogółowi zupełnie nie znana, a sami żydzi czynią wszystko, aby prawdę zamącić.

Plemię czy pokolenie beduińskie, t. j. czysto semickie i koczownicze Beni-Izrael po przez krainę Ur, u wideł Tygrysu i Eufratu, posunęło się brzegiem rzek na północ ku Syrii wschodniej, gdzie powoli krzyżując się z hitytami, nabyło instynktów włośiadyłych. To pierwsze historyczne skrzyżowanie wytworzyło hebrajczyków. Więc hebrajczyk jest to semitosyryjczyk.

Stamtąd część hebrajczyków powędrowała na południo-zachód do Palestyny, gdzie po skrzyżowaniu się z tamtejszymi hitytami i amorejczykami powstał nowy naród, izraelici. Zatem izraelici są dalszą męszarıną hebrajczyków z nową falą krwi syryjskiej i domieszka krwi aryjskiej.

Dzieje izraela były epoką wolnościową, w której, po za działaniem instynktów plemiennych, tak różnorodnych w ówczesnej Palestynie, leżącej na otwartej drodze pomiędzy Syrią a Egiptem, nie było gruntu dla jakiegokolwiek nietolerancji. Tradycja mojęszewa działała współrzędnie z duchem całej pstrocziny plemion kananejskich. izraelici znaleźli się w chaosie ludów, z którymi krzyżo-

wali się, mimo zakazy religijne, nie działające mocą stanowczego prawa. I kłaniali się nieznanemu niewyraźnemu Bogu Mojżesza, równocześnie tańcząc naokoło złotego cielca lub miedzianego byka — wzorem fenickim.

Wtedy wolnem prawem indywidualności wydali byli zjawisko wysokiego polotu duchowego — *proroków*.

Eljasza, osobistość może najfantastyczniejszą semityzmu, właściwego twórcę idei monoteizmu; następcę jego Elizeusza, socjalistę Amosa, dostrzegającego niebezpieczeństwo w przewodnictwie klas wyższych, antyklerykalistę Ozeasza, występującego przeciwko kapłanom. Byli to patryjoci izraelscy, pragnący ognistemi wezwaniami ratować państwo izraelskie od chaosu zagrażającego zgubą.

Skutkiem wewnętrznej walki elementów rozbieżnych już przedtem, państwo rozpadło się na dwie części: na północnego Izraela ze stolicą Samarją i na południowego Judę z Jerozolimą. Pierwsza była państwem Józefitów, potomków Józefa, szlachetniejszego pierwiastku izraelskiego, druga — potomków Judy, tego człowieka, który zaprzedał był swego brata do niewoli. Niemal cała cywilizacja i kultura szły z północy od Józefitów, stamtąd pochodzili lub tam działali prorocy, słowem Izrael nadawał ton dziejowy Judei.

W roku 721 przed n. Ch. Asyrja w zaborczym pochodzie na zachód, zdobywszy Samarję, zniszczyła zupełnie Izraela, rozpędzając go na cztery strony świata i na zawsze. Wsiąknął w inne narody. W 20 lat później już nie Salmanasar, ale Sennacheryb posunął się dalej na południe ku Jerozolimie, bronionej nie przez swoich, ale przez *armię najemników arabskich*. Skutkiem zarazy w obozie, czy nieporządków w Asyrii Sennacheryb od oblężenia Jerozolimy odstąpił.

Więc stał się cud. Cudowne ocalenie Jerozolimy. Ten to cud stworzył *żyda* takiego, jakim widzimy go

współcześnie po 2600 latach. Jako naród ustalony ma tyle lat.

Wątpiąca, zdemoralizowana, rozkwalkowana wewnętrznie Judea, dojrzała wreszcie straszliwe niebezpieczeństwo ostatecznej zagłady. Wiedzano, że prędzej czy później asyryjczycy mogą powrócić. Te sto lat z górą do czasu zniszczenia Jerozolimy przez Nabuchodonozora, były okresem grobowej trwogi i jednocześnie początkiem realnej idei obrony, skupienia narodu pod jedną bezwzględną regułą, pod nakazem kategorycznym, początkiem stworzenia *Nowego Przymierza*. Ku takiemu ślepemu fanatycznemu posłuszeństwu żadna inna wola nie nadaje się lepiej niż wola semity, wola pogardzająca intelektem i autonomiczną pracą tegoż.

Cóż trzeba wyrobić dla obrony?

Wiarę w opatrność Jehowy, ideę że wszelka pomysłowość zależy od biernego i bezwarunkowego posłuszeństwa jego przykazaniom, że wszystkie narodowe nieszczęścia on zsyła, aby doświadczyć swój naród lub go ukarać; trzeba zaszczerpić niezłomne przeświadczenie, że Juda jest narodem *wybranym* przez Boga z pomiędzy wszystkich innych narodów, które tem samem skazane są na głęboką niższość. (Chamberlain: geneza XIX stulecia). Według słów księgi *powtórnego prawa* (deuteronomos): „*Wyłącznie do twoich ojców Bóg przywiązał się miłością; ich potomstwo wyłącznie wybrał spośród wszystkich narodów.*“

Akcję przygotowawczą do tego *powtórnego prawa* i Nowego Przymierza z Bogiem, wykonała druga fala proroków, działających w Judei po zniszczeniu Izraela. Izażasz, przybijający ogniste plakaty na rogach ulic, Jeremiasz człowiek o wielkiej przenikliwości politycznej, Micheasz wieśniak, pragnący zburzyć wszystkie miasta łącznie z Jerozolimą, jako siedliska bezbożności i zarazy moralnej.



I rzeczywiście w tym ruchu proroczym nie podobna nie dostrzedz wyraźnych przedświtów chrześcijaństwa.

Już Amos mówił: „pogardzam świątami“, „kocham pobożność, nie ofiary, poznanie Boga, nie całopalenia.“ Według niego tak samo jak Bóg wyprowadził izraelitów z Egiptu, tak wyprowadził filistynów z Caphtoru, a syryjczyków z Kiru.

Teraz Izajasz powtarzał: „mam wstręt do waszych sabbatów, nauczcie się czynić dobrze, poszukiwać sprawiedliwości, bronić uciśnionego, wdowy i sieroty.“

Micheasz: „z czym stanę przed Panem, czy z całopaleniem, czy z cieleciem? Powiedziano ci człowiecze, co jest dobre i czego Pan żąda od ciebie: abyś był sprawiedliwy, miłosierny i z pokorą szedł wraz z Bogiem.“

Gwałtowny Jeremiasz staje na progu Świątyni w Jerozolimie, krzycząc: „nie wiercie kłamliwym mowom tych, którzy mówią, że tu jest świątynia Pana, Świątynia Pana, Świątynia Pana.“ O żadnej Arce Przymierza, o teokracji nie chce wiedzieć: „nie będą mówić o niej, nie przypomną sobie o niej, nie dostrzegą jej nieobecności, nie zrobią z niej innej.“

Najbliżej chrystjanizmu stoi drugi Izajasz, działający już podczas niewoli babilońskiej. Ten mówi: „kto zabija wołu, jak gdyby zabijał człowieka.“ Boga pojmuje powszechnie: „on nazywa się Bogiem całej ziemi“, nadeszły zaś ten jego zwrot: „myśli moje nie są waszemi myślami, a drogi moje nie są waszemi drogami,“ w którym, jak słusznie mówią, ten prorok staje u progu prawdziwej religii wewnętrznej, misterjum chrześcijańskiego i hinduskiego.

Ale ci wielcy ludzie, mówimy o prorokach, nie byli pozytywnymi reformatorami, a zatem twórcami Nowego Przymierza, t. j. *żydostwa*. Sprawę wziął w rękę ktoś inny. Z gorących wybuchów uczucia proroków wyjęto tylko to,

co było potrzebne dla nowego zakonu, resztę zaś nie tylko odrzucono, ale skonfiskowano i zniszczono. Jest to interesująca historia największego oszukaństwa, jakie kiedykolwiek popełniono.

W roku 622, t. j. na lat trzydzieści kilka przed ostatecznym upadkiem Judei, przy sposobności restauracji świątyni jerozolimskiej kapłani „znaleźli“ książkę zakonu, tak zwaną dziś Powtórnego Prawa, co do której wiemy na pewno, że była świeżo napisana i podrzucona. Jest to pierwsza autonomiczna książka religijna żydów, są to już główne zasady nowej reformy. Zjawia się po raz pierwszy idea nietolerancji religijnej, Po raz pierwszy spotykamy się z zakazem małżeństw mieszanych, z wezwaniem do wytępienia „pogan“, z rozkazem ukamienowania każdego żyda lub żydówki za nieprawowierność, stwierdzoną przez dwóch świadków.

Tymczasem Judea padła. Nabuchodonozor dwa razy zdobywał Jerozolimę. Za pierwszym razem, nie burząc miasta, zabrał z sobą do Babilonu 10000 mieszkańców z klas zamożnych. W jedenaście lat później, zniecierpliwiony ciągłymi zaburzeniami, roku 586 zburzył doszczętnie całe miasto wraz z świątynią, a wszystkich mieszkańców uprowadził do Babilonu. Tylko mała garstka z Jeremiaszem zdołała ująć do Egiptu, gdzie założyła kolonię żydowską, aleksandryjską Diasporę.

W niewoli babilońskiej nowy zakon, zapoczątkowany już pozytywnie przez podrzuconą księgę Powtórnego Prawa, dorósł. W ciągu 60 letniego babilońskiego wygnania, czasu, który przerwał realny związek narodu z ojczyzną, na tle psychiki emigracyjnej powstała święta księga Ezechiela, stanowiąca fundament historyczny Judaizmu. To (Chamberlain), że żyd stał się profesorem i bojownikiem wszelkiej nietolerancji i fanatyzmu religijnego, to, że wzywał zasady tolerancji, gdy go ciśnięto, tej zasady,

której sam nigdy nie stosował, ani stosować nie może, albowiem zakazywał mu i zakazuje do dziś dnia—nie mówiąc o jutrze — zakon, wszystko to żyd ma do zawdzięczenia Ezechjelowi. Ideał Ezechjela, a nie historia izraela lub głos proroków, zorganizował Judaizm.

W księdze Ezechjela po raz pierwszy występuje monoteizm w swej karykaturalnej postaci żydowskiej. Bóg okrutny, obiecujący wszystkim innym narodom „zarazę i krew“ aby to dowiodło jego wspaniałości i potęgi. Wszystkie narody mają być zniszczone a Jehowa rozkazuje swemu prorokowi zwołać ptaki i zwierzęta ziemi „aby pożarły mięso silnych i piły krew książąt“. Jest tu rozbijanie się fantazji człowieka z kasty kapłanów—z niej Ezechjel pochodził—na tle utopijnej psychiki wygnańca. Jednocześnie książka zawiera projekt organizacji teokratycznej dla powściągnięcia wszelkiej wolnej myśli. Ezechjel jest żydowskim Loyolą, tylko zadanie żyda było nie równie mizerniejszem, miał być do czynienia z jednym małym narodem i do tego semicko-syryjskim, zaś Loyola zamarzył o planie przerażająco olbrzymim, zgięcia pod jedno prawo religijne wszystkich narodów świata, w pierwszym rządzie aryjskich, tak bardzo zazdrosnych o indywidualność. Ale idea była podobna: ujarzmqenie i skierowanie sfanatyzowanej, podnieconej woli ludzkiej ku jednemu celowi, bez względu na gatunek środków.

Persowie ówczesni, dość czyści aryjczycy, pod wodzą Cyrusa zdobyli Babilon. Dzięki wysokiej tolerancji persów, żydzi otrzymali pozwolenie na powrót do kraju. Żydzi zamożni, którzy z powodzeniem osiedlili się w Babilonie, łatwo znalazłszy tam drugą ojczyznę, ani myśleli o powrocie. Pośród zamieszek politycznych upadającego państwa babilońskiego, opanowali tam rządy pieneżne, a z klinowych dokumentów wiemy np., że istniała w Babilonie wielka firma bankierska „Bracia Egibi“, jakby

wśród nas Maison Rothschild. Były już i weksle z odliczonymi z góry procentami. Mieli przytem przywileje np. zwolnienie od powinności wojskowej. Żydów zamożnych pozwolenie Cyrusa wcale nie zachwyciło i tylko plebs, czujący jak dzisiejsi syoniści, zdecydował się na powrót. Powrót odbył się kosztem zamożnych żydów babilońskich, którzy podatkiem okupili prawo pozostania, prawdopodobnie zadowoleni, że pozbyli się kompromitującej ich obecności ubogich współwyznawców. Wszak i dzisiaj żydzi, którym Jehowa szczególnie pobłogosławił, nieraz „żenują się swoich“.

Fala powrotna składała się przeważnie z dwóch elementów: z ubogiego pospólstwa i kapłanów. Lud, w ciągu dwóch pokoleń w niewoli, zapomniał był już hebrajszczyzny i odtąd stracił język na zawsze. Hebrajszczyzna stała się wyłączną własnością kapłanów i uczonych żydowskich. Ci kapłani powracali z Babilonu do Jeruzalem z nową księgą Ezechjela, z *idea teokratyczną* i mieli zupełną przewagę nad ludem.

Lecz sama idea i wpływ duchowy bez reformy prawnopolitycznej, nie miała dość siły, aby dokonać ustalenia żydowstwa na wieki wieków. Mimo wezwania do wyłączności i zakazy małżeństw mieszanych, powróceni do Jeruzalem ubodzy żydzi rzucili się do związków z miejscowymi posażnymi edomitkami, amonitkami i t. d. Stało się wtedy to, co się dzieje u nowoczesnej arystokracji, która pogardza żydami, ale bynajmniej nie ma wstrętu do posagu żydówek. Kapłani musieli uciec się do politycznego gwałtu, a mieli za sobą poparcie rządu perskiego. Król Artakserkses wysłał był do Jerozolimy zaufanego podczaszego, żyda Nehemjasza, z władzą dyktatorską.

Nehemjasz przy pomocy kapłana Ezdrasza tego gwałtu dokonał.

Ezdrasz, zebrawszy Wielką Synagogę, zajął się zredagowaniem Thory to jest zakonu pisanego. 120 pisarzy, pod kierunkiem Ezdrasza i owej Synagogi połączył wszystkie tradycje historyczne i obrzędowe izraelitów w jedną księgę Starego Testamentu, a uczynili to oczywiście w duchu swojej nowej idei, poprawiając, uzupełniając, zmieniając, zniekształcając, i — nadali jej powagę prawa Mojżeszowego. Thora przeto jest kompilacją rzeczywistych bytowych tradycji hebrajsko-izraelskich i koncepcji teokratycznych Ezechjela i jego następców, a dzisiejsza orientologia porównawcza rozpoznaje różnorodny charakter tej mieszaniny.

W księgę Lewitów wpisano prawo: *oddzieliłem* was od narodów, abyście byli moimi. W konsekwencji postanowiono, aby żaden żyd *mężczyzna* nie wchodził w związek małżeński z kobietą obcą; jest to grzech śmiertelny przeciwko Bogu, i zań śmierć. Jednocześnie rozkazano ówczesnym, którzy pojęli byli nie żydówki, aby porzucili je lub opuścili kraj.

Nehemiasz opasał Jerozolimę wysokimi murami zaopatrzonymi w mocne bramy, zabraniając bezwzględnie wstępu do miasta nie żydom, aby naród „oczyścić od wszystkiego obcego“.

Pewnego dnia, gdy Nowe Przymierze było już gotowe, Ezdrasz zebrał przed świątynią jerozolimską lud i odczytał mu „Zakon Mojżesza“. Słyszając to, lud, jak pisze naiwnie sam Nehemjasz, „płakał“ i rozpaczal“. Pewnie—instynktem czuł, że to płacz na wieki.

Spisano akt notarialny pomiędzy Jehową a *narodem żydowskim*. Wszyscy kapłani i żydzi piśmienni musieli się na akcie podpisać, a nie piśmienni wraz „z żonami i dziećmi“ przysięgli żyć pod Zakonem Bożym, danym przez Mojżesza, sługę Bożego.

W taki sposób niesłychany w historii powstał naród żydowski czczący jedyne Boga, którego jest wyłącznym wybrańcem. I całkiem logicznie, aby usunąć konkurencję, istnienie swe oparł na najściślejszej endogamji w celu utrwalenia rasy i na zasadzie nie dopuszczania do siebie obcej krwi — na aprozelityzmie. Ten system dla *żydów* okazał się skuteczny, gdyż mimo „płacz” i „lament”, ludu, zakutego w kajdany teokratyzmu, nie tylko przetrwali najgwałtowniejsze przewroty dziejowe, ale po paru tysiącach lat zajęli w cywilizacji nowoczesnej stanowisko tak potężne, że mówi się o stuleciu XIX jako o stuleciu żydowskiem.

Jednakże żydzi ze swym Zakonem mogli byli się ostać jedynie w łonie świata chrześcijańskiego. System mógł być utrzymać się na powierzchni dziejów jedynie dzięki zasadzie tolerancji urodzonej przez chrystjanizm. Nigdy pośród walk plemiennych lub państwowych, nie kielzanych przez ideę miłości bliźniego, judaizm żyćby nie mógł. Zawsze znalazłby się Salmanasar, Nabuchodonozor, lub nawet szlachetny dobry Tytus, tępiący ich *bez miłosierdzia*. Żyją nie dzięki twórczym pierwiastkom Zakonu, których ten wcale nie posiada, ale pasorzytują na chrystjanizmie. Pewni jego tolerancji, mogą istnieć jako naród wybrany bez konkurencji i istnieć w poczuciu swej wyższości. Pomyślmy, gdyby zjawilo się jeszcze kilka takich narodów wybranych, czyż w walce bezwzględnej ostałby się choć jeden żyd na świecie? Tajemnicą ich wytrzymałości historycznej wcale nie jest ich rozum, ale tolerancja będąca duszą kultury nowoczesnej.

Rozum jest wtedy tylko oparciem bezwzględnem dla człowieka lub dla narodu, gdy jest twórczy, to jest połączony ściśle z uczuciem religijnem. Uczucie religijne jest wewnętrznym związkiem duszy z Niepoznawalnym, a z dążenia ku Niepoznawalnemu płynie wszystko to, co może

być na serjo uznane za twórczość. W zakonie żydowskim, w tej jego prawno politycznej postaci, jaką mu narzucili Ezechiel, Ezdrasz, Nehemiasz i Wielka Synagoga z VI stulecia przed N. Chr., nie masz nic Niepoznawalnego, nic z uczucia religijnego.

Zakon, jako religja, jest niejako sprzecznością w założeniu: jest religją *historyczną*, czyli zabiciem naturalnego uczucia religijnego. Oczywiście mogą być żydzi w naszym znaczeniu prawdziwie religijni, zdolni do polotów nawet twórczych, ale jeżeli istnieją, to wbrew zakonowi, wbrew jego wpływowi. W zakonie nie ma nic Niepoznawalnego, tego o czem aryjczyk w filozofji, w nauce i sztuce mówi: „ignorabimus“. Zakon, jak uczony jurysta, wie co się obu stronom prawnie należy, Bogu i jego słudze. Paragrafy są wyraźne, co najwyżej można je obejść lub naciągnąć. Zakon wie wszystko na pewno od początku świata, od Genesis aż do sądu ostatecznego. Jest po za symbolem, po za mitem, po za kształtem zmysłowym Niepoznawalnego—sucha abstrakcja. Bóg i nagi szkielet — zwierzę ludzkie z wolą palącą jak samum życia. Doskonała jednostronność i pewność doskonała, cechy prawdziwego i czystego materializmu. Takim jest żyd zakonny w swej postaci wzorowej.

Zakon musiał stać się zatorem dla twórczości. Dalsze samodzielne działanie żydów w dziedzinie myśli oparło się i zamknęło w objaśnianiu i komentowaniu Thory przez rabinów, tej Thory, którą sam Bóg „odczytuje w szabas“.

Mógł był Kopernik obrócić ziemię, obeszło to Rzym, który sto lat temu w r. 1822 zdjął dzieło jego z indeksu ksiązek zakazanych, ale Thora nie raczyła się obejrzeć.

„Kto czytuje pisma eksoteryczne (to jest nie Thorę) naraża na niebezpieczeństwo swoje istnienie w świecie przyszłym“.

„Kto hoduje świnie i uczy syna wiedzy greckiej, jednakowo godzien potępienia“.

Jako wyraz impotencji umysłu żydowskiego po Nowem Przymierzu, jako dalszy ciąg Thory, gdzie są przecież liczne i godne szacunku świadectwa bytowania izraelskiego, powstały Miszny, czyli nauki pisarzy i doktorów i Gemary, czyli komentarze wyjaśniaczków, co razem stanowi znany oświeconym Europejczykom jedynie z nazwy Talmud. Jeżeli Thora jest „wodą“, to Miszna jest „winem“ według smaku prawowiernych. Są dwa Talmudy: jerozolimski i babiloński, nie różniący się co do swoich Misznajot, ale w Gemarach. Obydwa Talmudy przetłumaczył na niemiecki pod kontrolą dwóch rabinów A. Wünsche. Przypuszczają, że tłumaczenia Talmudu nie są pełne, nie dla tego, aby naród wybrany miał się czegokolwiek wstydić, on rumieńca nie zna, ale, że nie politycznie byłoby wyjawiać ustępy, godzące wprost w artykuły wiary i sakramenty chrześcijańskie.

Talmud jest zupełnie szczerą emanacją duszy żydowskiej. Autorzy piszący tak myśleli i tak czuli, bez żadnej reszty, zgoła bez powątpiewania lub zatajenia. Pod tym względem jest to utwór jeden z najuczciwszych na świecie. Lecz z punktu widzenia intelektualizmu Talmud jest świadectwem przerażającego ubóstwa myśli. Asyryjczycy mieli skrzydlate byki, egipcjanie — sfinksa, brahmini — tajemnicze Trimurti, świat nowy uskrzydłone demony, zakon żydowski — nic, nawet miejsca dla skrzydeł. A jeżeli wydał nawet takich ludzi jak Spinoza lub Heine, to spójrzmy na nich głębiej. Heine swoje świetne liryki kończy szyderskiem błazeństwem, a Spinoza twórca materializmu w najczystszej formie, jedyny może w filozofii konsekwentny materialista, nie ma ani jednego punktu styczności z duszą aryjską, nie rozumie jej.



Więc cóż ma czynić gorąca namiętna wola semity, mieszcząca się w ciele żydów (bynajmniej nie wszystkich), pozbawiona skrzydeł rozumu twórczego?

Nie podda się bo mocna. Będzie pożerała, karmiła się umysłem cudzym.

Musi być pasorzytem twórczości obcej. Na niej zerować, obniżyć ją ciężarem własnej przyziemności i razem z nią zginać. To jest jej droga, nie przeczę, tułacza.

Tak jak tolerancja i idealizm świata chrześcijańskiego umożliwiała i umożliwiała narodowi wybranemu i samo istnienie fizyczne, (zwróćmy uwagę, że Europa materialistyczna konsekwentnie musiałaby żydów wytępić), tak samo uczestnictwo ich w owocach cywilizacji, do której nie przyłożyli ręki twórczej, umożliwia im istnienie cywilizowane. Są przeto podwójnymi pasorzytami i na kulturze i na cywilizacji. Co wezmą od nas ewangelicznie, to przerobią na talmudyczne. Gdyby biorąc od nas skrzydła, sami je przypinali sobie, o tego byśmy chcieli! nie byłibyśmy zawistni, nie jesteśmy narodem wybranym!

Ale oni słabym odejmują skrzydła, a sami, nie zdolni ich użyć, rzucają je do Gehenny. Bo marność nad marnościami i wszystko marność...

Czy widział kto kiedykolwiek gromadę żydów kolonistów, zapuszczających się w dziewicze kraje z siekierą w dłoni i usiłujących wytworzyć sami sobie pełnię życia? Wszystkie narody rozsiały swoich po obszarach świata, przez bujną energję i wiarę powstawały nowe cywilizacje. Żydom obiecują Palestynę, czy budzi to w nich entuzjazm twórczy? Nie, łatwiej im znieść nawet bezprawie, niż nagiąć się do obowiązku tworzenia.

Oni idą na gotowe, na *gotówkę*. Przytaczam ustęp Talmudu:

„Kto posiada sto złotych w kieszeni, ten może codziennie jadać mięso i pić wino. Kto zaś wkłada sto

złoty w uprawę ziemi ten musi jeść trawę i kapustę, a przytem kopać ziemię, czuwać nieustannie i do tego robić sobie nieprzyjaciół. Ale my jesteśmy tak stworzeni, że mamy obowiązek służenia Bogu, czyż nie jest słuszne, abyśmy mogli wyżywiać się, bez bólu?" Mogą być żydzi z instynktami syryjskimi, zdolni do roboty polnej, ale trzeba im zdjąć jarzmo zakonu potwornie nienaturalnego i wrogiego cywilizacji.

Oni idą na gotówkę. Umysł ich, zaprawiony do martwej abstrakcji, chciwie chwyta abstrakcję siły materialnej, t. j. pieniądza. Za gotówkę można dostać wszystkiego. Kto ją ma, ten panuje bezwzględnie, jeżeli jego Bóg jest bezwzględny. Związanie żyda z pieniądzem datuje się od czasów, gdy powstał. Ziemia ojczysta jest nieruchoma, więc panuje tylko u siebie. Pieniądz jest ruchomy więc panuje wszędzie. Tam gdzie pieniądz najłatwiejszy, tam ojczyzna. Logicznie.

Niechaj nikt nie kompromituje się rozsiewaniem fałszu, że żydzi stali się specjalnie handlarzami pieniędzy wskutek niewoli. Zakon powstał ku obronie narodu od zguby, to prawda. Ale powstał na tle wrodzonej skłonności, rozwiniętych przez specjalne wewnętrzne ograniczenia—do doskonałości.

Nie trzeba długo szukać u proroków, aby znaleźć liczne gromy słów, walące w lichwiarzów. Jedna z największych gróźb, jakie obiecuje Jehowa za nieposłuszeństwo sobie brzmi: „bo nie będziesz pożyczzał cudzoziemcowi“. A w księdze Tobiasza anioł z nieba wysłany jest po pieniądze, odebrać je z kraju cudzoziemskiego, gdzie leżały na składanym procencie“.

Mimo polityczne rozproszenie żydzi, połączeni silnie przez Thorę i czuwającą nad zakonem teokrację, w okresie upadku starego Rzymu i wędrówki narodów, znaleźli się w położeniu arcywygodnem. Byli jedyną silną orga-

nizacją w nowym porządku Europy, który się dopiero utrwalał i do dzisiaj jeszcze utrwała w niesłychanie ciężkich warunkach. Pośród walk chaosu oni jedni byli ładem i elementem, świadomym celu.

Przeciwko nim mogły być stanąć dwie organizacje: duchowna i świecka, Kościół i Państwo.

Kościół katolicki, o ile występował w właściwym swoim charakterze, to jest jako władza duchowna, zawsze działał przeciwko żydom w roli obrońcy ludu. Wrogo, ale tolerancyjnie, to znaczy w tym razie jednomyślnie z Voltaiem: „Cependant il ne faut pas les bruler;“ palił nietolerancyjnie na stosach wyznawców swoich, rodzinę własną, hereetyków, odszczepieńców i wolnomyślicieli, ale krwawych nocy żydowskich nie improwizował.

Ale Kościół katolicki, do XVI stulecia cywilizator Europy, był wtedy organizacją duchowo-świecką, dwuramienną, a jego lewica „*bracchium saeculare*“ kłóciła się często z prawicą. Wszystkie państwa wtedy potrzebowały żydów, jako dostarczycieli gotówki, więc oszczędzały ich. Papieże nieraz pożyczali od nich pieniądze, a Inocenty III dopuścił ich nawet do urzędów dworskich.

Kościół wzmocnił się na terenie Europy nowoczesnej wcześniej niżeli państwa, a słabość organizacji państwowych, bądź feudalnych, bądź monarchiczno despotycznych od głębokiego średniowiecza do dziś dnia, protegowała i proteguje żydów.

Szlachta wizygocka czy burgundzka, baronowie normandzcy, królowie, walczą o jednowładztwo, wszystkie elementy górne i rządzące opiekowały się swymi dostarczycielami pieniędzy zwykle wbrew interesom ludu. Pogardzani dla religji, żydzi zdobywali zawsze polityczne przywileje, które zawsze przez nadużycia i pożerające nieumiarkowanie chwilowo tracili, aby je na nowo odzyskać.

Ich wszechświatową kopalnią złota była lichwa i handel niewolnikami.

Ciekawy jest fragment dziejów wyspy Cypru z II stulecia. Korzystając z przewagi liczebnej urządzili noc cypryjską z wymordowaniem 240000 tubylców, a w dalszym ciągu przygotowali sobie kolonie nad morzem śródziemnym, miasto Cyrenę, gdzie wybili 220000 mieszkańców nie żydów. Oczywiście państwo to było efemerydą i znikło również szybko jak powstało — przez nieprodukcyjność.

W państwie Karola Wielkiego ogarnęli całą finansowość, a prócz przywilejów handlowych i sądowych, uzyskali przeniesienie jarmarków z soboty na niedzielę.

Obszerne i długotrwałe gospodarstwo rozpostarli w Hiszpanji. Ostatni królowie wizygotcy dopuścili ich do władzy. Żydzi zdradzili ich i wydali maurom. Osiedlili się na kalifach Grenady i zdradzili ich na korzyść hiszpanów. Ujęli w ręce całe bogactwo Hiszpanji, urzędy od sekretarjatu stanu do zarządctwa finansami, doszło to tego, że w Aragonji w miastach stanowili większość ludności. Gdyby ktoś szukał zrozumienia migawkowego blasku Hiszpanji i jej szybkiego głębokiego upadku, musiałby zajrzeć bacznie do tamecznej historii żydów.

Anglia X, XI, XII stulecia, znalazła się w ręku lichwiarzy, żydów. Cała posiadłość szlachecka była zastawem. Wihelm Zdobywca w kłopotach pieniężnych wykupywał od żydów weksle szlacheckie, oczywiście po cenie niższej lub nawet wprost konfiskował i niemiłosiernie egzekwował. Zato nadawał żydom szerokie przywileje, aby mogli odbijać na ludzie. Jak pisze Cunningham była to jedna wielka gąbka wysysająca kraj, i tamująca rozwój ekonomiczny.

W Austrii chrześcijańscy Habsburgowie nadali żydom przywilej przysięgi. W sprawach pieniężnych sąd dawał wiarę przysiędze żyda, przysięga chrześcianina nie miała

wałtości Przywilej taki istniał i w Polsce. Jednakże w Polsce nie było ani feudalizmu, ani absolutyzmu monarchicznego, więc choć i u nas zawsze byli „podskarbiowie narodu“, uprzywilejowanie żydów nie szło tak daleko, jak w Europie zachodniej. Dopiero w okresie upadku, od Wazów do rozbiorów, nastąpiło bliższe „zkuźynowanie“ się pieniężne szlachcica z żydem, co miało w skutku zalanie miast i miasteczek przez żywiół żydowski, w dalszym zaś ciągu obecny stan rzeczy.

W dziejach nowoczesnych, od upadku starego Rzymu po dziś dzień, jawi się stały fakt: *double alliance*, polityczne przymierze monarchów z żydami i *double alliance* obyczajowe szlachty z żydami na zasadzie „do ut des“ i wzajemnej pogardy. Państwo używa żydów do wzmocnienia organizacji, szlachta do opłacania osobistych namiętności. Z odmienności celów wynikają całkiem różne perspektywy stosunku na przyszłość.

Wewnętrzne wzmocnienie państwa staje się niechybną groźbą dla żydów, jak każda silna organizacja odrzucająca sposobem porządkowym obce żywioly. Mocne państwa współczesne koniecznie opierają się na nacjonalizacji ludu, to jest na jego współudziale w rządach. Szerokie masy, dotąd opłacające *double alliance* autokracji z żydami, nie pójda przeciw samym sobie, lecz same chcą objąć gospodarstwo pieniężne i zbywają się pośrednictwa żydowskiego. Wojny zaborcze zawsze pożyły. Napoleon pożyczał od żydów, Metternich i Hardenberg opłacali swój kongres wiedeński pieniędzmi Rothschilda, który powstał był z Waterloo (*Belle Alliance*), tak jak jego potomek wraz z Bleichröderem finansowali pokój 1871 r. i Komunę Paryską. Wielkie przewroty ustrojów społecznych również pożyły. Mirabeau po uszy w długach żydowskich i Talleyrand, szermujący o m

cypację żydów, czynili to z uczciwości „humanistycznej“, oddawali co wzięli i z dobrymi procentami.

Ale naród, gdy już wyszedł na arenę i ma siłę, nie pragnie ani wojen zaborczych, ani przewrotów i nie chce na nie pożyczać. Narody aryjskie dążą do pracy twórczej, a nie zabraknie im ku temu ani zdolności ani ideałów. Jednakże muszą się wyzwolić z procentów żydowskich. To są prawdziwe *lettres de cachet* i Bastylje, niemożliwe do zdobycia jednym szturmem, jednym wyłamaniem bram, ale szeregiem nieprzerwanych i licznych, długich usiłowań. Naród zorganizowany w państwo, wytwór 2000 lat kultury chrześcijańskiej, jest wielką groźbą dla żydów, groźbą całkiem nowoczesną i dodajmy, powstał, co jest ironją dziejową, trochę przy pomocy pieniędzy żydowskich. Taka wielka rewolucja francuzka mocno popychana przez żydów i początkowo woda na ich młyn, w dalszym skutku uniemożliwi stanowisko narodu wybranego, dlatego tak kochają imperjalizm teutonów. Żadna ich polityka nie może się udać na dalszą metę, gdyż brak im trwałego do niej gruntu — ograniczenia ślepej woli semickiej.

Przymierze feudalno szlacheckie z pieniądzem żydowskim w stuleciu XIX nie tylko nie zostało zerwane, ale przypieczętowane, a do tego otrzymało nazwisko firmowe: *kapitalizm*. Tą spółką, w której synowie i córki firmowe coraz częściej wchodzą z sobą w związki małżeńskie, w razach, gdy żydzi uznają to za pożyteczne, rządzi prężnie duch żydowski i z niej to, mimo przyzwoite pozory, rodzi się główna opozycja przeciwko chrystjanizmowi i przeciwko narodowi. Rzecz prosta, nie uderzam tutaj na kapitał w ogóle, który jest wielką potęgą cywilizacyjną, ale jedynie w ręku ludzi, których głowy umieją się z nim ochodzić. A wiek XIX zbyt troszczył się o maszynę, aby miał czas na wychowanie głów.

Przeto żydzi w wieku XX znaleźli się w obec dwóch potężnych organizacji: Kościoła chrześcijańskiego i państw narodowych, grożących Zakonowi zagładą. Podjęli z nimi walkę całą wolą swoją, stosując wszelkie środki wytworzone przez współczesną cywilizację, które zasymilowali, nie przyczyniwszy się do nich wcale dobrą intencją. Ku temu inteligencja ich, mózg szybki i żarłoczny wystarczy. Komunikacja kolejowa, telegraficzna, telefoniczna, książka, gazeta, wszystkie nadzwyczajne środki do rozpowszechniania potrzebnych idei i agitacji wzięli do rozporządzenia. Niema na świecie człowieka równie zdolnego do namiętnej ślepej agitacji, jak żyd. Pod tym względem wola jego posiada wytrzymałość i nieugiętość żelaza. Widywałem żydów stojących na miejscu po kilkanaście godzin i powtarzających jak pacierz jedną i tę samą formułę agitacyjną. Dzięki temu—*gutta cavat lapidem*—ich działalność *wmawiania* i kierowania wolą innych jest potężna.

*Książka i gazeta* dopiero w naszych czasach przy łatwych komunikacjach, zyskały pierwszorzędnny wpływ na opinię publiczną. Tak samo, jak największe wynalazki uczonych mogą działać przeciw ludzkości, jeżeli opanuje je despotyzm w takiej lub innej postaci, i myśl drukowana, nabierająca ogniowej, zapalającej siły, może stać się narzędziem obskurantyzmu. Czegóż się można spodziewać od księgarza lub dziennikarza, jeżeli kierują nimi umysły talmudyczne? Bo żydzi w Europie zorjentowali się pierwsi w handlu myślą. Zyskali przemożny wpływ pieniężny na księgarstwo i publicystykę, jeżeli nie jako widoczni szefowie interesu, to jako kierownicy ukryci. Książka, która chociażby w najspokojniejszym obronnym tonie rozpatrywała żydów nie jako naród pokrzywdzony i prześladowany, podlegałaby, albo inkwizycji schowania na półkach księgarskich, albo inkwizycji oszczerstwa przez krytykę.

Epokowe dzieła np. (klasyczny przykład) książki Artura Schopenhauera nie były ani tłómaczone, ani reklamowane, natomiast wszelką tandetę, ukazującą się na *giełdzie* myśli, byle pisaną w tak zwanym generalnym sosie „humanistycznym“, wydmuchiwał wrzask trąb jerychońskich. Kto sam nie dotknął się tej niewoli, temu trudno uwierzyć w rzeczoną duchową maffię naszych czasów. Sam nie mogłem drukować jednego z swoich pism w dużej firmie polskiej, rzeczywicie nie żydowskiej, bowiem lękała się zepsuć stosunków z księgarniami i dziennikami zależnymi od żydów.

Nie ma rodu bez smrodu, mówi przysłowie, nie ma epoki bez hańby. Hańbą naszej epoki jest obskurantyzm filo-żydowski, ubrany w powłóczyście senatorskie szaty humanizmu. Mimo wynalazki radium, telegrafu bez drutu, nadzwyczajnych operacji chirurgicznych na ciele ludzkim, nie ma się dla tej epoki rzeczywistego szacunku. Wcale nie najgorsze sumienia, pogrążone w rozpacz, wydały współczesny *anarchizm*, pogardę dla otoczenia.

Agitacje słowem drukowanem żydzi prowadzą głównie przez najemników. Tak czynili zawsze semici. Hanibal dokonywał kupieckich planów zaborczych Kartaginy armją najemników afrykańskich, Jerozolimy bronili od Nabuchodonozora najemnicy, wodzami w wojnach niepodległościowych Judei, duszą powstańców byli przeważnie galilejczycy. (Galilea po hebrajsku kraj pogan). Podobnie i dzisiaj w imieniu żydów działają najemnicy pisarze z obcych: bądź wprost opłaceni, bądź zahypnotyzowani wołą żydowską: *tak ma być*, simplices servi Judaeorum, którzy mogą wejść do królestwa niebieskiego, albowiem nie wiedzą, co czynią. „Jeżeli rabbi powiedział ci na prawo, że to lewo, jest to lewo; jeżeli powiedział ci na lewo, że to prawo, jest to prawo“ pisze Talmud.



Najmowanie obcych jest niemal koniecznością. Rodowici żydzi, z powodu organicznego braku polotu twórczego, nie mogą szermować własną inteligencją. Cokolwiek bądź można myśleć o talencie Heinego lub Anatola France'a, dla aryjczyka, skupionego, w ich utworach, jest zawsze coś poziomego i coś śmiesznego, jak gdyby skakanie w śmiertelnej koszuli do księżycy. A zwyczajni słudzy Jehowy, biorący się do pióra, za naiwnie objawiają ubóstwo swej duszy, aby mogli trafić do aryjskiego ogółu. Najemnik aryjski łatwiej trafi do swoich i dzięki pokrewieństwu lepiej będzie przyjęty. Stosują także i półśrodkki. Niektórzy o wyraźnem nazwisku żydowskiem przybierają pseudonim aryjski, jak ów wilk w czerwonym kapturku, kładący się do łóżka aryjskiej babuli.

W nieubłaganej walce zakonu, nie Mojżeszowego, jak widzieliśmy, lecz Ezechjelowego, z kościołem i narodem, to jest z chrystjanizmem i patryjotyzmem aryjskim, zakon znalazł głównego i potężnego sprzymierzeńca w prądzie antireligijnym, który zapanował w Europie jako reakcja przeciwko wojującemu stanowisku teokracji kościelnej i do dzisiaj wyraża się w fakcie antagonizmu religji i nauki. To jakby walka dwóch braci Eteoklesa i Polinika, którzy się nie poznali. Dawniej religia usiłowała zabić naukę i nie zabiła. Dzisiaj nauka chce zabić religię i również nie zabije. Tymczasem wzajemnie puszczają sobie krew. Zakon interesem i instynktem staje po stronie obskurantyzmu t. j. tej nauki, dla której nie masz Niepoznawalnego, zatem nie masz i uczucia religijnego. Zakon również wie wszystko na pewno z tą różnicą, że ani uczucie religijne, ani nauka oderwana nic go nie obchodzą. On ma swój gotowy kontrakt: otrzyma wszystko gotowe, o ile zasłuży przed Panem. Materjalizm filozoficzny w nauce i materjalizm żydowski w życiu, idą pod rękę jak bracia — tylko, że praktyczny Juda sprzeda

bujającego Józefa, gdyż ta idea jest *jego* niezaprzeczoną własnością, włada nią jak nikt inny, jest u siebie w domu.

Więc nic dziwnego, że panowie profesorowie uniwersytetów, zapatrzeni w materję, sami stali się materją żydowską, mimo, że sami odczuwają się jako „nadludzie“. Ilekroć żydzi zwracali się do nich o pomoc w propagandzie, rzadko im autorytetu „humanistycznego“ odmówiono. Humanizm! Cóż obchodzi tych panów Giordano Bruno i jego walka z „bestją triumfante“.

Ileż wynioślejsz, że nie powiem uczciwiejsz, wygląda ten żyd, robiący interes dla swego zakonu, w imię swej bezkrwistej abstrakcji, jednakże—idei, wobec takiego wygodnego nadczłowieka, takiego bałwana materji!

Żydzi nie potrzebowali nawet w tym kierunku wiele agitować. Szło im pod rękę samo. Pilnowali jedynie, aby w piśmiennictwie nie było herezji, odszczepieństw i buntu. Na początku XX stulecia skutek był widoczny i aż nadto pomyślny. Słowo przeciwko żydowi było zbrodnią przeciwko „ludzkości“.

Opinji żydowskiej wmówiono interes żydowski, jak z przed paru tysięcy laty na rynku jerozolimskim wmówiono ludowi sfalszowany Stary Testament. Wtedy lud „płakał“. Nasz nie tyle płacze, ile płaci... pieniędzmi i krwią.

Wojująca nauka współczesna, scientia militans, w swem nieporozumieniu z uczuciem chrześcijańskim, wzniciła walki nacjonalistyczne i socjalne. I pierwsze i drugie są koniecznością dziejową i żadna filozofia ani nauka nie może im zapobiedz, ale mogą im nadać idee kierownicze wyższe lub niższe, niklejsze lub trwalsze. Wojująca nauka narzuciła swój charakter obydwu ideom naczelnym współczesnym, nacjonalizmowi i socjalizmowi. Obie stały się nie twórcze, ale zaborcze i pożerające. Nacjonalizm niemiecki w interpretacji Bismarcka et Cò i socjalizm nie-

miecki z podstawami naukowemi Marksa, przeciwstawiający nie ideę pracy—próżniactwu, lecz proletarjat—narodowi, z istoty swej noszą charakter wojujący, zaborczy, mimo masek humanitarnych, jakimi usiłują zakryć twarz. Są to rodzeni, choć niby pokłóceni bracia, dziedzicznie nienawidzący idei wolności i każdej chwili mogący pogodzić się przy wspólnej stypie zaborczej—w państwie imperialistycznym. Socjalizm niemiecki poszedł na wojnę zaborczą wraz z nacjonalizmem i dopóki „proletarjusz“ niemiecki wierzył w nowy Sedan dla Francji, dopóty pieścił się myślą powiększenia swych kapitalików na koszt proletarjuszów innych krajów. Operari sequitur esse, jak zawsze.

Żydzi zajęli stanowisko przychylne i wobec wojującego kapitalizmu i wobec wojującego socjalizmu. Wogóle chodzi im o to aby zabierać, a teorie zaborcze porywają ich zawsze niekiedy nawet wbrew własnej korzyści. Nie znoszą równowagi naturalnego rozwoju i z nią walczą. Widzimy ich zawsze u krańców. W Niemczech występują bądź jako narodowo-liberalni, militaryści i przywódcy wszelkiej hakaty, bądź jako inspiratorzy i ideolodzy proletarjackiego socjalizmu. Tak samo i w Polsce: albo podniecają do wściekliwości nacjonalnej i nierozsądnych kroków politycznych, albo werbują do międzynarodówki.

Gdzie chodzi o twórczą uprawę narodu, tam przeszkadzają i nie tylko celowo, jako organizacja żydowska, ale z temperamentu i z gatuntu umysłowości. Nie podaję w wątpliwość, w razach wyjątkowych, nawet dobrej wiary w działaniach żydów na obcym gruncie, ale odmawiam im kompetencji w akcji kulturalnej społeczeństw chrześcijańskich. Nie mogą dać więcej niż mają, a to, co mają i dać mogą, jest sprzeczne z samym korzeniem istotnego humanizmu. Można dla świętego spokoju zamykać na to oczy, lecz z tego kwietyzmu wyrosną zawsze, jak wyrastały, złe chwasty.

Kampanja żydów przeciwko narodowi pojmowanemu jako dom pracy twórczej na zasadzie indywidualności psychiki plemiennie-histerycznej, prowadzona jest wytrwale i namiętnie. W rzeczy samej, nacjonalizm humanistyczny, oparty na idei pracy, jest dla ludu wybranego, dla ludzi „z Bożej łaski“ mieczem Damoklesa. Może im odebrać najwyższą i jedyną potęgę—pieniądz. Wyrwać najobfitsze źródło robienia pieniędzy: handel niewolnikami, którym trudnią się od paru tysięcy lat i trudnią do dziś dnia. Bo czemże jest współczesna forma kapitalizmu, jeżeli nie niewolnictwem? A przecież jest to emanacja ducha żydowskiego, zaszczipiona na wielkich zasobach cywilizacyjnych Europy.

Rozumiemy ich rozpaczliwą walkę—chodzi tu o okopy Jeruzalem, i nie o realnie umiłowaną ziemię przodków, lecz o samego opiekuna Jehowę—przeciwko wyzwoleniu ludu-niewolników w wolne chrześcijańskie narody. Więc jeżeli nie udaje się oderwać tych biednych aryjczyków z ich niedorzecznym idealizmem od ich wiary słonecznej, od ziemi i od natury, jeżeli nic im nie zrobią „żelazne“ prawa Marksa, to—pchnąć narody, obywatelski nacjonalizm w inny żelazny uścisk, w objęcia imperjalizmu. Marks i Bismarck, to to samo. Cezar i proletarjat, bo wtedy panowanie ludu wybranego zapewnione. W republice rzymskiej, gdy była zdrowa, nie zaborcza i obsługiwana nie przez militarizm a przez obywateli, żyd nie miał głosu. Później w okresie imperjalistycznym było inaczej. Cyvero mówi głośno, bardzo głośno przeciwko Katylini, ale „po cichu“ przeciwko żydom. Rozpoczął się handel niewolnikami i dostawa słowiczycy języków do pałaców.

Lecz płonne te marzenia żydowskie w stulecie Młodzieniec, który podpisywał weksle nie patrząc, co tam wpisane, dorasta. Nie oczytalność się kończy. Zakon żydowski musi uleść i rozplynać się w silniejszych, zdrow-

szych organizacjach. Nie pomagają ani maski, ani intrygi, ani prowokacje, ani zasada *divide et impera*. Uczucie religijne, bo to przedewszystkiem ono, a nie strzały sceptyzmu, załatwiło się z despotyzmem hierokracji chrześcijańskiej, ono to Chrystusowe, Zoroastrowe, Wedyjskie słońce rozproszy czarnego ducha zakonu, zagłuszy lament beznadziejnej żałoby.

Godną zastanowienia myśl napisał Mojżesz Mendelssohn: „bądźcie naprawdę chrześcianami, a porozumiemy się z sobą“. Jest to mądra, głęboka i jedyna rada, jak gdyby wyciągnięta od wielkich proroków Izraela.

Tylko niechodź tu o „porozumienie“. Żyd, jakim jest dziś, wytwór parotysiącletni zakonu, nie może być w naszym poczuciu *duchowo* równouprawniony. Natura jego nie znosi równości: albo ulega sile, albo panuje, nadużywając siły. Ma silny impet do walki zbiorowej, nie czuje potrzeby harmonji zbiorowej, rytmu szeregów składnych. Dość spojrzeć na sanktuarjum duszy żydowskiej, na giełdę, gdzie lepszy wyraz chaosu? Żyd działa sam, z współnikiem lub ze współnikami, ale nie z towarzyszem lub z towarzyszami. Zna współinteres, nie zna współdziałania. Gdzież możliwość *porozumienia trwałego*, będącego warunkiem rozwoju?

Żyd, bez sposobów Salmanasara, może uleść jedynie wyższości ideału chrześcijańskiego. Żle powiedziałem, nie ideału, on tego wyrazu nie rozumie, on go nigdy nie „widział“, ale wyższości życiowej chrześcian, wśród których mieszka, a nad niechrześcijańskością których dotychczas panował. Mendelssohn ma rację. Żyd musi być rządzony nie przez rabinów, ale przez prawdziwych chrześcian wtedy... może... kiedyś... wsiąknie w naszą kulturę, zatracając cechy niebezpiecznego pasorzyta. Samo życie ma wyjaśniać jego *niższość*.



OBRONA.

<http://rcin.org.pl>





## SAMA IDEA.

Są ludzie, chorzy na ciężką chorobę chroniczną np. na przymiot, ukrywający z obawy symptomy przed lekarzem. Bywają cierpiący duchowo, którzy okłamują własną świadomość. I jedni i drudzy zbliżają się ku niebezpieczeństwu, zamiast się odeń oddalać. Zamykają oczy, i ślepo idąc naprzód, oddają się na łup przypadkowi.

Tak się ma w znacznej mierze z współczesną sprawą polską. Lud posiada instynkt narodowy, może najczystszy, ale nie dorósł do idei. Inteligencja ma mu dostarczyć idei. Od gatunku idei przewodniej zależy przyszłość narodu.

Na historii żydów widzieliśmy efekt idei, tego naczelnego wodza na placu boju, wodza nieśmiertelnego w stosunku do żywota wielu pokoleń. Idei tej trzeba bezwzględnie słuchać, iść za jej rozkazem pod grozą *piekła*, które się widzi. Ale trzeba to piekło dojrzeć, wczuć się w rzeczywistość. Ztąd rozumiemy, że wszelkie umykanie od rzeczywistości, trwoga przed nią, sprzyja, jeżeli nie destrukcji idei, to w każdym razie nieskuteczności działania.

Nasza rzeczywistość, której żaden, ale to żaden Polak z czterdziestu czterech partij wszystkich zaborów nie może nie dostrzedz, o ile nie *chce* zamknąć oczu dla wy-

gody swej doktryny, swego marzenia lub swej kieszeni, jest taka: z zachodu blisko sto milionów Niemców, od wschodu przeszło sto milionów Rosjan, w środku, w samym domu polskim, trzy miliony Żydów, a terytorjum nasze nie posiada prawie żadnych naturalnych granic. Przypuszczając nawet zjednoczenie ziem rozebranych, będziemy ściśnięci z każdej strony przez co najmniej pięćkroć liczniejszych obcych, przez dziesięćkroć — jeżeli będą we wzajemnem przeciwko nam porozumieniu, nie mówiąc o wewnętrznem cierpieniu żydowskiem. A wszyscy ci obcy, z którymi *musimy* mieć nolens volens do czynienia, należą do narodów ostrozaborczych. Taka jest nasza rzeczywistość, z wyjątkiem części żydowskiej, na przyszłość niezmienna.

Jakaż idea pierwsza i naturalna wylania się z pod ciężaru tej niezmiennej rzeczywistości? Idea *obrony*. Tak, nabiera ona powszechności związku stałego pomiędzy nami wszystkimi, wkracza na poziom uczucia religijnego. Jest najogólniejszą, a wszystkie inne idee są do niej w stosunku szczegółowym i muszą się jej podporządkować. Dopóki to się nie stanie realnie, twierdzą, że Polacy się jeszcze naprawdę nie bronią, bowiem nie mieli odwagi zobaczenia rzeczywistości i poddania się dyktaturze idei obrony.

Czyż nie chodzi tu tylko o wyraz? Czyż nie wszystko jedno powiedzieć: „obrona“ lub „wyzwolenie“, „odbudowanie“, „zbawienie“ i t. d. — wszak tyle mieliśmy hasłowych poczuć? Otóż nie. Zobaczymy zaraz, że idea obrony mieści w sobie wszystko to, co jest treścią wszystkich innych, a prócz tego zawiera ważny pierwiastek własny. Ten pierwiastek zawdzięcza swojemu bezpośredniemu związkowi z rzeczywistością. Jako idea w znaczeniu jakie przydał temu pojęciu twórca jego Platon, jest najbardziej

aktywna, gdyż zawiera najmniej wymyślenia i najmniej marzenia.

Otóż idea obrony przed grożącym zawsze od obcych niebezpieczeństwem, niesie z sobą konieczność *natychmiastowego i nieprzerwanego działania*, niszczy w korzeniu wszelki kwietyzm i wnosi do duszy ciągłość twórczego niepokoju. Jest krzykiem doraźnej potrzeby, nie może być odkładana, musi być załatwiana natychmiast, tak jak można, o ile starczy sił. Słowem idea obrony jest żywa nie przez pragnienie, ale przez czyn. Mamy tu do czynienia z naturalnym przymusem, naturalną karnością i ładem, a pod jej opiekuńczym promieniem, wolniej czy prędzej, ale życie rośnie.

Ma pęd żywiołowy i nieograniczony siebie samej, bowiem jest aktem woli, lecz woli świadomej, która sama siebie ogranicza właśnie przez czucie z rzeczywistością, z źródłem życia. Idea obrony natężonym zmysłem ogląda się na cztery strony horyzontu, zaostrza wzrok, dodaje jasnowidzenia i jasnosłyszenia, zyskuje niechybność skutku i *pewność sięgu*.

Z przeszłością, z historją narodu, jest w związku *tonicznym*. Nie zastanawia się nad nią rozumem, gdyż z zaplątanego szeregu zdarzeń ani pewności, ani realności dla swego czynu współczesnego nie wyciągnie. Ale upaja się czystą melodją, odwieczną pieśnią narodu, samą treścią dziejów. Albowiem ta muzyka jest główną podstawą jej samej, „idei obrony“. Pocóż miałby się bronić gatunek, gdyby nie drżał w głębokiem wzruszeniu na własny ton. Wtedy przestałby już być gatunkiem... i powiedzmy: tak samo jak muzyka jest matematyką uczucia, podobnie i ton historyczno plemienny jest jedynym nieomylnym, matematycznym pierwiastkiem wszelkiej idei narodowej. Wszystko inne podlega poprawkom.

Wobec przyszłości idea obrony zajmuje stano-

wisko *plastyczne*, budowania nowych kształtów z materiału rzeczywistości. Nie może zatrzymywać się dłużej przy przyszłości tak samo, jak nie czyni tego z przeszłością, ona cała działa dla terażniejszości, która chce czy nie chce, jest fundamentem przyszłości. Działa napewno z widomem i z wiadomem, a w takich warunkach są wszelkie szanse, że robota może być dobrze wykonana przez murarłów skupionych, nie zapatrzonych ani naprzód, ani wstecz. Jasnowidzenie idei obrony jest jasnopatrzeniem, jak rzekłem wyżej, pewnością sięgu. Nie widzi tego, czego nie dojrzała. Wie o tem, że obroni to czego obronić chce, że swej plastyce nada ton, ale kiedy i w jaki szczegółowy sposób to się stanie, tego nie przepowie, bo niechce osłabiać samej siebie kłamstwem.

Względem obcych idea obrony zachowuje się *powściągliwie i badawczo*, w dążeniu do ich poznania. Ponieważ stanowczym wrogiem poznania jest afektacja, rozściąga kontrolę nad uczuciami sympatji lub antypatji, co się nazywa *polityką*. Pewność, że od zewnątrz żadna pomoc celowa narodowi nie przyjdzie, chyba pomoc wypadku, z którego trzeba korzystać jak z przejściowego światła, nadaje tej polityce trwały grunt psychiczny. Wyrazu „zbawienie“ nie rozumie. Zbawienie odnosi się do jednostki nie do zbiorowości.

Idea obrony ma swój punkt ciężkości nie w przeszłości ani w przyszłości, ale w *teraźniejszości*. Stan psychiczny jaki wytwarza, nazywa się *skupieniem*. Intuicja i myśl łączą się w jedno ognisko, w silną *wolę*. Ze skupienia płynie poczucie *odpowiedzialności* narodowej w razie nie udania się, poczucie, którego tak bardzo brakowało wielu naszym patryjotom rwącym się do polityki. Tylko głębia skupienia trzyma na wodzy niewymierzone przedsięwzięcie. Mierz siły na zamiary, ale mierz — bo odpowiedzialność w razie nie udania się! Niechaj serce czuwa nad sercem

poryw nad porywem. „Chciałem dobrze“ przestaje być wymówką i usprawiedliwieniem.

W taki sposób, krótkimi słowy, rozumiem ideę obrony i potrzebę jej dyktatury na wszystkich ziemiach polskich. Narzuca się konieczność rozpatrzenia innych idei, które dotąd nami kierowały.

Dwa pragnienia były w ciągłym biegu i na ustach: Odbudowanie i Wyzwolenie, pierwsze, jak wynika z brzmienia, pojęcie bardziej polityczne, drugie bardziej psychiczne. Bez żadnej wątpliwości dążą do tego samego, co i Obrona. Ale z innych punktów wyjścia, a pamiętajmy, że nie cel, choćby najwznioślejszy, ale trafny punkt wyjścia rozstrzyga o realizacji. Jeżeli zrobimy fałszywe założenie, na nic dalsza loika, zajdziemy na manowce.

„Odbudowanie“ opiera się głównie na prawach historycznych narodu polskiego. Byliśmy wielkim i nawet, epokami, lepiej ponad współczesność urządzonej państwowości, więc należy przeszłość odbudować. Słusznie, ce jedyne, ale chodzi o to, że tutaj usposobienie psychiczne ma swój punkt działania na terytorjum przeszłości, czyli jesteśmy wobec równowagi niestałej. Wyobraźmy sobie człowieka, który *musi* iść naprzód z odwróconą w tył twarzą. Obok niego idą inni, obcy, z oczyma patrzącymi przed siebie. Ci nie tylko wyprzedzą, ale tamten będzie się ustawicznie potykał, tembardziej, że współwędrowcy nie omieszkają podzierać mu pod nogi kamieni. Człowiek z takim chodem nie widzi, nie może się skutecznie bronić. Nie liczy się z terażniejszością, a ta również się z nim nie liczy. Czując, że zdążyć nie jest wstanie, choć wmawia w siebie chyżość, zaczyna marzyć, że po drodze znajdzie się litościwa dusza, która go popchnie. Będzie przywoływał Zbawiciela, Napoleona, Mesjasza, czterdzieści cztery. Wzywając do pomocy obcych, zatraci dumę i wiarę w swoich. Musi odlecieć w przestrzeń między planetarną, gdyż ekscen-

tryczny punkt ciężkości odrzuca go od środka, od rzeczywistości.

Dla czego nie niesie głowy w kierunku ruchu ciała? Przecież on tam w przeszłości niczego plastycznego nie widzi. Dochodzi go melodia wieków, wielki ton piastowy, ale to jest ton, można wsłuchiwać się weń nie patrząc. I w taki sposób nawet lepiej — nie patrząc — iść naprzód, z okiem badawczym przed siebie, w zieleń twórczej natury i w skupieniu, w takt marszu przeszłości. Czyż można się wtedy zmęczyć i pozwolić komu ubiedz, przegonić, stratować?

O świętą jest ojczyzna, ziemia, groby przodków, ale nie siadajcie na nich z modlitwą żebraka lub mazgaja! Takie modlitwy nie idą do nieba, są to głosy martwe.

Idea odbudowania w swem zapatrzeniu się w przeszłość, żyła w tem złudzeniu, że przy odbudowie obcy nie będą nam przeszkadzali, a takie oderwanie się od rzeczywistości było żyzną glebą dla wszelkich politycznych prowokacji. Nie przypatrywała się, nie badała, nie знаła siły przeszkód. Przenikała wprawdzie nienawiścią, ale jest to może, jeżeli kto chce, cząstka poznania, nie pełnia, rozstrzygająca o pewności sięgu. Od Kapitolu do skały Tarpejskiej — jedno pchnięcie, od nienawiści do miłości również, widywałem gwałtowne przemiany, naturalniejsze niż u Owidiusza. Stałym warunkiem dobrego poznania, jest powściągliwość.

Bronić się to znaczy spokojnie, władczo *przenikać*.

Skutkiem ekscentryczności o jakiej wyżej wspomniałem, idea odbudowania usiłowała budować przyszłość z przeszłości z pominięciem terażniejszości, zatem *dowolnie*. Dowolności może być tyle, ile myślących, a nawet i nie myślących indywiduów. Jakież obszerne pole do planów i programów! Jaka ma być Polska, w granicach historycznych czy etnograficznych, narodowa czy ludowa?

Z kim trzymać, z Rosją, z Franz-Jozefem czy z Wilhelmem? Niewiadomo. Każdy może mieć rację i jej nie mieć. Skorośmy się już raz oderwali od terażniejszości, od idei obrony, jesteśmy lupem dowolnej licytacji. Nie ma tu sprawdzianu, za to jest nieskończony materiał do sporu. Klótnie oparte o nierzeczywistość, bywają najzacieklejsze.

Idea odbudowania w praktyce nie łączy, lecz rozdziela, więc już dla tego samego powinna być odrzucona. Nie jej *cel*, ale jej atmosfera psychiczna, jej punkt wyjścia.

Idea Wyzwolenia, która stanęła częściowo jako sojuszniczka idei odbudowania, częściowo jako jej przeciwstawienie, z rodowodu psychicznego jest również ekscentryczna. Jej punkt ciężkości również nie spoczywa w terażniejszości, lecz — nie w przeszłości, jak w idei odbudowania, a w *przyszłości*. Też równowaga niestała.

Istotą jej jest poczucie winy, czy grzechów przeszłości polskiej. Aczkolwiek przyznaje bezprawie i gwałt fizyczny ze strony obcych zaborców państwa, nie uważa tego za czynnik rozstrzygający. Główną wagę kładzie bądź na ustrój szlachecki, na swawolę liberum veto namiętności, bądź na bezwładność samego charakteru polskiego, który „nie umie chcieć“ więc woła o wyzwolenie ze szponów diabła Boruty lub z władzy magicznej usypiającego chochoła. Według niej terażniejszość polska jest psychicznie chora, a zbawieniem jej — przyszły nowy stan rzeczy: wymagowana Polska ludowa lub Młoda Polska, mgławica w słonecznej aureoli wyzwolenia. Ciągnie się ta nić w różnych barwach od Aleksandra Świętochowskiego do Wyspiańskiego, gdyż w tej sprawie, jako przeważnie psychicznej, przemawiali głównie nie politycy i społecznicy praktyczni, a myśliciele i poeci.

Materialistyczna myśl naszych czasów, bo mamy tu do czynienia z typowym materializmem, który napróżno usiłuje przypisać sobie drewniane skrzydła, obchodzi się

z duszą ludzką jak krawiec z suknem. Przykrawa, odplamia, restauruje. Rozporządza: duch był, ducha niema, duch będzie. Wobec naszych czarodziejów, magicy średniowieczni byli skromni, co najwyżej wywoływali duchy, ale nie usiłowali ich z grzechu wyzwalać. Od tego był kto inny, nie zawsze zresztą znający się na rzeczy.

Ani słowa, cel idei wyzwolenia jest powszechny, sama idea ma w sobie ruch *świadomości*, co nadaje jej pozory żywego blasku, ale, oderwana od teraźniejszości, nie może być dla narodu wszechobowiązująca. Nie jest ona prawdą zupełną. Polak teraźniejszości nie jest całkowicie ani swywolnym szlachcicem, ani zaczarowanym impotentem tańczącym letargicznie. Jest w nim tego wszystkiego po trochu, prawda, ale to nie rozstrzyga o jego działaniach.

W jakież to sposób dałoby się realnie przeprowadzić oddzielenie tradycji piastowskiej od tradycji upadku i porozbiorowej, czy możnaby wynająć jakiegoś Szeleę do wymordowania usposobienia? Lud ze szlachtą jest dzisiaj tak pokrzyżowany, że stanowią psychiczną jedność, której żadne teorie realnie nie rozłożą na części, bo jest to rzecz, nie pojęcie. Tak zwany człowiek z ludu może prowadzić walkę „z panami“ na gruncie agrarnym lub kapitalistycznym, lecz nie z powodu popełnionych przez nich „win“ narodowych, bo poczucie jakiegoś zbiorowego grzechu historycznego jest dlań nie tylko niezrozumiałe, ale zgoła niepotrzebne. Wie po prostu, że mą ojczyznę zabrano i chce ją odebrać. Pracując w teraźniejszości, najpewniej i bez chyby, pracuje dla przyszłości.

A teraz co do czarodziejskiej akcji wyzwolenia od chochoła. Przeszłość, jak nam wmawiają, narzuciła nam chochoła, teraźniejszość się nim karmi, przyszłość ma się odeń wyzwolić. On to sączy nam truciznę bezładu, tań-



czymy letargicznie z otwartymi, lecz nie widzącymi oczyma. Lecz w jaki sposób mamy się wyzwolić?

Za nim będą usiłował odpowiedzieć na to pytanie szukam tego chochoła, gdzie mieszka, czy istnieje rzeczywiście, jako fakt świadomości, kierujący działaniem. Poszukuję go po chatach wieśniaczych, po warsztatach pracy codziennej, w rolniku, kupcu, inżynierze, doktorze. U chłopów nie znajduję go nigdzie, pracują oni spokojnie, wytrwale i nieustannie jak natura; u inteligencji zdarza się rzeczywiście jako wytwor tradycji upadku i porobiorowej. Wogóle wszyscy ludzie oparci o terażniejszość, chociaż często świadomie działają dla przyszłości, nie czują żadnej potrzeby wewnętrznej przemiany, wyzwolenia. Zdają sobie sprawę z niewoli zewnętrznej, ale ulegają swoim siłom wewnętrznym. Chochół zamieszkuje stale u emigrantów od pracy dla terażniejszości. Ci z takich lub innych powodów psychicznych wolą mieszkać w bajkowym pałacu przyszłości, pałacu, który, jak każde urojenie, służy niestety tylko swojemu budowniczemu i nie ma miejsca dla innych gości. Woli tam mieszkać może kobieta, dla której życie jest bajką i dzieci, tak lubiące bajek słuchać.

Jakim cudem miałyby stać się to wyzwolenie, gdyby wogóle było potrzebne? Czy byłoby ono możliwe i przez jakie objawienie? To nadludzkie objawienie, które zmieniło Szawła na Pawła, już się stało, trwa po dziś dzień, jest gotowe i jeszcze długo, długo świat nie doczeka się górnieszego. Na jakież objawienie czeka rzekomo *zepsuty*, bo bezwładny współczesny duch polski? Czy na wolność polityczną? Ależ tę wolność silnym, czynnym duchem zdobyć trzeba, bo gdyby spadła z woli Jehowy jak manna niebieska, toby ów duch „nie wyzwolony,” nie umiał się z nią obejść.

Mnie się zdaje, że objawiciele tych nowych urojonych

wyzwoleń sami zdradzają swoje źródło psychiczne. Oderwani od terażniejszości wtedy, gdy snują idee nadpoważne, stają się konsekwentni, gdy dotkną własnej rzeczywistości. Żeromski, jak już wspominałem doprowadza jednego z lotnych bohaterów do portu... niemieckiego. Wypiański swemu kmieciowi piastowemu z pasem Bolka Chrobrego każe tańczyć w letargu. Oni wahają się, nie wierzą w *polskość*. Gdyby duch polski wewnętrznie był nadpsuty, gdyby musiał się wyzwalać, to już byłby skazany na zagładę. Chyba, że kiedyś, w jakiejś przemianie, mógłby się odrodzić, ale takie awatari nazywa się wynarodowieniem. Rozpacz czyha jak potwór w idei wyzwolenia, która tak oczarowała tych ludzi „przyszłości“, tę Młodą Polskę; tak, niewiara i rozpacz. Rozpacz wspólna z żydami, dlatego się tak wzajemnie lubią, ale niewiara jest specjalnością ducha polskiego, bo żyd wierzy, że jest „wybrany“.

Duch polski nie ma potrzeby wyzwalać się z niczego, bo jest całością, gdzie wszystko, nawet to, co nazywamy wadami lub brakami, jest z sobą w sposób nierozwikłalny związane. Przez przyczynę od zewnątrz, przez napór narodów obcych, napór coraz gwałtowniejszy, ten duch musi się skupić i okiem wyteżonym *dojrzeć* niebezpieczeństwo. Jeżeli takie skupienie i bystre przejrzenie ktoś zechce nazwać wyzwoleniem, odrodzeniem lub inaczej, zgoda. Ja to nazywam uświadomieniem sobie idei obrony. Nie chodzi o wyrazy, lecz o powszechność treści.

Idea obrony zawiera w sobie możliwość wszystkich innych szczególnych pragnień narodowych. Związana podstawowym tonem z przeszłością, a plastyką twórczą z przyszłością, spoczywa na fundamencie terażniejszości. Psychicznie oparta na skupieniu wszystkich sił duchowych w jedno potężne ognisko woli, realizuje się w natychmia-

stowości działania i w pewności sięgu. Kontroluje wszelkie działanie przez poczucie odpowiedzialności narodowej. Przejrzyjmy w jej świetle dotychczasowe nasze działania wolnościowe, a być może w wielu razach, dostrzeżemy łatwo, dlaczego co i dlaczego tak się niepomyślnie stało. Bo to ma do siebie każdy trafny punkt wyjścia, że zjawiska będą się obok niego, zgoła bez teoretycznych naciągania, w składzie i ładzie szeregowały. Tylko w takim razie retrospekcja może mieć znaczenie prawdziwie płodne. Jakże często ta retrospekcja bywa adwokatem najciemniejszych spraw.

Z idei obrony wypływa koniecznie *zjednoczenie*, ten nasz punkt archimedesowy oparcia, którego naprawdę znaleźć nie mogła szczegółowość rozmaitych bujących w naszej atmosferze idei. Ona może na prawdę, nie ciągnąc gwałtem, połączyć wszystkie dzieci ojczyzny, a pod jej zarządem wszystkie partje i stronnictwa będą już tylko niezbędnym i zorganizowanym rozdziałem pracy.

Idea obrony kielkowała w Polsce już od czasów Staszica. Historycznie w wirze wypadków odsuwana zarówno przez ludzi „przeszłości“, jak i przez ludzi „przyszłości“ była jednakże zawsze wyznaniem wiary wszystkich światłych i rzetelnie pracujących polaków. Ostatnia doba wydała jej wielkiego i czystego przedstawiciela w osobie Bolesława Prusa. Wszelako był on dzieckiem epoki materialistycznej, więc choć działanie jego było zwykle trafne, w swych próbach stawiania zasad nie miał siły przekonującej. Trudno palić ogień w wodzie.

---

## LABORANDO.

Więc idea obrony z harfą przeszłości w prawicy, z lewicą wzniesioną ku słońcu przyszłości, stoi twardo na gruncie współczesności. Działa głównym elementem terażniejszości: pracą. Dwie naczelne idee świata nowoczesnego: obrona narodu i postęp, przez co rozumiemy ruch cywilizacyjny dążący ku powszechności, spotkać się muszą razem. Bo postęp działa również ideą pracy.

W takim rozumieniu obrona musi być postępową ale powtarzam, z całym zastrzeżeniem określoności tego nadużywanego wyrazu.

Z powyższego wynika, że idea pracy nie może być, ale jest zawsze pochodną, wspartą na idei powszedniejszej i wyższej. Sama z siebie, *bez celu*, wisi w powietrzu i zapada się. Pracować, ale dla kogo, dla czego? Jeżeli dlatego tylko, aby z dnia na dzień przeżyć, to będziemy mieli do czynienia nie z energją świadomą, ale ze zwierzęcą koniecznością lub niekoniecznością, o ile się ma drapieżny pazur tygrysa lub szpon jastrzębia. Skok tygrysa jest wyrazem nadzwyczajnej energii, jednakże tygrys jest wytopiany z kuli ziemskiej. Praca bez idei jest właściwą wszelkiej zaborczości, że tak powiem biernej, niszczącej. Ale ideą kierowniczą pracy może być sama idea zaborcza, jak u nacjonalizmów wojujących (np. współcześnie u Niemców), wtedy zaborczość jest *w dążeniu* twórczą. Inna sprawa, że nienaturalność idei t. j. jej niewykonalność, obracają takie dążenia twórcze na nice.

Bezideowość i co idzie w parze, beznadziejność pracy wywołała sprawę tak wielką, jaką jest sprawa socjalna i socjalizm. W walce prowadzonej przez „proletariat” z „burżuazją” pierwszy ma niezaprzeczoną kulturalną słuszność. Jeżeli woła: „muszę mieć nadzieję — ideę

w pracy“, trzeba iść za nim, jest to piękny ruch duchowy, signum vincens. Z tego punktu widzenia każdy człowiek, robotnik fabryczny lub ktokolwiek inny, postawiony w położeniu bezideowości i beznadziejności pracy, jest rzeczywiście proletariuszem psychicznym. Słusznie czuje się w swej jaźni głęboko pokrzywdzonym.

„Burżuazją“ są wszyscy ludzie, mający możność do-robku, a zatem mogący mieć ideę kierowniczą w swej pracy. Gatunek tych idei nie mógł być wysoki w wielokapitałistycznym stuleciu, gdy magicznie potężna fala złota zalewała nurt chrześcijańskiego uczucia religijnego, a blask lamp elektrycznych przygaszał iluminacje wewnętrzne. Więc ideał burżuazyjny — to w najlepszym razie wygórowana ambicja dla siebie, dzieci i rodziny lub spokojna starość rentjera, a dalej — zaspakajanie zmysłowych namiętności lub takich manij jak skąpstwo, dziedzin ślepych, dla których nie ma granic ani światła.

Tego rodzaju ideały człowiekowi, który „nie ma nadziei“, proletariuszowi, imponować nie mogły. U większości budziły zawiść, u niektórych pogardę lub lekceważenie. Z zawiści rodzi się zemsta, z pogardy — usiłowanie działania separacyjnego. Z tych dwóch uczuć złożony socjalizm przeciwstawił się, jako obcy istniejącemu porządkowi społecznemu. Jest to sui generis protestantyzm, powstały na tle nadużyć, ale sam bez siły twórczej, o ile nie stanie na gruncie chrześcijańskiego uczucia religijnego i narodowego, z którymi dotychczas ciemno walczył. Jeżeli socjalizm wstąpi na grunt idei rzeczywiście powszechnej, może sprawić wielkie rzeczy: lepszą realizację zasad chrystjanizmu, naprawę postęp.

Naród polski, jako przedmiot aktualny zaborczości obcych, posiada w swej idei naczelnej, w idei obrony wyraźny i jednoczący cel do pracy. Jeżeli ona, ta idea, stanie się powszechnym kierunkiem działań, nasze położenie

społeczne będzie *psychicznie* zdrowsze, niż stan społeczeństw wolnych, bo muszą jej uleść wszelkie idee niższe. I nie samozwańcze, często niepoczytalne ruchy dotychczasowych socjalistów polskich, używanych przez międzynarodową kompanję jako materiał agitacyjny, mogą współdziałać idei obrony, ale idea obrony będzie koniecznie wyłaniała z siebie socjalistów polskich — do niszczenia apetytów burżuazyjnych, podszywających się pod nacjonalizm. Dotychczasowi socjaliści polscy, mówię o tych, którzy są szczerze polakami, a tacy boleśni są, byli *poniżej* zadania polskiego, jak poniżej były wszystkie inne warstwy; ogół nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów coraz bardziej *wzrastającego* niebezpieczeństwa od obcych. Traktowano tę sprawę... po szlachecku, chociaż mogło się być to nazywać demokratycznie lub socjalistycznie, jakoś to będzie i pozwalano sobie na aeroplaniczne wzloty bez benzyny.

Jeżeli idea pracy jest bezpośrednią emanacją idei obrony, to winna zdobyć dla siebie należyty stopień *poważania*. Istnieją bałwochwalczy pracy, jako pracy bez motywów, nie sądzę, aby taki pogląd płynął z odczucia, jest po prostu doktrynalnym samogwałtem. Z samego faktu pracy nie wynika nic duchowego. Nie poważa się ani roboty niewolnika pod batem, ani roboczości z temperamentu, z obfitości sił żywotnych. Rozmiary pracy zadziwiają, mogą nawet budzić trwogę, lecz do szacunku jeszcze daleko. Nie mam szacunku dla Cheopsa za wielkość piramidy, nie znam jego duchowych motywów. Do wzbudzenia szacunku niezbędna jest *towarzyszkość* pracy, wspólnota celu. Socjaliści bardzo trafnie nazywają swoich towarzyszymi, ale to przecież stare narodowe piastowo-polskie: towarzysz pancerny, towarzysz sztuki drukarskiej. O gdyby częściej wsłuchiwano się w melodję Starej Polski, nie rzępolonoby tak fałszywie na skrzypkach terażniejszości.

Gdyby zliczyć wszystkie wyrazy „szacunku“, jakie chociażby w ciągu jednego roku, przesyła sobie w listach powersalizm burżuazyjny, byłyby ich miliardy, wielka góra śmieszności. Ludzie poziomych ideałów w pracy nie mogą się szanować, nienawidzą się jak augury, ale pudrują się wzajem szacunkiem, do tego jeszcze „prawdziwym“ szacunkiem.

Jedyną podstawą prawdziwego, „nie listowego“ szacunku jest praca oparta na wspólnej idei, a jest on niezbędny przy wszelkiej działalności zbiorowej. Trzeba sobie choć trochę wierzyć, aby mózgi wspólnie coś dobrze zrobić. Osobiste sympatje lub antypatje mogą tutaj zarówno przeszkadzać jak i pomagać. Szacunek wzajemny jest trwałą podstawą każdego kompromisu.

Nie wiem czy istnieje ktokolwiek u nas, ktoby, przy party do muru, przyznał, że w Polsce współczesnej praca jest szanowana. Jeżeli coś poważa się na prawdę, to gotowy pieniądz. „Pańskość“ materialna ma monopol, wszystko inne toleruje się lub łaskawie obdarza lekceważącą aprobatą. Jesteśmy pod tym względem bardzo po za Europą. Sądząc ze skutku o przyczynie, musimy dojść do wniosku, że nasz patryjotyzm, to jest uczucie jednoczące przez ideę, jest jeszcze na stopniu niepowszechności i płytkości.

Idea obrony dojrzała może jedynie u ludu wielkopolskiego i śląskiego, oko w oko z niebezpieczeństwem za wyraźnem, aby go nie zobaczyć. I tam się pracę szanuje, nie dlatego, że Prusacy nauczyli i zmusili, ale bo jest ją za co szanować. I tam dzieci wrzesińskie protestowały nie przez lekkomyślną swawolę rozpuszczonego wychowania, lub dzięki agitacji zewnętrznej, a przez instynkt narodowego porządku.

Tak jak jest, pracodawca-kapitalista nie szanuje pracy robotnika, bo ten pracuje przez mus pod hasłem nie-

ustannej opozycji, a robotnik nie szanuje pracy kapitalisty, gdyż zazdrości lub pogardza jego poziomymi ideałami.

Bez wyższej jednoczącej idei, nie może być kompromisu. Wre walka oparta na podstępnie i wzajemnem oszukiwaniu, obrzydliwa, beznadziejna.

Wyobraźmy sobie, że idea obrony narodu przeniknęła w masy jako konieczność psychiczna, równorzędna fizycznej, wtedy bez kazań i napomnień, które dzisiaj często i słusznie uważane są za świadomy manewr wyzysku, a przeto podejrzliwie i z lekceważeniem przyjmowane, — praca musi sobie wzajemnie szanować. Stąd otwarta droga do rozwojowej zgody i do złożenia sił, które dzisiaj działają po przekątnej, a efekt nie wystarcza do podniesienia i odrzucenia ciężarów. Wyobraźmy sobie, że pracodawca będzie się liczył z ludzkimi potrzebami robotnika nie tylko dlatego, że obawia się strejku, ale i dlatego, że jest polakiem. Wyobraźmy sobie, że robotnik przystępując do zmowy, zawsze i poważnie zada sobie pytanie, czy w danym razie nie idzie przeciwko narodowi. Wyobraźmy sobie, że człowiek pracujący dla fortuny własnych dzieci nie będzie mógł nie myśleć o tem, aby te dzieci były polakami z godnością i z dobrem imieniem rodziców. Wyobraźmy sobie, że sknera, panek arystokratyczny lub demokratyczny, egoista, nadczłowiek będzie pod ironiczną kontrolą opinii publicznej, patrzącej nań jak należy. Jakież żelazne perspektywy będzie miał wówczas słoneczny umysł polski, tak zdolny do twórczego przerabiania materji?

Ale, bez złudzeń, nie przyjdzie to łatwo. Niebezpieczeństwo grożące nam przez nieustający dalszy ciąg rozbiorów, nie wszystkie oczy jednakowo wyraźnie dostrzegą i nie wszystkie umysły jednakowo gorąco przyjmą. Obójętnie zachowa się w obec niego *zniechęcenie* nędzy, nie



twórcze kadry pracy, lecz ów rzeczywisty „proletariat“, dla dla którego nie pozostaje już nic jak pijaństwo, zataczanie się od utopji „przyszłego raju na ziemi“, obiecanego przez pozachrześcijańskiego Jehowę. I równie obojętnie, a bardziej szydersko, względem idei obrony i idei pracy, aczkolwiek skrycie, występować będzie *otępienie* bogactwa, przytłaczającego umysł posiadacza. Jakaż moc majątku narodowego w Polsce znajduje się w ręku ludzi tępych; jak bezzębny pies siedzą na wielkiej kości, która próchnieje. A napastowani chronią się pod rygor i skrzydła religji, której zresztą nie rozumieją pierwszego wyrazu: „czyńcie“.

Krańcowości się schodzą—w tym wypadku najzupełniej. I jedni i drudzy, oba krańce drzewa narodowego są suche. Wędrowiec—czas bierze je na opał.

Jakże wspaniała robota dla umysłów twórczych: uprawa i posiew idei obrony i idei pracy. Robota rozkazodawcza, dyktatorska, że tak powiem rewolucyjna w znaczeniu bezkompromisowości. Jesteście chrześcianami, czy Chrystus znał kompromis z własnym sumieniem? Był Bogiem, nie znał go w obrębie swej boskości. Wy jesteście polacy, nie możecie go mieć w obrębie swej polskości. Jeżeli posiadacie wątpliwość, czy „kultura“ pozwala wam na bezkompromisowość względem siebie, stańcie się odrazu Niemcami, Rosjanami, Żydami. Zresztą ci ostatni nie przyjmą was „rozebranych“ na swe łono „wybrane“, chyba jako Futter do pożarcia.

Polska jest jeszcze pełna rezydentów—łuny dziejowej z epoki upadku, która dotąd nie zagasła w żadnej dzielnicy, prócz zaboru pruskiego, gdzie próżniactwo musiało zginać. Pełna jest ludzi bądź nic nie robiących, bądź wykonywających drobną część tej pracy, jaką powinni — z udziału społecznego. Czas robi swoje, ale i upór swoje. Bez nacisku ideowego utrzymuje się za wiele szczątkowości.

A naród coraz uboższy, by móżdż łożyć na utrzymanie chociażby najmilszych i najkulturalniejszych pasorzytów. Próżniactwo się toleruje na zasadzie: „wolność Tomku w swoim domku“, lub „pracuję o ile mi się podoba, a któż mnie do tego zmusi“. Woli być żebrzącym niebieskim ptakiem. Odebrano nam liberum veto polityczne wraz z konstytucją, ale w obyczaju to veto pozostało. W kraju jest wiele ludzi rzetelnej pracy, tak, obok nich ileż kręci się rezydentów lub półrezydentów narodu?

Rozleniwionej szlachty zagonowej, żyjącej wśród swych rozwalonych płotów kłótnią z sąsiadem, tych panów „braci“, ani panów, ani braci...

Rezydentów na swoich folwarkach, Wicków i Wacków wiernych obudwu starym ideałom: Magdzi i polowaniu.

Wróbla stłuszciałych ojcowskim potem czoła z różnych źródeł, lecących jak orły po europejską kulturę... w Monte Carlo.

Tak zwanych arystokratów z dziedzictwem przodków często od bata ekonomicznego na ludzkim inwentarzu. No, ci żyją otwarcie w „rezydencjach“.

Rezydentów sztuki, literatury i myśli, tworzących raz około Wielkiej Nocy, lub oczekujących natchnienia na pełni księżyca, gdyż słońce źle wpływa na ich talent.

Panien na wydaniu, nie umiejących szyć ani gotować, nieskończenie leżących w hamaku i nieskończenie czytających powieści.

Wszystkich tych rezydentów opłaca naród na równo z podatkami na cudzy militarizm. Trzeba zwrócić uwagę na to, że żebractwo w ogóle jest w stosunku odwrotnym do natężenia pracy w społeczeństwie. Nawet w przysłowiowych dotychczas pod tym względem Włoszech znikli słynni lazzaroni; żebrzą jeszcze dzieci może bardziej z przyzwyczajenia i z figłów, niżeli z profesji. W miastach zachodnich nawet większych, dnia powszedniego niemasz

na ulicy nikogo prócz matek i nianiek z dziećmi, starców i emerytów, oraz cudzoziemców. Na naszych ulicach i kawiarniach zawsze i w godzinach pracy przechadzają się lub tkwią wolni peripatetycy, filozofowie liberum veto, niby pospolite ruszenie próżniactwa.

Przy dużej ilości ludzi próżnujących lub wlokących się za robotą, ogólne napięcie pracy jest słabe. Jedni za drugich robią, inni przeszkadzają pracującym. Próżniactwo jest zaraźliwe tak jak ziewanie. Znaczny poczet *nieponiów* z warstw kształconych wpływa złym przykładem na lud, kogo ma się tu poważać i słuchać?

Gdyby szukać przyczyn utopijnego bigosu poglądów politycznych i społecznych, rzucanych tyle razy jak podpalające żagwie na duszę narodu, możnaby jedną z nich znaleźć w pomysłach rezydentów, którzy mają czas wymyślać niedorzeczności. Trzeba być bardzo genialnym, bardzo wyjątkowym człowiekiem, aby mózdz oprzeć się wyłącznie na myśli własnej — po za porządkowym systemem pracy zbiorowej, — zachować w sobie ład twórczy i nie zwarjować w obec rzeczywistości. Geniúsze na kamieniach rzeczywistości rodzą się bardzo rzadko, a w Polsce niema ich więcej niż gdzieindziej. Natomiast wśród tak zwanej inteligencji naszej ludzi zepsutych w atmosferze pracy niesystematycznej i półpróżniaczej posiadamy masę. Dość spojrzeć na karykaturalne kształty, w jakich kolportuje się do nas wielkie idee zachodu. Tylko ludzie ograniczeni systemem pracy narodowej, pragmatycy mogą ustrzedz się tej karykatury, szkodliwej, bo zasłaniającej prawdę. Programy fantastyczne, chyby, nieszczęścia, jakie od stu lat przyczynia Polsce emigracja, pretendująca do rządu krajem po za placem boju, powstały głównie na tle przymusowego próżniactwa. Bo nic nie może być zdrowotwórczego w tem, co wyrzucone samowolnie lub gwałtem po za system pracy narodowej.

Że te rozczochrania, rozwichrzenia i zwarjowania, które zmarnowały i dzisiaj marnują czoło inteligencji polskiej, płyną z historycznego biegu wypadków, tem większy powód, aby się przeciwko nim bronić.

Próżniactwo dąży zawsze do powierzchownego uniwersalizmu, do geniusza bez teki. To czem się chlubi w Polsce wielu Płoszowskich, jest po prostu instynktem zdolnego próżniaka, wybierającego, co najłatwiejsze. Jest nie stwierdzeniem, ale zaprzeczeniem twórczości. Wyśmiewamy francuzów, że nie znają geografji; bądźmy o nich spokojni, gdy będą potrzebowali, w oka mgnieniu poznają naszą topografię lepiej, niż my sami. Rzecz polega nie na skupieniu w badaniu i na zdolności całkowania, ku czemu umysł sam siebie musi ograniczyć.

To znowu ten sam zmysł broniącego się próżniactwa przyklaskuje talentowi „z bożej łaski“, że może nie pracować, że jednym „stań się“ oddzieli niebo od ziemi, morze od lądów, a czyste od brudnego. Nie ma lepszej drogi do tworzenia megalomanów i niedołęgów. To też od tego rodzaju krokodylów roi się w Polsce jak w Nilu. Jakżeż imponujący jest taki boski próżniak dla nieszczęśliwców zmuszonych w pocie czoła spychać pracę! Prawdziwy bożek Pan—ten pasący nierogaciznę. Muszę tu być zoologiczny, bo odpowiedni teren.

Praca w Polsce nie jest jeszcze postawiona na serjo, tak samo jak jej idea macierzysta—idea obrony. Ludzie na ogół nie czują jeszcze tej żelaznej konieczności. Żyją myślą rezydencką i lękają się spalić mostów.

Hasło pracy organicznej, proklamowane po powstaniu 1863 r. było wyrazem instynktu trafnego, ale duch epoki ówczesnej dał mu podstawę kruchą. Epoka wogóle wojowała z psychicznem źródłem działania, uważając je za dostatecznie zbadane, aby można było traktować je mechanicznie. Przecież w tej epoce „śród huku młotów

i turkotu maszyn“ leął się nadczłowiek. W jakiż sposób nadczłowiek mógł być pojąć hasło pracy? Nie w Niemczech, gdzie Wagner stawiał nową Wallhallę, ale w Polsce napełnionej jeszcze złem powietrzem tradycji upadku i epileptycznym letargiem tradycji porozbiorowej.

Przecież wtedy walczono bratobójczo: co się jedną dłonią postawiło, to się drugą — zważyło. Walczono z uczuciem religijnem w imię „wolności“ myśli, z uczuciem narodowem w imię „humanizmu“. Walczono z kościołem, a przeoczono najwyższe znaczenie uczucia religijnego; walczono z Polską historyczną, a przeoczono treść jej, t. j. ton piastowy. Pod takim przewodnictwem idea pracy mało ruszyła z miejsca.

„Bogaćmy się“. Przez to jeszcze nic nie powiedziano. Zbogacenie się może być i wynarodowienie. Kapitał sam z siebie jest blizkim kuzynem internacjonalizmu, siada do błyskawicznego pociągu i jedzie dokąd chce, jeżeli nie zatrzyma go rozkaz narodu.

Rdzeń sprawy to zużytkowanie bogactwa. Tutaj sama ślepa, niepohamowana energia w działaniu nie wystarcza, a rostrzygają czynniki psychiczne.

Właśnie te, które nasz polski materjalizm nie tylko pozostawiał na boku, ale w które godził, jako w wrogów demokracji. Co za splątanie pojęć.

O zużytkowaniu bogactwa roztryga religijność i narodowość, jak u nas jedna *wiara* narodowa, uruchomiona czynnie w Obronę narodu, w jedną organizację powszechną i natężoną. Tu jedyna kontrola zużytkowania bogactw.

Polacy nie są narodem próżniaczym z natury, ale historycznie rozpróżnionym. Wszędzie, u narodów aryjskich, pracowitość jest wyrobem cywilizacji, sprawą takiego lub innego przymusu, częścią państwowego, częścią

uczuciowo-ideowego, a skala jej jest duża. Wiemy, że robotnik polski, często tak leniwy w domu, wśród obcych pracuje wybitnie dobrze — pod przymusem. U siebie, w ojczyźnie wolnej, będzie pracował jeszcze lepiej, lecz samemu przymusowi fizycznemu się nie podda. U siebie w domu wymaga przymusu psychicznego i ma słuszość. Byłby bez godności, gdyby czuł inaczej. Przymus być musi, gdyż praca jest zmęczeniem, nie jest przyjemnością i tego faktu nie zmieni kazanie: ora et labora. Więc przymus być musi, albo całkiem fizyczny, praca niewolnicza, jaką wyłącznie znał świat starożytny, albo przymus psychiczny, obowiązujący wszystkich prócz dzieci, kalek i starców. Na przymusie psychicznym opiera się sens cywilizacji chrześcijańskiej i nowoczesny honor człowieka. Gdzie wyraz „próżniak“ nie jest najobelżywszą z obelg, tam kultura jest dopiero odzieniem, nie ciałem.

Ludy powracają, w pewnym znaczeniu, do systemu pracy patryjarchalnej. Tylko nowoczesnym patryjarchom jest idea obrony narodu, zdolna realnie rządzić u siebie, na ograniczonej przestrzeni i w gromadzie spojonej plemienno-historycznym pokrewieństwem. Teoretycznie niema przeszkody, aby tą ideą była powszechna ludzkość, ale praktycznie mogłaby ona rządzić jedynie przez bandę autokratycznych ekonomów. Wzięłaby zakres realny po nad siły.

Szczęśliwi rodzice, którzy w takiej wierze narodowej i idei pracy wychowają swoje dzieci. Będą przez nie kochani.

## DZIŚ—JUTRO.

Z idei pracy wyłania się koniecznie idea oszczędności, jako kompromis pomiędzy dzisiaj a jutrem. Więc jeżeli chodzi o ideę narodową, działającą i w przyszłość, każdy, ktokolwiek ma z czego, bez uszczerbku swojego zdrowia fizycznego, powinien oszczędzać, jeżeli jest patryjotą czynnym. Naród musi mieć wolny zapas siły cywilizacyjnej, jaką jest kapitał, aby móc iść naprzód. Dobrze jeżeli pogoda, słońce świeci, człowiek czuje się zdrowo, ale zapomnieć, że jutro może być deszcz i na pole się nie wyjedzie, a nie mieć gotowego pod dachem ziarna— to bardzo nieprzezornie. Patryjotyzm nieprzezorny, przed jutrem nie odpowiedzialny, posiadają i ludy najpierwotniejsze, a cywilizacja albo nagina je do przezorności, albo niemilosierdzie tępi. Patryjotyzm nieprzezorny może budzić podziw błyskawicznym efektem, lecz nie budzi szacunku. Złudzeniem jest, że np. nasze czyny wojenne, jak Sommosierra, mogą imponować na serjo innym narodom. Te mają takie same wzory i u siebie. W toczącej się wielkiej wojnie naliczylibyśmy u wszystkich tysiące wspaniałych bohaterstw i poświęceń i to nie z impetu, ale z głębokiego nurtu świadomości. W bilansie dziejowym, a również i w psychicznym, liczy się tylko patryjotyzm z zimną krwią, a więc do śmierci i w chwili śmierci — przezorny.

Jednakże ani pojęcie pracy, ani pojęcie oszczędności, jak to łatwo dostrzedz, same w sobie nie zawierają nic ludzkiego, nic twórczego. O tem orzeka ich źródło psychiczne. Jeżeli można i trzeba propagować oszczędność, to jedynie — przez przezorność. Bo gdybyśmy rozstawiali ryczałtem gromadzenie pieniędzy w pończosze lub w re-

zydencjach, robota nasza mogłaby być tresowaniem lisów do łapania kur, niszczeniem żywych ludzi na korzyść potworów.

Polacy wogóle nie są narodem rozrzutnym z wyjątkiem tych chwil u oczystych, gdy chcą się pokazać, postawić jako „panowie“, gdy wzbierają godnością: „znaj durniu pana“. Są jeszcze w okresie społecznego lokajstwa i społecznych łapówek. Przeciwnie—oszczędność, gdy nikt nie widzi, jest u nas bardzo pospolita. Ale źródło jej często nie miewa nic wspólnego z przezornością. Jest to albo namiętność sknerstwa, przywiązanie do grosza, albo brak potrzeb cywilizowanych i kulturalnych, albo wreszcie, jak u arystokracji, ślepa obawa stracenia uprzywilejowanego stanowiska, podtrzymywanego wyłącznie przez pieniądze. Oszczędności są duże, ale na ogół naród ich nie widzi, i z nich mało korzysta—nie wstąpiły dotąd w charakter czynny przezorności narodowej. One jak gdyby lękały się, aby naród ich nie okradł, są martwe. A gdybyśmy porównali siebie z czechami, z groszowem społeczeństwem chłopów, gdzie przezorność związana jest z natychmiastową twórczością, jakże ubogą przedstawiałaby się nasza idea obrony narodowej.

Nikt nie może wyznaczać komukolwiek skali potrzeb i wydatków. Jest to sprawa osobista, nieznosząca zewnętrznego przymusu. Ale chodzi o ogólną *tendencję do oszczędności* w imię jutra narodowego, o szanowanie grosza zapracowanego osobiście lub odziedziczonego, jako konieczną w XX stuleciu gwarancję niepodległości jednostki. Państwo lub społeczeństwo, składające się wyłącznie z urzędników rządowych, opartych o emeryturę, lub z robotników z własnością komunalną, skończyłoby zawsze na despotyzmie. Jednostki niezależne od rządu i od ścieśnień partyjnych muszą istnieć, aby podtrzymywać zasadę indywidualności i swobodę myśli. Kapitał



może i powinien podlegać kontroli, aby nie nabierał apetytów zaborczych, lecz usiłowanie zniszczenia go jest nie tylko bezowocne, gdyż powstałby natychmiast w gorszej, ukrytej po taci, ale i w stopniu najwyższym, anti-kulturalne. Skierowanie energii osobniczej ku celom nie pozabawionym idei, uszlachetnienie energii — o to wszystko, co się da drogą nieprzymusową i trwałą zdziałać.

Uszlachetnić kapitalistów, to może wywołać uśmiech na ustach ludzi, którzy się dotknęli życia. Bogatemu trudno wejść do królestwa niebieskiego, daję do zrozumienia ewangelja. Czyż despota dobrowolnie może zrzec się władzy? Graniczyłoby to z ascezą. Szlachta polska w dobie upadku uchwałała podatki na obronę kraju, ale ściągać je było trudniej. Obecne doświadczenie wielkiej wojny wykazało, jakie orgie może wyprawiać kapitalizm, jaki szakalizm pieniężny kryje się w duszy ludzkiej.

Z drugiej strony nigdy w dziejach kapitalizm nie znalazł się wobec takiego wroga, jakiego spotkał teraz. Jest nim idea narodowa, która dorasta w straszliwej fabryce śmierci. Na cóż nie porwie się człowiek, który wytrzymał taką nieludzką próbę swojego człowieczeństwa? Cóż może być dlań trudnego i jakie sposoby lepszego współżycia wynaleźć zdolny? Czyż może opuścić tę ideę, przestać kochać tego towarzysza, przez którego tyle wycierpiał, ale któremu tyle światła winien?

Dlatego powiadam, że w tych warunkach kapitał może się unarodowić, to jest uszlachetnić. Nałożyć sobie psychicznie ograniczenia, wymagane przez ducha czasu. On ma także swoją psychikę, bowiem działa przez ludzi i dla ludzi, a przypisywanie mu żelaznej mocy Jehowy i utrwalanie ogółu w takiej grozie, jest to wpływ umysłu żydowskiego, narzucającego własną treść.

Dlatego można propagować oszczędność — przez przezorność narodową, jako siłę napewno twórczą. Nie

obawiam się, aby żądło polskiego kapitalizmu zwróciło się przeciwko idei obrony narodu. Przeciwnie, to on podąży za tą ideą, naturalnie skarżąc się żałośnie i postępując. Na świadectwo możnaby przyzwać Francję, klasyczny kraj kapitalizmu, gdzie pod ciężarem idei obrony narodowej w naszych oczach i wcale nieprzewidzianie przez mędrców XIX stulecia, jedno z ich „żelaznych“ praw złamało się jak słomka.

Uważam oszczędność w Polsce i dla Polski za nasz punkt honoru, za wielki dar patryjotyczny dnia dzisiejszego dla jutra. Choćby, kto krzyczał w niebo „niepodległość, niepodległość i jeszcze czterdzieści cztery razy niepodległość“, jeżeli zarazem nie stawia nóg na gruncie niepodległości materialnej, młynkuje plewy, na które się żaden sąsiedzki wróbel europejski nie złapie, chyba młode domowe pliszki. Żebracy i rezydenci niepodległości nie wywalczą, a — do wspólki z żydami, często jako ich najmicy, *sclavi saltantes*, ojczyznę zjedzą.

---

## DZIECI NARODU.

Jeżeli pierwszym aktem idei obrony jest organizacja narodowa kulturalnej i cywilizacyjnej pracy w ogóle, to drugim, ze względu na szczególną wagę zasługującym na wyodrębnienie, jest *wychowanie* młodzieży. Zadanie bodaj trudniejsze od pierwszego, bo młodzież w Polsce odegrała większą i szczególniejszą rolę niż gdziekolwiek. Na zachodzie, w krajach wolnych, w Anglii, we Francji i t. d. historia młodzieży nie istnieje, u nas w epoce porozbiorowej możnaby takową napisać, a materiału z pewnością

nie zabraknie. Młodzież nasza z pokolenia na pokolenie posiadała niejako własną tradycję, stanowiącą jak gdyby nowe liberum veto w stosunku do narodu. Jej „nie pozwalałam“ w unisono z głosem matek, sióstr i kochanek, było, jak gdyby szarżą Sommosierry, otwierającą drogę cudzej artylerji i... cudzej woli.

Dzięki tej tradycyjnej autonomji w stosunku do narodu, młodzież nasza zyskała pewność siebie wraz z zanikiem poczucia odpowiedzialności, pewność siebie, nie opierającą się na dostatecznej wiedzy życiowej i sile wykonawczej, pewność siebie, która jest doskonałą lekko-myślnością. Tego przywileju łatwo wyrzec się nie chce, więc do prowadzenia wychowawczego jest trudniejszą niż inne. Przy tem panowaniu i chęci panowania, zyskiwała przedwczesną dojrzałość cudownego dziecka, zatracając w znacznej mierze prostotę młodzieńczą i geniusz naiwności. Owoce przedwześnie dojrzałe zwykle psują się prędkiej. Z tych zdolnych dzieci, zapowiadających się bardzo wczesnie na prawodawców nie tylko narodu, ba ale i ludzkości, dziwnie prędko wyradzają się ludzie i dostają plam gnicia. Zwracam uwagę. Rasowo polacy rozwijają się fizycznie wolno i późno, a pod tym względem ustępują tylko niektórym narodom północnym np. szkotom. Tem bardziej mamy tu do czynienia z pogwałceniem natury. Pewien światły cudzoziemiec, interesujący się sprawą polską, który śledził uważnie młodzież polską za granicą, wypowiedział się tak: w 20-m roku życia polak wyprzedza umysłem francuza lub anglika, w 25-m równają się, a w 30-m już im ustępuje.

Ta przedwczesna pewność siebie z jednakową lekko-myślnością poddaje się wpływowi obcych, jak wojuje z doświadczeniem swoich. Niedojrzała, a rozbudzona myśl, korzeniem wątła i słaba, jest najlepszym materiałem dla prowokatorów całego świata i własnych. Czego nie można

narzucić młodzieńczej pewności siebie? Bo nie chodzi tu o treść, ale o zręczny sposób narzucenia. Umysł młodzieńczy jest całkiem zajęty samym sobą, nie zdolny do tworzenia i rozumienia idei, które powstają dopiero przez wpatrzenie się w rzeczywistość. Jego bezwzględny egotyzm jest całkiem na łasce utopji. Kto mu je daje za tym idzie.

Narody wolne mają sposoby do utrzymania swej młodzieży w naturalnych granicach jej siły, do opalikowania słabych szczepów tak, aby wiatr ich nie wykrzywił. Myśmy palików dać nie mogli.

Póki istniało święte przymierze naszych rozbiorców, dla ludzi bystrych nie mogło być żadnej nadziei wyzwolenia ojczyzny. Rozepchnąć trzech sprzymierzonych olbrzymów na trzy strony siłą własną? Można było wmawiać w siebie, że to możliwe, ale wierzyć? Pocięgą była modlitwa do przeszłości, a jedynym programem realnym— przeżycie w letargu, doczekanie się zmiany formacji politycznych. Program był dla młodzieży niezrozumiale tragiczny, bo gnuśny. Więc rodzice poddawali się rządóm obcym, dzieci przechodziły do spisku. Bezwładność programu starszych zapewniała im wolność działania. W ponurej nocy położenia urastali na przywódców patryjotyzmu, spychali starszych do roli biernej, bo cóż ci mogli byli więcej dać nad milczenie...

Ten prymat młodzieńczego patryjotyzmu cechuje rys lekkomyślnej nieodpowiedzialności, bardzo i bardzo zmniejszającej podniosłość i wartość czynu. Śród tych bez nadziejnych walk o wolność powstały takie wyrazy jak „męczeństwo“, „cierpienie“, jak gdyby pretensja do wrogów o to, że są wrogami, jak gdyby błaganie o litość dziecka, które niewie, co zrobiło. W istocie były to walki dziecinne z poszukiwaniem w obcym ojca lub matki. Działali nie mężczyźni, którzy giną za ojczyznę z całą oświadomioną

wolą i bez żądania żadnej zapłaty, bez aureoli męczeństwa lub cierpienia. Widywałem i widuję takich „cierpiętników“, w prawdzie nierozpiętych na krzyżu, ale przechadzających się po rynku narodowym z namaszczeniem i łaknących czci. Quasi una operetta.

Zaś dziećmi kierowali emigranci, równie nie odpowiedzialni: jak one.

Lecz, chociażby starsi nawet mieli do przedstawienia młodzieży jaki program wiary, i tak nie mogliby znaleźć młodych, zgromadzonych w szkole narodowej i mieć na nich wpływ, albowiem takiej szkoły nie było nigdzie na obszarach rozebranej Rzeczypospolitej, iż nie możemy liczyć za zdrowopolską zdradliwej austryjackiej szkoły gacyjskiej. Młodzież pracowała w podziemiach, samopas, skryta, nieuchwytna. W dodatku z konieczności rozpierzchła się po uczelniach całego świata, usunięta tym sposobem od narodowego obyczaju. Tam nabierała albo materialistycznej obojętności dla sprawy narodowej, naśladowując bohemę francuską lub burszostwo niemieckie, albo zaprawiała się w zręczności spiskowania quand meme, zawsze i wszędzie, przeciwko wszystkiemu, co się jej utopjom nie podobało, nawet przeciwko własnemu narodowi.

Nie potępiam, ale wyjaśniam. To nie wina, to narodowe nieszczęście, któremu trzeba zajrzeć w oczy, gdyż inaczej ono samo będzie zaglądało. Nasza młodzież jest z tradycji samowolna i niedorzecznie pewna siebie. Narodowa organizacja szkolna będzie miała z wykorzeniem tych przyzwyczajzeń sporo kłopotu. Ale jakżeż młodzież może być inna, jeżeli ludzie dojrzały z pretensją do powagi oglądają się na to, co ona powie i na serjo szukają u niej busoli wskazań. Więc młodzi starcy, przybierając uroczyste ideowe miny, klepią po ramieniu zdziecinniałych starców i prawem natury polskiej, skłonnej do

zarozumienia, prostują się wysoko na szczudłach. Nie mówię już o tem bezceństwie, gdy politycy wciągają młodzież do swojej gry. Czyniąc to, nie tylko odciągają ją od naturalnej funkcji, to jest od zahartowania ciała i rozwinięcia umysłu w ważnej epoce fizjologicznej, co później odrobić się nie da, ale pomalają jej młodzieńczą plastyczną duszę przez roboty, wymagające wypróbowanej odporności życiowej.

Ogół starszych za mało przypatruje się z boku i za mało strzeże młodzieży, a za wiele jej hołduje. Wygląda tak, jak gdyby to były nie dzieci narodu, ale jego „gagatki“, które i w przyszłości, gdy zmężnieją, mają pozostać przy tych przywilejach. Otóż z pewnością nieżycie niemiłosiernie obedrze je z przywilejów. Cóż mają potem czynić? Rozpaczać, płakać, żebrać... Tymczasem ci uprzywilejowani płatają figle, zgoda gdyby były dziecinne, ale są nie dziecinne, jeżeli wtrącają swoje „na serjo“ i swoją nieodpowiedzialność do roboty serjo.

Idea obrony narodu, z teraźniejszości budująca przyszłość, musi zakończyć z tą pajdokratyczną autonomią, jako przyczyniającą się do paraliżowania ciągłości i wytrzymałości działań. Ta autonomia przyspiesza wybuchem to, co nie jest jeszcze dostatecznie przygotowane, podkłada miny pod wszelką celowość. Powtarzamy, idea obrony musi bezwzględnie z nią skończyć.

Lecz jakim to się ma stać sposobem? Przykazem prostym rodziców i nauczycieli „słuchajcie co wam mówimy, myślcie jak my myślimy?“ Albo kazaniem na temat ojczyzny? Arbitralnością lub przekonywaniem? Nic z tego. Młodzież uprze się tem bardziej, ucieknie jeszcze dalej i to część jej energiczniejsza — prosto w ręce agitatorów, pojących ją utopjami, bierniejsza zaś stanie się materialistycznymi sceptykami, zgniłym owocem.

Nie słowa, nie słowa...

Młodzież czuje zbyt bezpośrednio, aby poprzestała na kazaniach. Wymaga od starszych ofiary, do której sama jest gotowa. Jeżeli nie ofiary, to chociażby jej pozor. Dlatego w licytacji wpływów pomiędzy rodzicami, nauczycielami, a podlegaczami ideowymi, chociażby najszaleńszymi, młodzież pójdzie zawsze z ostatnimi.

Punkt ciężkości wpływu leży w rzeczywistej wyższości patryjotycznej starszych nad młodszymi. Jeżeli ojciec w swem postępowaniu, widocznie i zrozumiale dla swego syna, składa dowody myśli i czynu patryjotycznego, syn zawsze będzie się z nim liczył, a chociażby nawet porwy chwilowo ciągnęły młodego w inną stronę, to powaga rozumu i doświadczenia, oparta na uczuciu, zawsze weźmie górę. Odnosi się i do nauczycieli. Wiara starszych musi iść w harmonji z wiarą młodszych. Udawania patryjotyczne starszych nie oszukają młodzieży. Jest do nich za blisko, aby ich łatwo nie odkryła. A wtedy oszukana już starszym nie wierzy. Zwodzono owego chłopca: „uciekaj bo wilk“, gdy wreszcie wilk na prawdę się zjawił, chłopiec nie uciekł.

Wysoki ton patryjotyczny u starszych, nie na niedzielę przy „w gościnnych występach“, ale na codzień, oto jedyne cugle dla młodzieży.

Jeżeli rodzice są tylko maszynami do robienia pieniędzy dla dzieci, nic ich nie ustrzeże od wynikających z tego skutków. Muszą abdykować z ich wdzięczności i miłości. Pomiedzy taką rodziną nie może być innego stosunku jak zwierzęcy. „Aby stary czem prędzej kopytka wyciągnął“ jak u patagończyków, bo majątek czeka na odbiorcę, który się niecierpliwi. Młode pokolenie bocianów zrzuca z gniazda stare. Pięknie wygląda taka ambicja rodu...

Z chwilą ustalenia się gatunku, to jest narodu, stającego się już wcieleniem idei, ród musi się podporządko-

wać narodowi i tem okupić możliwość indywidualnego istnienia. Złamanie bezwzględności własnego egoizmu jest dlań kwestją bytu. Ojciec rodu właśnie przez ambicję utrzymania swej krwi na powierzchni bytowania nie może być „po za“ patryjoryzmem, a gdy w to koło nie wszedł, lub po za nie wyszedł, grozi mu zagłada w dzieciach, dekadencja.

Jeżeli nie zostawił w schedzie swej części patryjotycznej, gatunek zemści się nad jego rodem bez miłosierdzia w myśl jego z gatunkiem postępowania. Nie drogą jakiejś obmyślonej narodowej kary, ale przez własne jego dzieci, które usiłował znieprawić. Jeżeli dzieci dały się znieprawić przez zniszczenie lepszej cząstki ducha, są już szczątkiem skazanym na zagładę. Jeżeli zaś przez opór jakichś popędów atawistycznych znieprawieniu nie uległy, to same muszą staczać ciężką walkę przeciwko tym, którzy ich zrodzili, walkę której zwykle nie przyświeca słońce życia.

.....

Wychowanie młodzieży w otoczeniu po za przyrodą jest grzechem przeciw kulturze. Jeżeli kultura dotychczas tą sprawą zasadniczo się nie zajęła, dowód, że nie szła dobrą drogą. Że instytucje szkolne po miastach kosztują taniej, to nie usprawiedliwienie, na armaty i gazy trujące było dość funduszów. Widocznie rządy i polityka były w złych rękach.

Wielkie miasto jest miejscem odpowiednim na hale targowe, na biura urzędnicze i kantory, na teatry (i to nie wszystkie), na redakcje dzienników i domy publiczne, ale nie na szkoły. I ze względu na młodzież i ze względu na nauczycieli. Młodzież na bruku miejskim kamienieje, traci intuicję i polot, nauczyciele z pedagogów stają się urzędnikami ministerjum oświaty. Obrona narodowa ko-



sztem największych wysiłków pieniężnych powinna walczyć z *odprzyrodzeniem* młodzieży.

Bo to nie tylko niezakłócony wzrost fizyczny, czysty tlen powietrza, płuca dyszzące przestrzenią, kapitał zdrowia na całe życie, lecz i całkiem inny kierunek rozwoju mózgu. Pod okiem przyrody młody wrażliwy umysł idzie w kierunku bardziej obiektywnym i twórczym; bez przyrody, na łasce mechanizmu miejskiego — dąży ku subiektywizmowi i nadkrytycznemu sceptycyzmowi. Gdyby miasta zamknąć dla dzieci ze wsi, przynoszących z sobą twórczość, stanęłyby wkrótce kulturalnie, stając się pasorzytniczymi Babilonami. Dobrze, mogą handlować i bogacić się, dopóki dowieżą im na rynek świeże produkty wiejskie, które już w samym mieście lub pod miastem bywają fałszowane.

Więc fałszować umysł dziecka w mieście...

Myślę, że nowoczesne idee społeczne, dążąc do usunięcia pośrednictwa specjalnej klasy handlowców przy wymianie przedmiotów materialnych, czego dowodem jest rozwijający się na wszystkich polach syndykalizm, muszą działać i w dziedzinie wychowania młodzieży w tym sensie, aby do ustroju syndykalnego mieć ludzi o odpowiedniej umysłowości. Ta umysłowość nie może być w swej *tendencji* handlowa po żydowsku, to jest działająca sprytem, ale twórcza, to jest działająca wiedzą. Chciecie wprowadzić uczciwość do wymiany ekonomicznej, wprowadźcie ją przedewszystkiem do szkół... uczciwość i gruntowność kierunku.

Szkoła nie może dobrze działać w podniecającej temperaturze oranżerii miejskiej. I dzieci i nauczyciele dostają gorączki. Trzeba dać szkole szerokie tchnienie pól. Najszczęśliwsze narody, które posiadają brzegi morskie, wspaniałe miejsce skupienia. Tam, gdzie ongi stały warownie rozbójników morza, teraz mogą gromady dzieci

puszczać zrobione przez siebie czółenka na niezmierzone głębiny. Wsłuchiwać się w tajemniczy szum Niepoznawalnego, brać w siebie bezłęk i stanowczość swoich przodków—wikingów.

Ale nie na bruku... tu się nabiera nałogów małpich—w klatce.

. . . . .

Więc dziecko w szkole ucząc się chodzi nie po kamieniu, ale po prawdziwej ziemi, w pogodę i błoto. Czuję ją pod stopami. Jest to jego ziemia, mająca tysiąc lat. Prababka, a jednak młodzieńka, to w wianku z kwiatów, to w girlandach lasów, to w płaszczu śnieżnym. Zawsze piękna i dobra, bo coś złego jest w piorunie lub błyskawicy. Zabijają, ale są to rzeczy czyste.

A historję tej ziemi opowiada dziecku nauczyciel w godzinie, która jest umiłowaną godziną wolności i oczekiwania. Udał się młodzieży ten nauczyciel. Gdy wykłada, jak gdyby mówił nie do ław szkolnych, ale do całej przyrody, wzywając ją na świadectwo prawdy. On młodzieży nie oszukuje.

Nie boi się niczego, nie zataja nic, trzeba mu wierzyć. Mówi w jaki sposób powstał naród. Opowiada jakie walki musiał być staczać z obcymi i wewnątrz z samym sobą. Jak bywał źle rządzony, oszukiwany, jak broczył we krwi. I jak sztandary jego lśniły na słońcu, gdy przychodził jasny dzień. Bywali ludzie mędrsi i głupsi, dobrzy i źli, ale naród nie ma żadnych win ani grzechów. Mógłby mieć tylko jeden grzech: gdyby zatracił wiarę we własny czyn, a grzech taki byłby nieodpuszczalny.

Bo czemuż jest, rozumiana po polsku, historia narodu? Bojem Jasnego Boga z Czarnym, dążeniem dobrego do wolności wbrew złemu, które kocha niewolę.

„Który z tych Bogów zwycięży u nas, *w was?*“ zapytuje profesor młodzieży. Odpowiedzią będzie mu cisza milczenia. Bo usta, któreby w takiej chwili zerwały się do potaknięcia, nie byłyby godne serca.

---

## WIELKA RADA.

Siedzą wielkiem zamkniętem kołem.

Widzę ich, wpatrzonych w jeden punkt, jak gdyby chcieli trafić wzrokiem w jeden cel. Każdy mówi z kolei, a żaden na sąsiada nie patrzy. Nie słyszą swoich głosów, wsłuchują się w myśl i nawet nie w myśl, a w to co jest w jej głębi niewypowiedziane i istotne. Czucie zamknęli w jeden prąd magnetyczny. Nie mogą się z sobą nie zgodzić. Postanowienia ich są jednym postanowieniem a każde musi być zwycięstwem. Nikt ze swoich postanowieniom ich oprzeć się nie może. Wola skoncentrowała się w ognisko i włada. Na ich milczące skinienie powstaje ogromny skrzyk narodu, jak gdyby naród obracał się w swojej orbicie.

Jakież to nieznanne towarzystwo? Tak, nieznanne, ono w terażniejszości nie istnieje. Widzę je jako przyszłość— w świecie.

Bywały u nas często chwilowe porozumienia narodowe, manifestacje, jak dobry wiatr zapowiadający pogodę. Ale ruszał się kadłub i serce, głowa nie uczestniczyła. Porozumienia głów nie było, orkiestra nie miała kapelmistrza. Wielki sejm głów czeka na swój czas i Bóg wie jakie jeszcze rewolucje wewnętrzne przejść musi Polska, zanim wielka rada głowy się zbierze.

Bo przecież to wszystko, na co mogłem być patrzeć własnymi oczyma, a jestem świadkiem chwili dziejowej, wyjątkowej, to wszystko nie było i nie jest zgoła podobne do tej Wielkiej Rady, której obraz narzuca się duszy polskiej z fatalistyczną powagą. Zgromadzenia obrony narodowe, które widywałem, miały charakter targu lub giełdy, nie rady wojennej. Gdyby tym areopagitom pokazać w lustrze ich działania, wielu z nich nie przyznałoby się do swojego oblicza. Bo kogóż nie ma w tych ciałach zmiennych jak obłoki na horyzoncie, mających wydać z siebie wytrzymałą jedność?

Są adwokaci dworów europejskich, szambelani upadłości, dworacy Wersalu, Wersalu, który dla Francji, jego architektki i jego burzycielki, jest dzisiaj ciekawostką muzealną, a wielkie wody tryskające z basenów pięknie szemrzą: to było.

Są upiory Sycińskich — przedstawiciele partyj jak majątku osobistego, broniący swej fortuny — dla dobra Rzeczypospolitej.

Są bierne powagi, chore na hemoroidalną poczciwość, jak panienka na anemię.

To znowu rozjuszony czerwony byczki, ciągle płaszące na arenie cyrkowej, stąd łbem i rogami poszukujące wszędzie torreadorów.

Są zepsute nieodpowiedzialnością dzieciaki, bawiące się patryjotyzmem, jak piłką w foot ball.

Są mężczyźni o babskich (nie kobiecych) językach, dla których skupienie i milczenie jest po nad siły.

Wreszcie bywają i to często żydzi, uważani jako część integralna narodu polskiego, jako swoi — z prawem głosu za „ich swoimi“, których są ambasadorami lub po prostu wywiadowcami.

To jest nasze *znane* towarzystwo. Nie posiada ono wagi i próżno usiłowałoby pozować. Obcy doskonale to widzą i według tego działają.

Naród instynktem objawia się przy każdej sposobności, jego wola jest zawsze skupiona i wyraźna. Nasza Rada od czasu rozbiorów w taki sposób nie objawiła się nigdy. Nigdy nie była symfonią. Nie była wojenną, a przecież grecy mawiali, że Harmonia jest córką Aresa. Wychodziła z fałszywego założenia, że wojna jest tylko wtedy w Polsce, gdy wybucha spisek, lub powstanie zbrojne. Więc Rada łamała się zawsze na dwa wrogie sobie obozy. Jedni ciągle chcieli się bić choćby kijami, choćby na rozkaz obcy, inni tego nie chcieli.

Tymczasem od aktu gwałtu politycznego w Grodnie, głębiej od spisku Fryderyka, Katarzyny i Józefa, trójcy Niemców — wojna w Polsce nie ustawała ani na chwilę i nie ustanie, póki nie osiągniemy czego chcemy. To myśmy ją wypowiedzieli we własnej obronie. Wojna wszelkim gatunkiem oręża, mogącym dać przewagę, fizycznym lub psychicznym. Głębiej nie zrozumieli sprawy ani ci, którzy chcieli przyspieszyć tempo walki gwałtownym wybuchem, ani ci, którzy ją zażegnawali w imię oszczędzania i kapitalizowania sił. Tu chodziło o sposób walki, o szansę wygrania, nie o spokój bierności, maskujący się przezornością. Jeżeli wypadki 1830 i 1863 r. były lekkomyślnym sposobem prowadzenia wojny bez żadnej nadziei wygrania, to popowstaniowa spiskowa walka o oświatę ludową, mimo straty w dzielnych ludziach, była kampanią na pewno w swoim zakresie wygraną i zbliżającą ku celowi.

Tylko poczucie stwierdzonej stanowczo we własnym duchu, nie ustającej, wydanej przez nas samej walki, która trwać może długie lata, a składać się będzie z wielu kampanij *wygranych*, uzdrowi naszą Radę Obrony, przemieni ją na ciało odpowiednie położeniu, odpowiedzialne

i harmonijne — słowem na Wielką Radę. Ciągły targ kompromisowy kompromituje postanowienia. To, co się dzisiaj dzieje nie ma żadnej siły jednoczącego narzucania. Słyszymy czuło mdłe mowy, agitacje, liryki, wzajemne okłamywania się, widzimy strusie zakrywanie oczu na otaczającą rzeczywistość. Czy jesteśmy na okół sami? Ile milionów par obcych oczu pożądliwie na nas patrzy?

Polsce dzisiaj potrzeba tysiąca ludzi rozumnych, legionu nieśmiertelnych nie dlatego, aby pragnęli posągu z gipsu, ale dlatego, że się czują nieśmiertelni w narodzie, a ta wewnętrzna ambicja najzupełniej wystarcza ich duszom. Ci ludzie powinni zejść się z sobą, utworzyć Radę Obrony na swoją miarę i przemówić do narodu głosem Piastów, wytrwałością Łokietka i rozumem Kazimierza. Naród na to czeka.

Tych „śpiących rycerzy“ zbudzi dziejowe Fatum.

---

## F A T U M.

Nareszcie zatrzymało się przed nami i objawia: przyszedł czas, gdy będziecie się mogli bronić skutecznie.

Z chwilą, gdy doszło do śmiertelnej walki rosjan z niemcami, rozpoczyna się w Europie nowa formacja życia. Czy ta walka rozegra się powoli czy szybko, już się rozpoczęła i nie ustanie aż do zaprowadzenia nowej równowagi. Z tej ostatniej wojny *starego* ustroju wyłoni się konieczność istnienia państw istotnie narodowych, w których vox populi zbliży się do vox Dei.

Dojrzałe państwa narodowe — to Francja, Anglja i Włochy. Ich duch wojnie przewodzi. W tych ustrojach

pod naciskiem fanatycznego fermentu niemieckiego, który odgrywa tutaj rolę *złego* elementu, wychodzącego na *dobrze*, dobywa się na wierzch ukryta siła, tkwiąca w wyższości kultury. Żadna gielda polityczna takich *cudów* błyskawicznej organizacji i sił duchowych nie przewidziała. Ona grała całkowicie i napewno na walorach militarnych, gotowych. I zbankrutuje. Wielkie dziejowe oszustwo, system Fryderyków i Metternichów zbliża się ku zdemaskowaniu. Niemcy powtórzyły w Europie rolę Juljana Odstępcy, który chciał być zatrzymać w bjeżu chrystjanizm. Historia opowiada, że mało urodziło się na ziemi ludzi tak poważnych, tak genialnych jako wódz wojenny, jako organizator, jako człowiek charakteru żelaznego, z takimi osobistymi przymiotami, jakie posiadał ów Cezar. Jednakże „Gallilejczyk“ zwyciężył żywotnością idei, jej niepowstrzymanym polotem, a dzika strzała partyjska przebiła żelazne serce. Bo człowiek „Ecce Homo“ zawsze zwycięży nadczłowieka, z początku męczeństwem, a potem ostrzejszym mieczem obrony. Nikt bezkarnie nie zerwie zasłony z Niepoznawalnego i Nieskończonego, które jest miłością, musi oślepnąć, a wtedy popychają go i drwią zeń złe dzieci.

Myślą, która natrętnie i złowrogo nurtuje w mojem sercu, a pokonywać ją muszę potęgą wiary słonecznej, jest poczucie tego niezrozumienia, z jakim duża część naszych warstw kształconych, dzieci tradycji upadku i tradycji porobiorowej, przyjęła objawienie dziejowego fatum a wszakże Polska była już narodem, zanim Europa zachodnia wyzwoliła się z pęt feudalnych, a dzieci tej starej zakorzenionej tradycji powinny były w całości odczuć ducha następującej przemiany. Stary, niemylny instynkt ojców naszych, upatrujący warunek istnienia naszego w atmosferze wolności i humanizmu, niesionych naczelnie przez sztandar Francji, genialne intuicje Mickiewicza, czującego po-

krewniostwo kultur romańskiej i słowiańskiej, wreszcie, co może najważniejsze, głos legend naszych bajecznych lub półhistorycznych—to jedna symfonia bez żadnego dysonanisu do takiego lub innego wytlómaczenia. Było to proste i fatalistyczne. Jednakże część Polaków wystąpiła przeciwko Francji i jej ideom, a w tym czynie nie wahała się nawet zejść z drogi tradycji naszej, używając wyrazu „legionów“. Książę wódz składał na Kapitolu sztandary powstającej wolności Włoch, wydartej ze szponów świętego przymierza. Józef Poniatowski wierny, nie po kondotjersku, jako oficjalista dworu,—Napoleonowi, ale wierny poczuciu polskiemu, mądrzejszemu niż rachuba, walczył ze świętem przymierzem pod Lipskiem.

Ale użyć tego sztandaru do przymierza z systemem Fryderyka Pruskiego! Jest to jakaś okropna rzeź własnego ducha, która urodzi szkaradne oblicze Nemezidy. Bo to nie przymierze z Niemcami, narodem, który naciśnięty przez konieczność może wydobędzie z siebie cząstkę tego, co sam nazywa „edel“, ale z systemem krzyżackim, tym gadem (mówi Mickiewicz) jadowitym, którego ukąszenie paraliżuje serce narodu.

Ja, e bazyliżkowe Schopenhauera wylęgło się, a potomstwo jego rozpełzło i po ziemiach polskich. Sam czas zchamiał, w swej wizji warjackiej targał się Nietzsche, jak gdyby ocknęło się w nim sumienie niemieckie. Zchamiała i część naszych pergaminów, naszych herbów, naszych głów, naszych idei. Upili się zwycięstwami Niemców, jak gdyby były ich własne. Tak, Grunwald stał się 500 lat temu. Sedan dopiero niespełna 50. Widywaliście nieraz ucztę solenne. Panowie siedzą u stołu, racząc się jadłem i napojem, a galerja spółstwa przypatruje się przez drzwi i okna. Ma wrażenie, jak gdyby sama używała i to ją zadawałnia.

Chamuś ma to do siebie, że kłamie bez rumieńca



i wtedy nawet zorza zadowolenia wschodzi na jego licu. Więc i tutaj powiadają, że polacy walczą za kulturę zachodnią.

Powiadają to w chwili, gdy właśnie rozgrywa się bój wewnątrz pomiędzy tą kulturą, o jej gatunek. Gdy Sorbona, Oksford i Cambridge, Bolonia i Padwa walczą z Berlinem, Franciszek z *Asyżu i Giordano Bruno*, Kaitezjusz i Paskal, Locke, Hume i Rousseau — z państwowymi pastorami, z państwowymi filozofami i profesorami zaborczego militarysty, a Noc i Poranek Michała Anioła z Siegessäulen, słodka Madonna z rozjuszoną Walkirją. Za jakąż to kulturę zachodnią walczy austryjacko-pruski legion?

Te zakrawione bohaterskie dzieci polskie nie kłamią. Oddają życie za fałsz, który w nich wmówiono, mniemając, że dobrze czynią dla ojczyzny. Są czyste w swej sancta simplicitas. Lecz ci, którzy ich z lekkomyślną nieodpowiedzialnością prowadzą? Ci przemawiają nie głosem idei twórczej, a głosem zemsty. Zemsta za tyle lat Sybiru i gwałtu! Z tego punktu widzenia dla czegoż tylko Rosji, a za rzeź galicyjską, a za wóz Drzymały, za dzieci wrześnińskie, za ustawy kagańcowe, za stuletnią politykę świętego przymierza, za wspólny czyn rozbioru, mścić się nie trzeba? Czy się to już zapomniało, czy się o tem chciało zapomnieć?

Otóż o tem wszystkim w całości żaden Polak nie może zapomnieć, bo jakby powiedział: wyrzekam się prawdy. Taka pamięć podtrzymuje nie tylko instynkt narodowy, ale i nadaje przezorności wszelkim krokom politycznym. Wzmacnia ideę obrony.

Ale zupełnie co innego jest w takiej niesłychanej chwili dziejowej, przy łamaniu się nocy w poranek, kłaść sobie na oczy ślepa przepaskę nienawiści lub zemsty.

Wtedy obcy bierze za rękę i prowadzi dokąd chce. To osłabia ideę obrony. My nie mamy czasu na zemstę.

Dzieje nie powtarzają się co do przebiegu wydarzeń, ale mogą się powtarzać w zasadniczych liniach ruchu. Sto dwadzieścia kilka lat temu Prusy wbrew Rosji, ku jej zadrażnieniu i tylko dlatego przeprowadziły w Polsce konstytucję majową, aby wkrótce przystąpić do drugiego rozbioru wspólnie z Rosją. W rok później pod Szczekocinami uderzyły z tyłu i z nienacka na Kościuszkę, ową konstytucję grzebiąc i wydając kraj na zemstę Rosji. Ku uciesze „patryjotycznej“ wyprawiły Polsce rodzaj karnawału z balem pare, po którym posypał się na nasze głowy popiół... i jaki.

Czy w istocie bardzo na czasie i bardzo potrzebujące rozstrzygnięcia jest zagadnienie „quis melior“ jako przyjaciel i sprzeczka o to? Tak się kłócą stangreci lub lokaje o swoich panów: który lepszy, czy ten utrzymujący żelazny porządek i przewidujący wszystkie ruchy niewolnika i sługi, czy ten nieporządny, niegospodarny i nieprzewidujący, a za to mszczący się za każde wyłamanie się z pod władzy—na pokoleniach.

Jednakże jest to zagadnienie osobiste. Ten odsiadywał więzienia pruskie, ten wygnania rosyjskie, tamtego w Austrii nigdzie nie zesłano, bo nie było za co... cóż ta sprawa obchodzi naród?

Zagadnienie narodowe jest, kto groźniejszy, kolonista niemiecki wżerający się w ziemię, czy biurokrata rosyjski żyjący daniną. Na to powinien odpowiedzieć rozum polski z najwyższym stopniem poczucia odpowiedzialności, bez którego żaden patryjotyzm nie jest prawdziwą miłością i nawet dobrego pragnąc, zwykle działa zło.

Fatum staje przed nami, patrzy nam w oczy badawczo i przenikliwie, pyta: kto jesteście?

Czyście stadem baranów beczących o ojczyznę

a wśród pożaru idących wprost w ogień, gotowych do rznięcia za każdą wizytą rzeźnika?

Czy macie wolną duszę, na prawdę dążącą do wolności?

Bo postąpię z wami tylko tak, jak wy sami z sobą postąpicie. Nie liczcie na mnie, że wam pomogę wbrew wam. Rozstrzygajcie sami o własnych losach. Przypomnijcie sobie słowa gorącego patryjoty niemca: *in deiner Brust sind deines Schicksals Sterne*. Ci ludzie mają przynajmniej tyle dobrego, że umieją gardzić cudzą nicością.

Zostawiony sam sobie, na progu wojny narodów, duch piastowy w nieśmiertelnej szacie stuleci nie wahał się ani na chwilę. *Wanda nie chce niemca*, jak nie chciała go tysiąc lat temu w legendzie. Gdy będzie ją do tego zniewalała błyskotkami ślubnymi znieprawiona stręczycielska rodzina, skoczy w nurty Wisły, a Rytygier podarunki ślubne odbierze.

Pewnie, nie zginie ta idea o imponującej piękności. Cofnie się jeszcze głębiej w przeszłość i głęboką awatarą, zrzuciwszy białą sukienkę, zjawi się znowu. Tym razem już jako Roza Weneda z zakrwawionym nożem ofiarnym — słowianka.

---

## FORMUŁA WALKI.

Mechanika używa formuły  $mv^2$  do wymierzenia skutku działającej siły. Przez  $m$  oznacza masę, przez  $v$  szybkość. Ta formuła, jak wykazało doświadczenie wielkiej wojny, ma zastosowanie i do walk narodów.

Masa narodów — to ich liczebność, przyrodzone bogactwa ziemi i położenie geograficzne. Jest to czynnik siły fizyczny w danym okresie czasu niezmienny.

Szybkość to energia, czynnik całkowicie psychiczny, zmienny i ściśle nie do obliczenia ante factum. Wybuchają wojny, a świat spotyka się z szeregiem niespodzianek. Oto naród liczebnie mniejszy, nawet znacznie mniejszy, nadrabia energią to, czego mu brakuje w masie. Energia znaczy więcej niżeli masa, co wyraża i formuła mechaniki: kwadrat szybkości to znaczy, że dwa razy większa energia daje skutek cztery razy potężniejszy, a trzykrotna — dziewięć.

Widzimy zupełnie jasno, że Niemcy masą swoją pięćkroć mniejszą, niżeli ich przeciwnicy, już trzeci rok walczą, wykazawszy nawet duże powodzenie. I gdyby nie spotkały się z błyskawicznym wzrastaniem energii francuskiej i angielskiej, mogłyby były ujarzmić cały świat.

Jednakże, jak rzekliśmy, element psychiczny jest nieobliczalny. Pod ciśnieniem grożącego niebezpieczeństwa stare kultury Europy zachodniej drzemiące, w stosunku do Niemców, w pół letargu, odwołały się do źródeł swojej psychiki. Tutaj znalazły moc energii, która w połączeniu z przyrodzoną przewagą geniuszu twórczego wrasta niemal z każdym dniem, a równanie energetyki franko-angielskiej pomału zaczyna wydawać iloczyn większy od niemieckiego. Ten iloczyn roztrzygnie o losach wojny.

Dla nas Polaków to doświadczenie dziejowe posiada wartość pierwszorzędą. Jest nas zaledwie *dwadzieścia trzy* miliony, to znaczy, że w Europie liczebnie zajmujemy szóste miejsce — po Rosjanach, Niemcach, Francuzach, Anglikach i Włochach. Przyczem terytorjalnie, więc niezmiennie na przyszłość, jesteśmy ściśnięci z boków przez sto kilkadziesiąt milionów Rosjan i sto milionów Niemców t. j. przez masy ogromne. Gdyby o istnieniu narodów

stanowiła wyłącznie masa, bylibyśmy prędzej czy później skazani na pochłonięcie przez sąsiadów. W sprawie masy możemy działać tylko jedno: *zjednoczyć się* na terytorjum politycznem. I to sprawa *podstawowa elementarna*, bez której nie można z miejsca ruszyć.

Po za tym głównym panem w walkach narodów jest czynnik psychiczny: energja. Z całą ufnością i pewnością pozytywną możemy patrzeć w przyszłość pod warunkiem bujnego *wzrostu* naszej energii. Aby utrzymać się na powierzchni dziejów musimy rozwinąć energję *dwa razy* większą od niemieckiej, a *trzy razy* większą od rosyjskiej. To jest prawo żelazne naszej przyszłości, naprawdę żelazne, po za którym inne obrachunki są mylne, a nadzieje — utopijne.

Mickiewicz mówiąc: „mierz siły na zamiary“, wyrzekł wielką prawdę energetyki dziejowej, byle była dobrze zrozumiana. Jeżeli *zamiarem* jest energja, która w całości zależy od tych sił wewnętrznych, niewymierzalnych i nieobliczalnych, jakie ryczałem nazywamy psychiką, to w istocie zawsze taki „zamiar“ może obronić się większej masie, albowiem on działa kwadratem lub jeszcze wyższym wymiarem, a masa — jedynie stosunkiem prostym. Poeta zgadza się z matematykiem, co zawsze bywa, gdy rozmawiają z sobą geniusze.

Rozpocząłem książkę od źródeł energii, od wiary nadziei i miłości, a kończę ją formułą matematyczną. Jest zupełna i naturalna zgodność pomiędzy początkiem i końcem. Intuicję sprawdziła rzeczywistość. To mi daje pewność, że postawiłem budowlę na gruncie, który się nie zapadnie.



## OD AUTORA.

Książkę pisałem podczas wielkiej błyskawicy dziejowej i straszliwej burzy, gdy skupiona dusza ludzka w obec ostatecznej tajemnicy życia i śmierci nabiera jasnowidzenia, a z łatwością odpycha wszelkie kompromisy z małostkowem i wypadkowem. Przypuszczam, że bez potężnej grozy rzeczywistości, książka nie byłaby nigdy napisana, lub napisana inaczej.

Przemawiam w niej do czoła inteligencji polskiej, lecz tylko do tych, którzy są inteligencją z bożej łaski, oraz ze swego niepokalanego dla prawdy trudu. Ambicja pawiów i wrzask papug nie jest moim tonem i nie są moimi towarzyszami ludzie, wygrywający takie melodje. Pragnę rozmawiać z ludźmi zdolnymi do iluminacji wewnętrznej, dla których ambicja tej iluminacji jest jedyną, kierowniczą i decydującą. Czuję, więc wiem, że takich ludzi w narodzie moim będzie się rodziło coraz więcej i wam to, prawdziwi i serdeczni bracia moi, przesyłam te myśli. Wolałbym z wami zginąć, niż z pretensjonalnym gmi-nem żyć.

Wszak chodzi nam razem o swobodną i zdrową myśl, wyzwoloną z frazesu, mordercy prawdy. Myśl wolna

to nie dowola lub swawola, zaświadczejaca rozkielzaniem o swej nicości, lecz jest to wola umysłu działajaca niezmezenie ku urzeczywistnieniu prawdy. Ze poczeta z woli nazywa się po polsku *wolna*.

Pisałem w Stołowczycach na Polesiu r. 1916.

K o n i e c .

### P O P R A W K A .

Str. 122, 3 wiersz z góry, zamiast Żupran, ma być Żuprenu.



# SPIS RZECZY.

---

## ZRÓDŁA ENERGII.

	Str.
Wierzę, więc działam . . . . .	3
System słoneczny duszy . . . . .	5
Satelici wiary . . . . .	6
Nadzieja . . . . .	10
Miłość . . . . .	11
Światłość . . . . .	15

## NARÓD.

Pieśń matki . . . . .	23
Sprawdziany . . . . .	26
Liberum Veto . . . . .	29
Tolerancja . . . . .	38
Tradycja i lud . . . . .	43
Rozbiory . . . . .	52

## RELIGIA.

— — — — — . . . . .	71
---------------------	----

## OBCY.

— — — — — . . . . .	95
Cześć . . . . .	96
Rosjanie . . . . .	107

	Str.
Niemcy . . . . .	117
Francuzi . . . . .	130
Włosi . . . . .	137
Anglicy . . . . .	140
Amerykanie . . . . .	143
Żydzi . . . . .	145

## OBRONA.

Sama idea . . . . .	181
Laborando . . . . .	192
Dziś—jutro . . . . .	203
Dzieci narodu . . . . .	206
Wielka Rada . . . . .	215
Fatum . . . . .	218
Formuła walki . . . . .	223
Od autora . . . . .	227





557

21/1/56

20  
the